

**PRZE
KROJ**

NR 51-52 (3469) / 19 GRUDNIA 2011 / CENA 4,99 ZŁ
WWW.PRZEKROJ.PL w tym 8% VAT

Mnóstwo miłości

na Święta i Nowy Rok

ŚWIADECTWO DAJĄ:

GADACZ

KUCZOK

BIRKIN

PROKOPOWICZ

SWINTON

WAŁĘSA

DEPTUŁA

KASABIAN

NOWICKI

FIBAK

BIELIK-ROBSON

PIERONEK

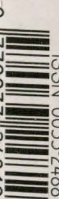
KAMIŃSKI

GIEROWSKI

WAJRAK



INDEKS
371424

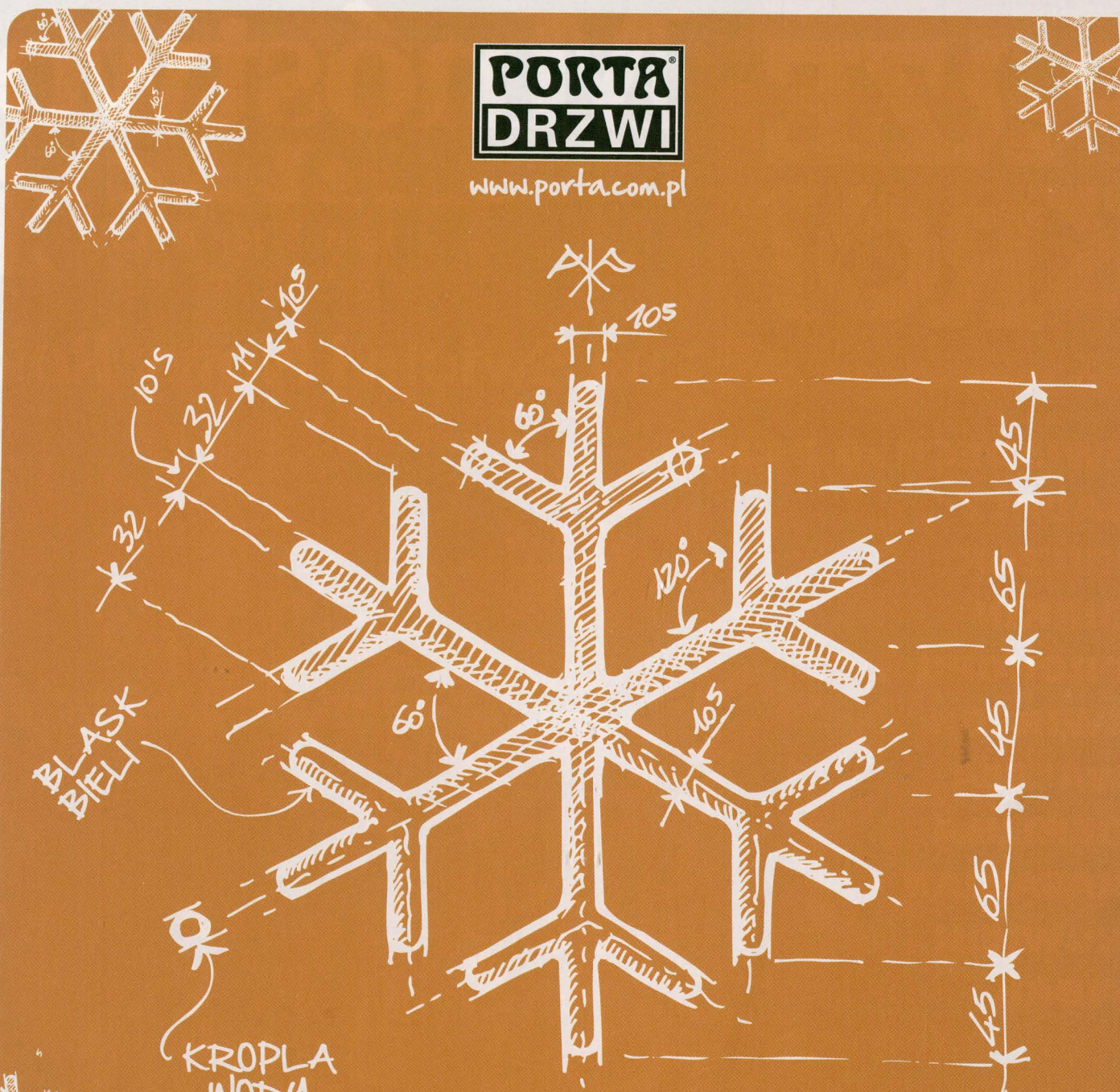


ISSN 0033-2488

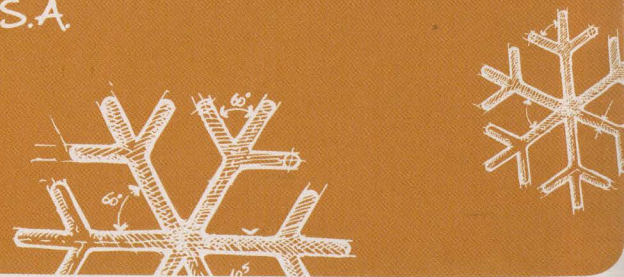
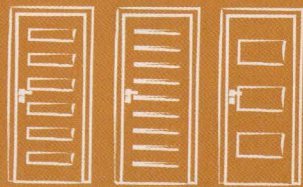
5 1

**PORTA
DRZWI**

www.porta.com.pl



NASTROJOWYCH I RADOSNYCH
ŚWIĄT BOŻEGO NARODZENIA
ORAZ SAMYCH SZCZĘŚLIWYCH ZDARZEŃ
W NADCHODZĄCYM NOWYM ROKU ŻYCZY
PORTA KWI POLAND S.A.



PRZEKROJ

Założył w roku 1945
w Krakowie redaktor
Marian Eile

„Przekrój” w sieci

OLAF SZEWCZYK

Psia rada zebrała się pod płótnem wedle obory. Frekwencja szorowała brzuchem po klepisku, z trudem osiągnięto *quorum*. Cóż – temat nie był wdzięczny. Miał się ważyć los nieprzydatnego już do niczego samczyka rasy ludzkiej. A kogo obchodzą zużyte człowieki? To okrutny, okrutny świat.

– Koleżanki i koledzy! Piękne suczki, szacowni dżentelmeni! – zagał Reks. Straszny był z niego, psia jego mać, snob i pyszałek. Choć pochodził z gminu i nie posiadał rodowodu, podpisywał się „Rex” i wysoko zadzierał ogon. Ale wyszczekany był, to trzeba przyznać.

– Zebrałiśmy się tu, by ustalić, co począć z byłym ministrem finansów. Chłopak wypalił się, wyleciał, zgłupiał, nie będzie już z niego pożytku. Problem w tym, że nikt nie chce go przygarnąć, a utrzymanie bezproduktywnej jednostki na państwowej miseczce byłoby zbędnym obciążeniem pieskiej naszej Rzeczypospolitej. Cóż nam zostało? Trzeba ludzią uspić.

– Ależ to by było niekynonitarne! Barbarzyństwo! – oburzyła się Saba. A dama to była godnej postawy, zasadniczo bernardyńka, o łapkach jednak zmysłowo gotyckich, po sam pyszczek, co przypominało zebranym o legendarnym megaliansie jej dziadka z charcicą.

– Stuszenie prawi – poparł Sabę Ciapek, zapoznany legalista. – Wszak, jak stanowi art. 1 Ustawy o ochronie praw człowieka: „Ludź, jako istota żyjąca, zdolna do odczuwania cierpienia, nie jest rzeczą. Pies jest mu winien poszanowanie, ochronę i opiekę”. I długo by jeszcze psia rada deliberowała, gdyby nie salomonowy wyrok Staśka Brontozaura, zaproszonego jako Autorytet. Ludź nie poszedł na zmarnowanie. Wypchany, zamarynowany w formalinie, służył dalej – nauce. Stawiono odtąd mądrość Staśkowa niezgłębioną na Facebooku, G+, Twiterze, www.przekroj.pl.



A Wy chwalić wyrok Staśka nad Staśkami możecie via redakcja@przekroj.pl.

W TYM TYGODNIU

TEŚKNIE WYPATRUJĄC MIKOŁAJA, KTÓRY OBECAŁ PRZERWĘ W OBRADACH SEJMU POD CHOINKĘ, ŚWIĄTECZNIE ROZANIELENI NIE PISZEMY...

...że ku bezdennej otchłani stuporu, na samiuśką jej krawędź cisnęła nas sejmowa debata w sprawie europejskopoddańczej, haniebnie wasalnej, antypolskiej i zdradzieckiej (*copyright* by prawdziwi polscy patrioci) polityki rządu nieprawdziwych niepolskich niepatriotów. Padły podczas niej słowa, po których i my byśmy padli, mocą ich razeni, gdyby nie to, że padliśmy już na grzbiet przy poprzednich salwach.

...że choć słowa te miały moc iście obalającą, to trudno nam niezmiernie coś z nich wydestylować. Bo mętlak po nich w gło-

wie taki, jakbyśmy sami coś mocniejszego obalili (hej, żebyśmy my tak destylować potrafili! Zazdrość, zazdrość...).

...że ujęła nas szczerść posłanki PiS Krystyny Pawłowicz, która prostolinijnie rzekła posłom i pośledniejszym, z telewizorów spijającym jej słowa rodakom: „Teraz ja mówię, teraz mów Polska!”. Bo choć polemizować nie śmiemy, to martwimy się, co na to Prezes, który przecież podobnie postrzega swą podmiotowość. A Prezes chyba nie uważa się za posłankę Pawłowicz. Obawiamy się, że to nie

wróży rzeczonoj posłance najlepiej (tradycyjnie drżymy o Polskę).

...że po przemówieniu minister Fotygi żaluje my, iż Rzeczpospolita nie ma ambasady na Księżycu. Taki talent w polityce zagranicznej nie powinien się marnować.

...że furda debata – Wydarzeniem Dnia było przemówienie posła Jerzego Gosiewskiego do doskonale pustych sejmowych ław. Bo to daje nadzieję, że poseł Gosiewski, wysłuchany przez posła Gosiewskiego, znajdzie dla myśli swych doskonałe zrozumienie.

...że pracownicy Agory, fabryki produkującej „Gazetę Wyborczą”, założyli związek zawodowy, dzięki czemu znaczek Solidarności symbolicznie wrócił do macierzy. Bo węższy tu głębszy sens niż suponowany przez złośliwych. Agora, jako ta dobra mać, przecież zawsze dbała o swe dzieci. Syte, zadbane, hołubione, szczęśliwe – godnie traktowane. Zarząd nigdy nie cenil wyżej trzosa od etosu. Ergo: związek ani chybi powstał po to, by udowodnić, jak bardzo jest zbędny. Mistrzowski ruch.

P.O. SZEFE O'LOVE

MAREK RACZKOWSKI



LAST MINUTE KRZYSZTOF PŁYTA

Angielski na Święta: który czas najlepiej opisuje Wigilię? Prezent perfect.

TRUDNE MIŁOŚCI

- 12 **O miłości własnej, „miłości” łabędziej, na całe życie**, od której nie można uciec, choćby się próbowało na wszelkie możliwe sposoby – mówi Beacie Chomątowskiej pisarz **Wojciech Kuczok**
- 16 **To była miłość artystów, ekstremalna, niegrzeczna, pijana i pełna skrajnych uniesień** – pieśniarka **Jane Birkin** o miłości do Serge’a Gainsbourga opowiada **Annie Gacek**
- 20 Chory powinien cierpieć. Nie wypada, by się śmiał, bo z czego tu się cieszyć? Taki panuje mit. I ja ten mit obalam. **O miłości do siebie, która daje siłę do życia**, mówi Marcelinie Szumer i Pawłowi Wieczorkowi chora na raka **Magdalena Prokopowicz**, prezeska fundacji Rak’n’roll
- 24 **Czy matce wolno nie kochać?** Aktorka **Tilda Swinton** opowiada Oli Salwie o skomplikowanym uczuciu do dzieci
- 28 Kobieta domowa, rodzinna, w cieniu wielkiego Polaka. **Jak się kochało w ciężkich czasach?** **Danuta Wałęsa** odpowiada Grzegorzowi Miecugowowi

PIĘKNE MIŁOŚCI

- 40 Mamy gdzieś sukces, nakłady. Odmawiamy gry w liczby. Chcemy być szczęśliwi. **I chcemy żyć wśród ludzi, których kochamy**. Nie mamy czasu na nic innego – mówi **Annie Gacek Tom Meighan i Serge Pizzorno**, liderzy **Kasabian**, najważniejszej brytyjskiej grupy ostatnich lat



8 Tadeusz Gadacz, filozof i religioznawca, o darze bycia dla drugiego człowieka



- 44 Aktor **Jan Nowicki** wyznaje Oli Salwie, że całe życie przymierza się do pokochania
- 48 **Kocham obrazy**, za niektórymi nawet tęsknię. Ale trzeba być realistą, wszystkiego mieć nie można – mówi **Jackowi Tomczukowi** najsynniejszy polski tenisista, ale przede wszystkim kolekcjoner, **Wojciech Fibak**

OBLICZA MIŁOŚCI

- 56 **Biskup Tadeusz Pieronek** zdradza Łukaszowi Wójcikowi, że kochanie Boga pozwala mu na kochanie nawet ojca Rydzyka i Nergala
- 60 **Chcę istnieć jako artysta polski, nie jako pochodzący z Polski** artysta amerykański czy niemiecki – mówi malarz **Stefan Gierowski** Robertowi Mazurkowi
- 64 Podróżnik **Marek Kamiński**, pan na biegunach, opowiada Marcelinie Szumer i Pawłowi Wieczorkowi o **zdobyciu szczytów w świecie i codzienności**
- 68 **Zwierzęta kocham, czasami je jem, a czasami z tej miłości zabijam** – zwierza się Janinie Kruszyńskiej dziennikarz i przyrodnik **Adam Wajrak**

32 Historyk sztuki Bogusław Deptuła o wizjach i obrazach miłości



52 Filozofka Agata Bielik-Robson o libido, erosie i agapie – sumie wszystkich miłości

RECENZJE

- 72 **Muzyka:** Herma o wielkiej płycie Kate Bush
- 73 **Film:** Salwa o „Chciwości”
- 74 **Książki:** Kępiński o „Ochotniku”
- 76 **Zapowiedź:** Cieślak o japońskiej trasie Anny Marii Jopek

ZAWSZE W PRZEKROJU

- 78, 79, 80 **Rozmaitości** z krzyżówką, Lewomyślnie Kurkiewicza, ładnymi rzeczami Salwy, kuchnią Gesslera i nowymi Kronikami popkultury Trzciańskiego
- 81 **Stopklatka**
- 3, 82 **Raczkowski**

PRZEKROJ

ADRES REDAKCJI:
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa
faks: 22 628 05 88, 22 463 00 00;
automatyczna centrala telefoniczna:
22 4630 + numer wewnętrzny; łączenie
przez telefonistkę 22 628 34 01 do 09,
www.przekroj.pl
e-mail: redakcja@przekroj.pl
lub imie.nazwisko@przekroj.pl

P.O. REDAKTOR NACZELNY:
Donat Szylter
ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
Piotr Wittek
SEKRETARZE REDAKCJI:
Joanna Grochowska, Marcin Kijowski
SEKRETARIAT:
Edyta Matusz-Bulińska, Karolina Mazur,
tel. 12 394 73 32
PRZEDZ WSZYSTKIM: wydarzenia@przekroj.pl,
Mariusz Nowik (szef),
Łukasz Wójcik (zastępca szefa),
Agnieszka Fiedorowicz,
Małgorzata Świechowicz,
Joanna Woźniczko-Czczott;
stale współpracują:
Joanna Dargiewicz-Rozeł, Agata Jankowska,
Marcelina Szumer
CYWILIZACJA OD ŚRODKA: nauka@przekroj.pl,
Olaf Szewczyk (szef), Anna Piotrowska,
stale współpracują: Piotr Stanisławski,
Irena Cieślińska, Piotr Kossobudzki,
Paweł Franczak
KONIEC Z KULTURĄ: kultura@przekroj.pl,
Jacek Wakar (szef),
Marcin Sendek (zastępca szefa),
Karolina Pasternak, Jacek Tomczuk;
stale współpracują: Kuba Dąbrowski,
Łukasz Drewniak, Sebastian Frąckiewicz,
Mariusz Herma, Anna Jastrzębska, Ola Salwa,
Jacek Sieradzki, Jarosław Szubrycht,
Bartek Winczewski
ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKA:
rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyk;
stale współpracuje Kaliber 45
PRACOWNIA GRAFICZNA:
Wojtek Piechoński (szef),
Anna Kondek, Karolina Kowalska,
Wojciech Brdej, Łukasz Lelonkiewicz,
Marcin Hernas
FOTOEDYCJA: foto@przekroj.pl,
Michał Okła, Karolina Sekula
KOREKTA:
Alicja Listwan, Monika Ples, Katarzyna Rycko
PROJEKT GRAFICZNY:
Kasper Skirgajło-Krajewski
ARCHIWUM: Dominika Bok
OBROBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU: Paweł Wójcik

STRONA INTERNETOWA I IPAD:
Marcin Cichoński, Marcin Kijowski (szefowie)
REDAKTORZY: Monika Hrycko-Skowron,
Tomasz Róg, Maria Włodkowska
GRAFICY: Katarzyna Bażela, Jakub Bieda,
Martyna Marzec
MULTIMEDIA: Anna Bajorek, Mikołaj Tocki

GREMI GRUPE

WYDAWCA:
Presspublika sp. z o.o.
ul. Prosta 51,
00-838 Warszawa

PREZES ZARZĄDU:
Dariusz Leśniak
WICEPREZESI:
Jan Godłowski, Artur Sierant,
Tomasz Wroblewski
PROMOCJA I MARKETING:
promocja@przekroj.pl,
Jakub Maszkowski, Miłena Ostólska
BIURO REKLAMY:
Presspublika Sp. z o.o.
Ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa
faks: 22 628 05 88, 22 463 00 00;
automatyczna centrala telefoniczna:
22 4630 + numer wewnętrzny; łączenie
przez telefonistkę 22 628 34 01 do 09
KIEROWNIK ZESPOŁU SPRZEDAŻY:
Filip Weichert – 22 463 01 88
reklamainfo@presspublika.pl
DRUK: RR Donnelley

Artykułów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian
i skrótów w nadesłanych artykułach i listach.

Czasami zwykłe emocje nie wystarczą



Dlatego jesteśmy Sponsorem Narodowym UEFA EURO 2012™

Życie jest pełne pasji i emocji. Jak futbol. Dlatego zawsze staramy się być tam, gdzie Twoje emocje. Nazywamy to prawdziwą bankowością. Więcej informacji na www.pekao.com.pl



BANK PEKAO SA

Oficjalny Bank i Sponsor Narodowy UEFA EURO 2012™

The UEFA EURO 2012™ official logo is protected by trademarks, copyright and/or design. All rights reserved.



Projekt okładki: Studio „Przekroju” w Krakowie RIP, na podstawie obrazu Gustava Klimta „Spelnienie”, fot. BE&W

PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”

PRZEZ WYDAWNICTWO – należy dokonać przelewu na konto: Presspublika sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, **Alior Bank SA 80 2490 0005 0000 4600 1542 1792** i wysłać dowód wpłaty faksem: 22 525 99 48 lub e-mailem: prenumerata@przekroj.pl. Cena prenumeraty w 2012 r.: rocznej – **166,40 zł**, półrocznej – **83,20 zł**, kwartalnej – **41,60 zł**. Zamówienie na prenumeratę należy składać: e-mailem: prenumerata@przekroj.pl lub, faksem: (22) 621 22 61. Dodatkowe informacje pod nr. telefonu 800 120 195. Prenumerata kolporterska: oddziały Ruch SA www.prenumerata.ruch.com.pl, urzędy pocztowe. Prenumerata e-wydania: www.egazety.pl. Prenumerata zagraniczna: Ruch SA www.ruch.pol.pl; (22) 693 67 75, (22) 693 67 82, (22) 693 67 18

DOSTĘP NA STRONIE WWW I WERSJE NA IPADA

Cena abonamentu na iPada i w Internecie: tygodniowy – **3,60 zł**, kwartalny – **30,75 zł**; roczny (z rabatem 30 proc.) – **99 zł**. Do wykupienia na www.przekroj.pl oraz w App Store. Informacje: wsparcie@przekroj.pl



Kochani Czytelnicy,

*pozwólcie, że
zaczniemy od opowieści
tak poruszającej i pięknej,
iż zdaje się legendą.
My jednak wolimy wierzyć
w przekazy świadków,
zaklinających się, że jest
prawdziwa. Historia
ta bowiem niesie otuchę,
którą w ten szczególny
przedświąteczny czas
pragniemy się z Wami
podzielić. Wzbudza
nadzieję, że jesteśmy w głębi
serca lepsi, niż zdajemy
się sobie na co dzień.
I że może kiedyś także
my będziemy bliżsi
tego, co jest kwintesencją
godnego człowieczeństwa.*



Amor miał
sprawić, że piękna
Psyche zakocha
się w innym.
Sam jednak
zakochał się w niej
bez opamiętania.
Z lewej oboje
na obrazie
François Gérarda

Dawno, dawno temu żył człowiek, który pragnął rozpaść w swym sercu bezgraniczną, wszechogarniającą miłość – niczym nieuwarunkowaną, spontaniczną i tak naturalną, jak naturalne jest to, że słońce obdarza nas życiodajnym ciepłem i światłem. By osiągnąć ów stan umysłu, mężczyzna długo medytował w górskiej samotni. Czuł, że zbliża się do celu, ale ten wciąż mu się wymykał. Gdy w końcu, zrezygnowany, opuścił jaskinię, ujrzał przy drodze rannego, umierającego psa. Dodatkowych cierpień przysparzały zwierzęciu zjadające go żywcem robaki. Pies był zbyt słaby, by choć próbować je z siebie strząsnąć.

W przypiływie współczucia mężczyzna postanowił zdjąć z psa insekty. Początkowo chciał użyć do tego patyka, ale zrozumiał, że w ten sposób może łatwo wyrządzić krzywdę owadom – a im też nie życzył źle. Doszedł do wniosku, iż jedynym wystarczająco miękkim i delikatnym narzędziem, którym mógłby zgarniać robaki z psich ran, jest jego własny język. Walcząc z obrzydzeniem, pochylił głowę nad ropiejącym zwierzęciem.

Płynąca z miłości potrzeba przyjsia z pomocą cierpiącej istocie okazała się silniejsza niż wstręt i egoistyczna pokusa ruszenia w dalszą drogę.

Istnieje też wersja tej opowieści, w której ów mężczyzna dodatkowo wykrawa ze swego uda kawał mięsa, by nakarmić zwierzę.

Wszystko to działo się daleko od Betlejem i długo przed wydarzeniami, które opisuje Nowy Testament. A jednak sens obu tych historii, rozgrywających się na innych kontynentach, w innych epokach i innych kulturach, jest w swej istocie dokładnie taki sam: najważniejsza jest miłość. A zaświadcza o niej to, jak dalece gotowi jesteśmy zapomnieć o sobie i poświęcić się, by pomóc tym, którzy są w potrzebie. Nie ma nic piękniejszego i bardziej godnego szacunku.

Fakt, że bez względu na czas i tradycję, w jakiej dorastamy, mamy klarowną świadomość tej prawdy, jest źródłem nadziei i wiary w człowieka – mimo wszystko. Może jeszcze dorośniemy do wzorca, który już w nas jest. Oby.

Dziś cały „Przekrój” mówi właśnie o tym, co najważniejsze – o miłości. Bo cała reszta jest bez znaczenia. Gdy nie ma miłości – nie ma nic. Nie ma nadziei i wiary. Nie ma kolorów i piękna. Nie ma śmiania się razem i ufności, nie ma wieczornych spacerów i trzymania się za ręce. Nie ma cierpliwości, która pozwala znosić błędy i ułomności tej drugiej, cudownie odnalezioną połówki. Nie ma bólu, gdy innym dzieje się krzywda, i radości, gdy ich dramaty znajdują szczęśliwy finał.

A przecież i ten ból, i ta radość stanowią o naszym człowieczeństwie.

Bez miłości nie ma przyszłości i nie ma sensu.

Dziś, korzystając z aury zbliżającego się święta miłości, odważamy się mówić o tym otwarcie, używając tonu i słów, po które na co dzień krępujemy się sięgać. Unikamy ich, bo trwa galopująca dewaluacja pojęć, a nikt z nas przecież nie chce wpisywać się w ten kontekst.

Żyjemy w świecie wielkich słów, które mało znaczą. O miłości do ojczyzny i narodu krzyczą dziś politycy, którzy kochają wyłącznie władzę i światło fleszy, a swą karierę budują na sianiu nienawiści. W telenowelach sztucznymi słowy wyznają miłość sztuczne postaci. Z ekranów atakują reklamy, w których miłość z premedytacją myli się z pożądaniem – nade wszystko z żądzą posiadania. Podczas gdy istotą miłości jest dawanie, dzisiejszy świat mozolnie buduje fikcję, że jest wręcz przeciwnie – miłość polega na braniu.

Jak zwraca uwagę profesor Zygmunt Bauman, coraz częściej postrzegamy miłość w kategoriach rynkowych. Jest ona dziś, jak każdy inny towar, przedmiotem konsumpcji i podlega rządzącym nią prawom. A towaru nie idealizuje się. Domyślnie jego atrakcyjność jest chwilowa, ulega wyczerpaniu. Na tej giełdzie z założenia terminowych transakcji miłość, odarta z magii przysięgi po grób, nie ma wartości absolutnej. Jest pokusą na sklepowej półce. Zawsze możemy sięgnąć po nową.

Bauman w „Płynnej nowoczesności” pisze: „Możliwość postrzegania życia jako niekończącej się orgii zakupów oznacza, że świat ukazuje się swym mieszkańcom w postaci magazynu wypelnionego po brzegi towarami”.

To bardzo trafna analiza trendów. I zarazem taka wizja życia, miłości, z którą się całkowicie nie zgadzamy. „Miłość” oparta na egoizmie, wolna od odpowiedzialności, zastępująca empatię chłodnym rachunkiem zysków i strat, jest ślepą uliczką.

W dzisiejszym „Przekroju” piszemy, na przekór cywilizacyjnemu trendom, o innych rodzajach miłości. Najróżniejszych, bo przecież miłość ma tyle odcieni, ile bije serc, ale zawsze wartych przeżycia, cennych.

Życzymy Wam z głębi serca spełnienia wszystkich tych miłości po trosze, pogodnych, pełnych czułości i ciepła Świąt. Bo bez względu na to, w co wierzymy lub nie, Wigilia tradycyjnie jest dla nas wszystkich wielkim świętem miłości. Obyście zawsze kochali i byli kochani.

Redakcja „Przekroju”



Pochwała miłości

Święty Augustyn, przystępując w „Wyznaniach” do refleksji nad czasem, stwierdził: „Czymże więc jest czas? Jeśli nikt mnie o to nie pyta, wiem. Jeśli pytającemu usiłuję wytłumaczyć, nie wiem”. Podobnie moglibyśmy powiedzieć o miłości

TADEUSZ GADACZ

Każdy człowiek doznał kiedyś lub doznaje w życiu miłości. Choć wyrażamy ją jednym wspólnym słowem, budzi w nas odmienne uczucia. Co innego czuje mężczyzna do kobiety i kobieta do mężczyzny, gdy pragną być razem i doświadczać bliskości. Szukają siebie jak rozproszone kiedyś po świecie przez Zeusa połówki stanowiące jedną istotę. Pisał Platon: „A jeśli kiedy taki czy jakikolwiek inny człowiek przypadkiem znajdzie drugą połowę, wtedy nagle dziwny na nich czar jakiś pada, dziwnie jedno drugiemu zaczyna być miłe, →

„ Nie istnieje racjonalna odpowiedź na pytanie: Dlaczego kochamy? Każda odpowiedź jest bowiem zawsze związana z poszukiwaniem wartości, które by ją usprawiedliwiły

TADEUSZ GADACZ

Wenus i Adonis.
Obraz pędzla Charles'a-
-Joseph'a Natoire'a



FOT. BERW

→ bliskie, kochane, tak że nawet na krótki czas nie chcą się rozdzielać od siebie. I niektórzy życie całe pędzą tak przy sobie, a nie umieli by nawet powiedzieć, czego jedno chce od drugiego. (...) Ich obojga dusze, widocznie, czegoś innego pragną, czego nie umieją w słowa ubrać i dusza swe pragnienia przeczuwa tylko i odgaduje" („Uczta”). Ukochany nie widzi świata poza ukochaną.

Innego uczucia doświadcza matka zatroskana o dziecko, o jego zdrowie i rozwój, pełna poświęcenia, zaniepokojona o jego przyszłość. Innym uczuciem jest miłość dzieci do rodziców związana ze wspomnieniem domu, jego zapachów, smaków i doznawanej niegdyś troski. Jeszcze inną jest miłość przyjacielska, której towarzyszy uczucie zrozumienia i porozumienia. Odmianą jest miłość bliźniego, która wyraża się we współczuciu. Bliźni ukazują się nam najczęściej w postaci biblijnej wdowy, sieroty, obcokrajowca, czyli samotnego, pozabawionego opieki, obcego. Sama jego obecność apeluje do naszej odpowiedzialności. Miłość bliźniego, choć wyraża się we współczuciu, nie jest altruizmem. Altruizm, jak pokazał to Max Scheler, kieruje się zawsze do braków osoby: do jej choroby, osamotnienia, opuszczenia. Natomiast miłość zwraca się zawsze ku samej osobie.

Nie zajmuje się zatem chorobą, biedą i opuszczeniem, jak dawne mieszczańki sporządzające paczki na święta dla bezimiennych chorych i biednych, lecz troszczy się o chorego i opuszczonego, o konkretnego człowieka, którego imię, choć często powszechnie, jest niepowtarzalne.

Od miłości bliźniego odmienna jest miłość samego siebie, która inaczej niż samolubstwo i egoizm jest uczuciem szacunku wobec siebie i akceptacją siebie samego. Od niej odmienną jest miłość Boga, wyrażająca się w doświadczeniu skruchy i pragnieniu miłosierdzia. Jeszcze innym porywem serca jest miłość ojczyzny, za którą się tęskni, nie mogąc do niej powrócić, lub walczy o jej wyzwolenie.

Pomimo odmienności uczuć, które wywołuje w nas namiętna miłość między kobietą i mężczyzną, miłość rodzicielska, dziecięca, siostrzana, przyjacielska czy miłość ojczyzny, wiemy, czym jest, gdy jej doświadczamy. Trudniej jest jednak ją określić. Nie tylko dlatego, że „miłością nazywa się kilkuniedniowy kaprys i związek dwojga ludzi wzajem obojętnych, i uczucie, w którym nie ma nic z szacunku, i flirt towarzyski, i wystygłe przyzwyczajenie, i romantyczną fantazję, i nagłe pożądanie, po którym następuje niechęć; miłością nazywa się sto różnych złudzeń i chimer”

(Wolter, „O życiu, miłości i śmierci”); nie dlatego, że wiele jest rodzajów miłości. Raz mówimy o miłości w sensie najwyższym, jak miłość Jezusa, innym razem o miłości platonicznej, jaką była miłość świętego Franciszka i świętej Klary, czy wreszcie miłości namiętnej. Miłość dlatego trudno jest określić, że, jak twierdził Gabriel Marcel, nie jest problemem, lecz tajemnicą. Problem to przedmiot, który możemy zbadać, rozebrać i naprawić jak zepsuty zegarek. Tajemnica jest czymś, w czym sami uczestniczymy, w stosunku do czego nie możemy stanąć w dystansie. Ukochany jest tym, do którego mówimy (tajemnica). Gdy zaczynamy mówić o nim, staje się problemem. W tej samej chwili przestaje jednak być ukochanym. Miłość nadaje sens życiu człowieka. Żyjemy po to, aby kochać i być kochanymi. Nie możemy też być szczęśliwi bez miłości. Dlatego święty Augustyn porównał miłość do siły cią-

„Kochamy nie dla wartości, które ktoś ma, a czasami może je utracić. Kochamy nie za coś, ale często pomimo

TADEUSZ GADACZ

żenia: „Każda rzecz porusza się według swej siły ciężenia i dąży do właściwego jej miejsca. Rzeczy wytracone ze swego miejsca są niespokojne; gdy się im przywraca porządek, osiągną spoczynek. Moją siłą ciężenia jest miłość: dokądkolwiek zmierzam, miłość mnie prowadzi” („Wyznania”). Wiele wieków później francuski filozof i matematyk Blaise Pascal stwierdził w „Myślach”: „Kto może wobec tego wątpić, że jesteśmy na świecie dla czego innego niż dla kochania?”. Człowiek kieruje się pragnieniem miłości, gdyż nie wystarcza mu sam fakt nagiego istnienia, jak w przypadku istnienia drzew, kwiatów, kamieni czy przedmiotów. Nie wystarcza mu jedynie przyjść na ten świat i tak sobie odejść z tego świata. Człowiek pragnie obecności, a obecność jest zawsze życiem wobec innych i dla innych. Tych, dla których nasze istnienie jest ważne, którzy zachowują choćby jakieś wspomnienie po nas. Prawdziwa obecność, ta, która jest dla człowieka źródłem sensu życia, nie wypływa z istnienia „z innymi” i „obok innych”, lecz „dla innych”. Można razem pracować, należeć do jednej organizacji, żyć z innym pod tym samym dachem, a nawet spać razem w jednym łóżku, a być tak od siebie daleko.

Wyobraźmy sobie sytuację, która czasami się zdarza. Przyjęliśmy zaproszenie na otwarcie

nowej galerii. Wchodzimy trochę onieśmieni. Nie wiemy, czy kogoś rozpoznamy. Dostrzegamy kątem oka stojące grupy osób pijących wino i rozmawiających ze sobą. Przechodzimy na drugi koniec sali i sami stajemy pod ścianą. Nikt nas nie rozpoznaje, nikt do nas nie mówi, nikt nas nie zauważa, nikt od nas niczego nie chce. Jesteśmy, ale jakby nas nie było. Być może ktoś wejdzie, kogo rozpoznamy lub kto nas rozpozna i zwróci się do nas. Wówczas dopiero stajemy wobec. Jesteśmy dla niego, gdyż on jest dla nas. Tylko „jest” pozostaje bezimienne i nieobecne. „Jesteś” jest zawsze „wobec” i „dla”. Jestem, gdyż ty jesteś.

Człowiek, pragnąc obecności, pragnie domu. Pisał ksiądz Józef Tischner: „Zadomowienie jest miejscem kobiecej i męskiej wzajemności. (...) Kobieta w samotności nie posiada domu. Samotny mężczyzna również nie posiada domu. Mimo to mężczyzna ofiarowuje ko-

biecie dom i kobieta ofiaruje dom mężczyźnie. Na tym polega istota wzajemności, iż człowiek ofiarowuje drugiemu to, co w ogóle staje się możliwe dzięki obecności drugiego przy nim” („Filozofia dramatu”). Można mieć mieszkanie, ale nie mieć domu, gdyż dom nie może powstać z potrzeby wymiany osamotnienia, egoizmu, życiowej pospolitości, beznadziei. Kiedy potrzeba bycia razem wypływa jedynie z braku, z wewnętrznej pustki, osamotnienia, do udręki życia, którą niesie los, dodaje jeszcze kolejną udrękę. Pisał Franz Kafka do Mileny: „Ci bowiem, zawierający związki małżeńskie z rozpaczą osamotnienia – cóż na tym zyskują? Gdy do samotności dokłada się drugą samotność, nie powstaje z tego nigdy ojczyzna, tylko katorgia. Jedna samotność przegłąda się w drugiej, nawet wśród najgłębszej, najciemniejszej nocy” („Listy do Mileny”).

Dom powstaje z pragnienia, z nadmiaru dobra i miłości, którymi obdarowując, pragnie się jeszcze bardziej obdarowywać. Do takiego daru zdolni są jedynie ci, którzy nie uciekają od życia, ale potrafią przyjąć je w pełni i radości. Umieją dostrzec promień słońca, spadający liść, uśmiech dziecka. Droga daru, bycia „dla”, jest drogą, która prowadzi do domu. Droga bycia jedynie „z” lub „obok” ostatecznie prowadzi do wyobcowania, kryjówki, a wręcz

katorgi. Dom jest miejscem bliskości. Zbliżamy się jednak do innych nie wtedy, kiedy jesteśmy „z” lub „obok”, ale w mierze, w jakiej zdolni jesteśmy do coraz większego daru własnego istnienia. Dar obecności jest wyjątkowym darem. Nie zastąpi go telefoniczna rozmowa, internetowy kontakt czy nawet wspólne życie funkcjonujące jak dobrze zarządzane przedsiębiorstwo. Wymaga szczególnej uwagi, zatrzymania się, dostrzeżenia niepowtarzalnej wartości innego istnienia. Jest jak dotyk dłoni, którego nie zaspokoją żadne podarunki. Zbyt rzadko jesteśmy dla siebie obecni, a przecież trzeba tak niewiele. Także dlatego zbyt rzadko, że obecność jest tak oczywistym doznaniem jak oddech. Dostrzegamy jej wartość najczęściej dopiero wtedy, gdy jej braknie.

Gdy ktoś opuści nas, odejdzie, zaczynamy rozumieć. Lepiej jest jednak usiąść obok, uchwycić dłoń, niż po śmierci troszczyć się o pamięć i wspominać czyjaś wielkość i dobroć, jakby nie dało się jej dostrzec za życia. Dar obecności jest samą miłością. Jest tak ważny, że często, a nawet wówczas, gdy niczego nam nie brak, a doświadczamy braku obecności, tracimy sens życia. To dlatego w święta Bożego Narodzenia ze wzruszeniem przypominamy sobie wszystkich samotnych i pozabawionych domu.

Miłość nie kieruje się korzyścią, jest w pełni bezinteresowna. Nie stawia żadnych wstępnych warunków. Nie kocha się bowiem za coś. Dlatego nie istnieje racjonalna odpowiedź na pytanie: Dlaczego kochamy?

Każda odpowiedź jest bowiem zawsze związana z poszukiwaniem wartości, które by ją usprawiedliwiły. Kochamy jednak nie dla wartości, które ktoś ma, a czasami może je utracić. Dlatego, jak stwierdził Scheler, dopiero tam, gdzie kończą się wszystkie możliwe odpowiedzi na pytanie o usprawiedliwiające miłość wartości, zaczyna się granica prawdziwej ponadczasowej miłości. Kochamy bowiem nie za coś, ale często pomimo. Gdyby miłość opierała się jedynie na wartościach innego, czym stałaby się, gdyby ich nie

odnalazła? Na czym by się oparła, gdyby inny je utracił? Miłość nie kocha bowiem za wartości ani przymioty. Jeśli pytanie o racje jest racjonalnym pytaniem, to miłość nie jest racjonalna. Kocha, bo kocha, ty to ty. Każda próba odpowiedzi prowadzi ostatecznie do jej zafałszowania. To, że miłość nie jest racjonalna, nie oznacza jednak, że jest ślepa. Tym, ku czemu kieruje swe spojrzenie, jest samo istnienie innego. Pisała Simone Weil: „Szukać u ludzi kochanych (albo też pragnąć im dać) innej pociechy poza tą, jaką dają nam dzieła sztuki, pomagając nam już przez to samo, że istnieją – to nikczemność. Kochać, być kochanym, to tylko tyle, co przydawać wzajemnie konkretności swojemu istnieniu, nieustannie uprzytamniać je sobie nawzajem” („Świadomość nadprzyrodzona”). Najważniejsze dla rodziców jest to, że „jest” ich dziecko, że „istnieje”, dla przyjaciela – że przyjaciel jest w pobliżu, dla mężczyzny – że „istnieje” jego ukochana. Dlatego prawdziwe wyznanie miłości może mieć jedynie formę: bądź. Bądź na wieczność. Miłość, wychodząc od odkrycia istnienia drugiego: „ty jesteś”, zamienia je w życzenie, które jest prawdziwym wyznaniem miłości.

To nie wartości są warunkiem miłości, gdyż miłość nie stawia żadnych warunków, lecz one same dopiero dzięki niej się odsłaniają. To nie poznanie jest zatem warunkiem miłości, lecz miłość warunkiem poznania.

To ona, jak pięknie pokazał Scheler w interpretacji biblijnej przypowieści o synu marnotrawnym, daje nam oczy ku widzeniu. Ojciec, który wyszedł naprzeciw powracającego syna, nie stawiał żadnych warunków skruchy czy pokuty. Prawdopodobnie w ogóle nie wiedział, w jakim celu wracał jego syn. Otwierając ramiona na jego przywitanie, otwarł w ten sposób przestrzeń miłości. Dopiero w niej syn zrozumiał swoją winę: „Wzbudzona już skrucha nie jest podstawą i warunkiem przebaczenia i pełnego miłości przyjęcia ze strony ojca, lecz skrucha wybucha potężnie dopiero

w zdumiewającym spojrzeniu ojcowskiej miłości. (...) Toteż jeśli oczekuje się miłości, a znajduje wychowawczy gest, jakiego «powinno» – następstwem tego jest upór i urażona dumą” („Istota i formy sympatii”). Podobnie myślał Martin Buber o wychowankach: „Oto wchodzi on po raz pierwszy do klasy, widzi ich skulonych przy stolikach, rozmieszczonych przypadkowo, źle lub dobrze zbudowanych, o twarzach pustych, zwierzęcych albo szlachetnych – ma przed sobą obecny jak gdyby stworzony wszechświat. Spojrzenie wychowawcy akceptuje i przyjmuje ich wszystkich. (...) Bo jeżeli Bóg «kształtuje światło i stwarza ciemność», człowiek jest zdolny to i to pokochać – pokochać światło dla niego samego i ciemność dla światła przyszłego” („Wychowanie”).

Jeśli istotą miłości jest pragnienie istnienia tego, kogo kochamy, to największym jej zagrożeniem wydaje się być śmierć. Dlatego miłość i śmierć związane są ze sobą nierozdzielnie. Związek miłości i śmierci nie jest jednak takim samym związkiem jak związek życia i śmierci, gdzie śmierć stanowi naturalny kres życia na podobieństwo ostatniego akordu zamykającego symfonię. Śmierć w odniesieniu do życia nie oznacza żadnego kresu, ale wręcz przeciwnie – pełnię. Kładąc się bowiem cieniem na każdej chwili, odkrywa nieodwracalność czasu. Dlatego każde wyznanie miłości przeniknięte jest dreszczem śmierci.

Bez śmierci miłość nie byłaby tym, czym jest – niepowtarzalnością: „Może tylko teraz i nigdy więcej”. Śmierć czyni miłość niepowtarzalną i bezwarunkową. Dlatego dopiero śmierć uczy kochać. Nie jest jednak łatwo kierować uwagę na teraźniejsze chwile, dlatego najczęściej uciekamy we wspomnienia przeszłości lub wybiegamy w przyszłe marzenia, podczas gdy miłość jest zawsze przeżyciem teraźniejszej chwili.

Pisał Jean Guilton: „Tak właśnie jest w życiu: nie potrafimy cieszyć się chwilą obecną, tak jest gęsta, nieprzejrzysta, poznanie działa zawsze wstecz, poprzez pełne żalu wspomnienie. Ci, których kochamy, nawet w chwili gdy ich kochamy, pozostają nieznani; dopiero po ich wyjeździe albo śmierci ukazują się ich prawdziwa twarz i pojawia się miłość niewyraźna i rozdzierająca. Może materialna obecność oślepi nas, ludzi, swoim nadmiarem tak, że nie potrafimy dotrzeć do duszy, do istoty” („Dziennik”).

Dlatego dopiero cień śmierci, który zaciemnia życie, pozwala odkryć to, co w nim najważniejsze na podobieństwo ziół, które najintensywniej pachną na pustyni.



Prof. dr hab. Tadeusz Gadacz

56 lat, urodzony w 1955 roku w Krakowie, uczeń księdza profesora Józefa Tischnera. W latach 1991–1995 był dziekanem Wydziału Filozofii Papieskiej Akademii Teologicznej, w latach 1996–1999 kierownikiem Katedry Filozofii Religii na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Warszawskiego. Obecnie jest dyrektorem Instytutu Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. Jednocześnie od 1998 roku pełni funkcję kierownika Katedry Filozofii w Collegium Civitas. W 2008 roku dostał nagrodę dla najlepszego wykładowcy w historii tej uczelni. Jest autorem ponad 130 polskich i zagranicznych publikacji naukowych. Profesor Gadacz zajmuje się historią filozofii XX wieku, filozofią Boga i religii, metafizyką, filozofią człowieka i edukacji. „Historia filozofii XX wieku” to jego największe dzieło, nad którym pracował wiele lat.

Miłość ci wszystko wypaczy



Ja tylko w miłość łabędzią wierzę, na całe życie, od której nie możesz uciec, choćbyś próbował na wszelkie możliwe sposoby, i do której zawsze wracasz – mówi Beacie Chomętowskiej pisarz **WOJCIECH KUCZOK**

„Kiedy mówię „miłość”, nie myślę: miłość bliźniego, miłość chrześcijańska, miłość do dzieci. Miłość – ta miłość, namiętność, rodzaj choroby – jest przypisana jednej osobie

WOJCIECH KUCZOK

Wojciech Kuczok, pisarz, 40-latek...

– Ejże, mam dopiero 39 lat! Daj mi się jeszcze chwilę nacieszyć. 40-latek to był bohater serialu Gruzy, którego z dzieciństwa zapamiętałem jako starszego pana. Nie mów mi tak, bo zaraz mnie czarna żółć zaleje.

No więc: pisarz Kuczok, prawie 40-latek, teraz na stypendium w Berlinie, siedzi sobie nad brzegiem jeziora Wannsee, gdzie dokładnie 200 lat temu popełnili samobójstwo Heinrich von Kleist ze swoją kochanką Henriettą Vogel. I co o nich myśli? Wariactwo? Czy raczej kiwa głową ze zrozumieniem?

– To nie był poryw romantycznej namiętności, przynajmniej ze strony Kleista, który miał silniejszą skłonność do chłopców, a nawet mężczyzn. Henrietta już prędzej – umrzeć razem z mężczyzną, z którym nie sposób żyć; poddać się obmyślonej przez niego celebrze, żegnać ze światem w geście bez mała artystycznym, przeciągając ostatni, wystawny posiłek, wznosząc kolejne toasty. Ale przecież ona wiedziała, że jest śmiertelnie chora, czego być może nie powiedziała Kleistowi – więc i tu jakieś wyrachowanie się czai, jakaś perwersja w tym wykonypowaniu, chociaż oboje zostawili pożegnalne listy wystylizowane na miłosne litanie. To było nieco przeaaranżowane, Kleist z pewnością nie umarł z miłości, tu raczej zdecydował weltschmerz.

Nadal wierzysz – jak to kiedyś ująłeś – w miłość?

– Ba, jako... Ino w miłość. Im dłużej siedzę nad Wannsee, w tych oparach pruskiej melancholii, tym bardziej wierzę w miłość, wicie... Miłość jest prosta, nie zna wyrafinowanych katastrof. Owszem, miłość ci wszystko *wypaczy*, bo póki czujesz się kochany przez Tę Jedyną, nadwyżka endorfin zniekształca obraz świata, ale wtedy jedyna śmierć, o jakiej można myśleć, to chyba tylko wielki rozpuk z nadmiaru szczęścia.

Czym ta miłość właściwie jest?

– To określenie przyszło mi do głowy w czasie, gdy pisałem swoje „chłopowiadania”. Chodziło mi o taką miłość potoczystą, prostą, naturszczykowską, niezajającą kalkulacji

i w związku z tym niepotrzebującą psychoterapeuty ani poradników, jak przetrwać kryzys w małżeństwie.

Twoja miłość do Kariny, z którą rozstaliście się po urodzeniu waszego syna i po latach wróciście do siebie, to też miłość, a nie romantyczna historia?

– Zdecydowanie miłość, która trwa już 20 lat, niezależnie od epizodu rozstaniowego. To, co mnie wiąże z Nieżoną, jest w jakimś sensie pierwotne, odwieczne; myśmy się naprawdę dość wcześnie odnaleźli z głębokim przekonaniem, że to uczucie wędruje z nami przez kolejne wcielenia. Tyle że jako młodziaki nie bardzo uwierzyliśmy, że to tak od razu, już na zawsze, tylko ten, tylko ona – dlatego nieudane przygody małżeńskie były być może konieczne, żebyśmy rozpoznali jakość tej naszej miłości na skali uczuć. My się jej przyglądamy trochę jak zjawisku przyrodniczemu, więc przyjmujemy za dobrą monetę także te chwile, kiedy między nami zawiewają jakieś wichry gniewne, czasem wprost huraganowe, ale tak to już jest w przyrodzie, że nie zawsze łąsi się do nas jako przyjemny landszaftik. Klótnie bierzemy za taki sam zdrowy objaw jak okresy rodzinnych sielanek, wszystko się musi równoważyć. Wiesz, myśmy się nie poznali na uniwersytecie, nie dobrali podczas intelektualnej pogawędki o wyższości późnego Beethovena nad wczesnym Haydnem, nie zwąchaliśmy dobrego biznesu w mariażu – na nas to spadło jeszcze jako na dzieciaki właściwie – jakiś ogień po prostu. I ciągle się pali, wiesz, kiedy jesteśmy razem, wyraźnie podnosi się temperatura otoczenia... No, ale to nie była od razu taka miłość bezpreludyjna, jakby powiedział mistrz Pankowski, musiałem swoje wychodzić, a za drugim razem głównie wypisać w miłosnych listach. Wpakałem w nie tyle energii, że przez parę miesięcy nie miałem już sił pisać prozy.

No proszę. A ja myślałam, że rozmawiam z prawie 40-latkem, który siedząc w swojej samotni nad Wannsee i popijając wino, będzie raczej patrzył na podobne emocje z dystansem, jak jeden z jego ulubionych autorów – Thoreaux nad jeziorem Walden.

– A miłość jest właśnie bardzo w duchu waldenowskim. Toż przecie Thoreaux wypłul cywilizację miejską i pobudował sobie chałupkę na jeziorze po to, żeby wieść życie proste i harmonijne. Poza tym to były czasy ograniczonych pokus, kiedy oświecaliśmy sobie izby lampami naftowymi i nie kalkulowaliśmy codziennie, czy aby w bilansie związku straty nie zaczęły przewyższać zysków, bo wtedy natychmiast trzeba się rozstać. Ja tylko w taką →

→ miłość labędzią wierzę, na całe życie, od której nie możesz uciec, choćbyś próbował na wszelkie możliwe sposoby, i do której zawsze wracasz. W najgorszym wypadku dopiero na łożu śmierci, gdzie zamiast słowa „Różyczka”, jak w „Obywatelu Kane”, powiadasz imię jakiejś pierwszej miłości, o której myślałeś przez dziesiątki lat, mimo żeś jej głupi, nie miał odwagi zdobyć.

Tylko że on jej już nigdy nie spotka. A w takim przypadku jak twój jest happy end, ponowne spotkanie, kurtyna opada i potem co? Smutek spełnionej baśni?

– W sytuacji, w której teraz się znajduję, czyli odosobnieniu trwającym już trzy tygodnie, które zakończy się przed świętami, wszystko jest podrasowane rozłąką. Tęsknotą. To rodzaj higienicznego zabiegu, odświeżenia, szczęśliwie mam taki zawód, że nie wiąże mnie miejsce pracy, więc nieustannie gdzieś podróżuję, nierzadko bez Nieżony Karli. Odpoczynek od siebie jest bardzo ważnym elementem dbałości o związek miłosny. Jeśli zaczyna cię nużyć powtarzalność, jeśli we łbie się lęgnie herezja, że wieloletni związek stracił smak świeżości, masz doskonałą okazję, żeby się przekonać, że tak nie jest. Stara miłość pozostaje świeża, tylko czasem przestajemy ją zauważać, jak obrazy na ścianach naszych domów, które przezroczyścieją, bo są z nami od kilkudziesięciu lat i zapominamy o ich istnieniu. Kilka dni, sporadycznie kilka tygodni rozłąki w zupełności wystarcza.

A jeśli ktoś nie ma takiej możliwości? Miłość nie zaczyna trącić po jakimś czasie rutyną, przyzwyczajaniem, jak każda monogamia?

– Nie, bo oboje z Nieżoną Karaluchią zdajemy sobie sprawę, że to tańpicie, euforia, ten rausz, który się nam przytrafił w życiu dwa razy, był tak silny, tak ekstraktywny, jeśli chodzi o gęstość emocji, że teraz jesteśmy we władaniu chęci, by to wciąż odtwarzać. Takie znikania, rozstania, powodują, że nasza przestrzeń ciągle się wietrzy; więcej jest w niej niedosytu i tęsknoty niż przesytu i przemęczenia, o które też łatwo, bo to, że gdzieś tam jesteśmy ze sobą tyle lat, wcale nie świadczy, żeśmy się idealnie dopasowali pod względem charakterów. Ale w długotrwałym związku czujesz, że druga osoba staje się częścią ciebie. To coś więcej niż miłość czy miłość, czy przywiązanie, to rodzaj podwójności istnienia. Oczywiście musimy pamiętać, że uprawiam teraz dyskurs nieracjonalny, bo z medycznego, psychologicznego punktu widzenia to, o czym mówię, należałoby nazwać chorobliwym, patologicznym uzależnieniem. Miłość nie jest przejawem zdrowego rozsądku – powiadał

Roland Barthes: „Uczucie rozsądne: wszystko się układa – lecz nic nie trwa. Uczucie miłosne: nic się nie układa – a jednak to trwa”. A zatem rozmawiamy o chorobie; próbujemy eufemizować, zagadać nagi fakt, że jako człowiek zakochany przez 20 lat w Nieżonie jestem nałogowcem – miłości. To trochę tak jak cały ten wysublimowany język degustatorów wina, w którym naprawdę chodzi o to, żeby nie nazwać wprost alkoholizmem tego, że się do przetrwania potrzebuje dziennie sporej dawki, dajmy na to, burgunda. Tak, jestem maniakiem kochania, rozmawiasz z człowiekiem, który w pewnym sensie od 20 lat nie wytrzeźwiał.

Naprawdę myślałeś o jednej kobiecie przez tych 11 lat?

– Raczej wyczuwałem to organicznie, bo próbowałem wypchnąć to podówcześnie zawiedzione uczucie poza świadomość. Ale w krainie fantazmatów Nieżona Karo była obecna choćby poprzez to, że tak zwane kobiety w moim typie w istocie podobały mi się przez swoje podobieństwo do niej. Tak jakbym kiedyś spróbował jakiegoś twardego narkotyku i tak naprawdę wszystko, co odtąd robiłem, w jakiś sposób było próbą zagłuszenia tego narkomańskiego głodu, który gdzieś tam na dnie duszy ćmił. Po naszym powrocie byłem już zdeterminowany, wiedziałem, że nawet jeśli ten związek przyniesie wiele trudności i kosztów emocjonalnych, to ja w to wchodzę świadomie, już tego nie wypuszczę z rąk, bo tylko z tą kobietą w jakiś sposób sięgam nirwany. **Czyli musi być po góralsku, namiętność aż zadudni, niech iskry polecą, człowiek czuje, że żyje?**

– Wszystko, co nas łączy, jest z krwi, z mięsa, z życia. Gdzieś wyczytałem, że kilkuletnie dziecko, widząc, że w filmie zanoszą się na seks, powiedziało: „O, a teraz będą się ze sobą zdeierać”. Mogę powiedzieć, że nasza codzienność obfituje w wiele wymiarów zderzeń.

A może miłości czy – jak mówisz – miłości nie ma, są tylko poruszenia emocji, jakieś reakcje w mózgu, hormony, feromony?

– Nawet jeśli nami rządzą feromony, a miłość to jest reakcja chemiczna, to nie zmienia postaci rzeczy – w moim życiu ta chemia działa. **Ale jednocześnie mówisz, że najszcześniejszą chwilą w twoim życiu były narodziny córki, którą zresztą masz z inną kobietą.**

– To nie tak. Narodziny Stasia, naszego z Nieżoną Karrambą syna, były równie szczęśliwym dniem. Tylko że on rodził się w czasach, kiedy nie było jeszcze czegoś takiego, jak porodówka dla świadomych ojców. Mogłem go zobaczyć dopiero po paru dniach, przyjsię, pomachać,

przekupić salową, żeby mógł wejść na korytarz. W przypadku Zosi, która przychodziła na świat już w zupełnie nowej rzeczywistości, w nowym tysiącleciu, było tak, że mogłem mieć dziecko na rękach już w pierwszych sekundach jego życia. Żałuję, że Stasia nie mogliśmy z Kariną rodzić razem, ale na początku lat 90. nikomu się jeszcze nie śniło o akcji „Rodzić po ludzku”. Ale kiedy mówię „miłość”, nie myślę: miłość bliźniego, miłość chrześcijańska, miłość do dzieci – to są inne rodzaje uczucia. Miłość – ta miłość, namiętność, rodzaj choroby, o którym rozmawiamy, jest przypisana jednej osobie. Ona nie może być rozproszona i uniwersalna. Szkoda, że brak w naszym języku rzeczownika, który by to różnicował.

Czyli jednak z wszystkich odmian miłości najważniejsza jest miłość?

– Najbardziej istotna jest miłość własna. Człowiek, który nie jest w stanie siebie pokochać, choćby uporcezywie poszukiwał wzajemności i akceptacji u drugiej osoby, to ich nie znajdzie.

Wojciech Kuczok

39 lat, prozaik, poeta, krytyk filmowy, speleolog, kibic piłkarski. Kuczok debiutował w 1999 roku tomikiem „Opowieści słyszane”. Uznanie przyniosła mu jego pierwsza powieść „Gnój”, na podstawie której Magdalena Piekorz nakręciła film „Pręgi”, zdobywcę głównej nagrody na festiwalu filmowym w Gdyni w 2004 roku. Piekorz przeniosła na ekran również drugą powieść Kuczoka „Senność”. Doskonale posługuje się gwarami, szczególnie góralską. Pisał felietony sportowe między innymi do „Rzeczpospolitej”. Ponad 400 razy schodził do jaskiń. Odkrył między innymi Jaskinię Dującą i Twardą na południu Polski.

Jak w tym powiedzeniu: „kochaj bliźniego jak siebie samego”, rozumianym zazwyczaj na opak? Że to bliźni najważniejsi?

– Wielu nie rozumie tego powiedzenia i próbuje mieć pretensje do siebie, że im w życiu nie wychodzi, a tak naprawdę nie wykonali tego pierwszego kroku. Zaniedbali miłość własną. Wbrew pozorom to bardzo istotny temat, niemający nic wspólnego z egoizmem. Jak człowiek się ze sobą zaprzyjaźni, to zmienia się również fizycznie, ta miłość emanuje na całą zewnętrzną.

Mówi się, że kobiety, które kochają siebie, przyciągają mężczyzn.

– Widocznie najsilniejszy jest feromon miłości własnej.

www iPad Zakochani dłużej żyją i rzadziej popełniają samobójstwa – przekonuje w rozmowie z „Przekrojem” doktor Wojciech Kulesza, psycholog miłości ze Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej. Tylko na www.przekroj.pl i iPady

Neostrada Telewizja Telefon
@ TV
W FunPacku HD taniej!

Wytropisz każdy szczegół

Teraz 75 kanałów, w tym 14 HD, za 40 zł i dekoder HD za 0 zł!



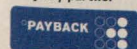
pakiety platformy n

www.tp.pl 801 505 505
salony TP i Orange

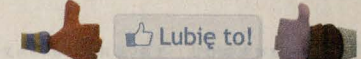


40 zł jest łączną ceną telewizji za pakiet 75 kanałów dla Klientów promocji pakietowej z Ekstra TV oraz promocji „Witaj HD-TP”, którzy zawrą umowę na pakiet usług: Neostrada z usługą TV i telefonią internetową oraz pakiet Witaj HD. Cena pakietu usług dla prędkości Neostrady 6 Mb/s wynosi 133,90 zł. Szczegóły dostępne są na stronie www.tp.pl, w salonach TP i Orange oraz pod numerem 801 505 505. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Oficjalny partner



Firma Przyjazna Klientowi



Serge, kocham cię!

Ludziom go brakuje. Wiedzą, jak dobre Gainsbourg miał serce, jaki potrafił być zabawny i miły w obyciu. Nie był szalony, zły, niebezpieczny. Był przeuroczym człowiekiem, niegrzecznym, gdy się upił, dość irytującym. Ale z nikim przez całe życie się tak dobrze nie bawiłam jak z nim. Francuzi też – o miłości ekstremalnej Annie Gacek* opowiada **JANE BIRKIN**

Romans twój i Serge'a Gainsbourga był piękny i burzliwy. A w nim dziwna historia z diamentami.

– Chyba dziwna... Mimo rozstania byliśmy blisko do jego ostatnich chwil. Kiedy zadzwonił, opiekowałam się ciężko chorym ojcem. Powiedział: „Nie spodoba ci się to, ale coś ci kupiłem. To diament. Wyda ci się to wulgarnie, bo jest bardzo duży”. Ja na to: „Zamknij się, Serge, i przestań wreszcie pić”. A on: „Nie, naprawdę kupiłem ci diament, bo może kiedyś przestaniesz ci się tak dobrze układać i będziesz mieć wtedy ten kamień. Będziesz mogła go sprzedać za dobre pieniądze. Nie rozstajesz się przecież z serduszkim od swojego ojca, które nosisz na szyi”. Odparłam: „Ale ono jest proste, złote, delikatne...”. Serge już dał mi kiedyś diament, ale straciłam go, gdy spłonął teatr, w którym grałam. Poszedł więc i kupił kolejny. A później zadzwoniła do mnie jego siostra, powiedziała, że Serge nie żyje.

Wróciłaś do Paryża.

– Cały czas powtarzałam sobie: to może nieprawda, to się nie stało. Aż spotkałam na lotnisku Philippe'a Lerichomme'a, przyjaciela Gainsbourga, i zobaczyłam, jak zamarł cały ruch wokół mnie. Gdy dotarłam do Serge'a, gdy było już po wszystkim, szef służby hotelowej wręczył mi czerwone pudełeczko od Cartiera. Zapytałam: „Co to?”. Odparł: „Serge wyszedł po to w śniegu, w swoich białych butach (które zresztą ja mu kupiłam) i wybrał ten właśnie diament na wystawie”. Nie mogłam w to uwierzyć – on, sam? Nie wziął taksówki? Nie złożył zamówienia telefonicznie? To była ostatnia rzecz, którą zrobił.

Czy kobieta taka jak ty mogła zmienić mężczyznę takiego jak on?

– Serge trzymał z facetami, bo dziewczyny go onieśmiały. I pewnie właśnie dlatego tak dużo

” Serge miał wpływ na całe pokolenie. Po śmierci Brassensa powiedział do mnie: „Jestem już tylko ja”. Odparłam: „To aroganckie stwierdzenie”. On na to: „Ale to prawda!”. I miał rację

JANE BIRKIN

pił. To dodaje odwagi. Myślę, że zaczęło się to jeszcze w czasach służby wojskowej. Bez kilku drinków nie ośmieliłby się zaprosić dziewczyny na randkę. Z pomocą alkoholu mógł wszystko, zapraszać je, spać z nimi. A później zaczął już z tego słynąć. A potem to go po prostu zabiło. To wszystko stało się bardzo →

→ monotonne, bo takie jest życie wiecznie pijanej osoby. Nawet gdy próbował rzucić picie, zawsze pojawiał się ktoś, kto mówił: No chodź, Serge! Zabijała go jego własna legenda. Nie widział siebie rzucającego alkohol czy palenie, rozmawialiśmy o tym. A przecież był już wtedy po dwóch atakach serca. Jednak nic go nie powstrzymywało. Przylapywałam go na picciu, paleniu, policzkowałam, uciekałam, dzwoniłam do mojego ojca. Ale on mówił, że nic już go nie zmieni. Nawet banalny spacer z psem stawał się wymówką, by mnie okłamać i zapalić papierosa.

Ale chcesz, by ludzie zupełnie inaczej pamiętali Serge'a.

– 20 lat temu starałam się wy tłumaczyć Anglikom, że Serge nie był zapijaczonym głupcem, który podpalał w telewizji 500-frankowe banknoty. Grałam w Londynie koncert charytatywny, zbieraliśmy na walkę z rakiem w jednym ze szpitali. Udzielałam wywiadu jakiemuś tabloidowi, chyba „News of the World”, i usłyszałam pytanie: „Nagrałaś jakieś inne sprosne piosenki, Jane?”. Opowiedziałam mu o „Je t'aime... moi non plus”, po czym padło kolejne pytanie: „A co teraz porabia Serge? Ciągłe pije?”. Pomyślałam: nie dam się sprowokować, nie będę płakać. Wrócę do Paryża i zajmę się tym. Zadzwo niłam do wszystkich, Cardinale, Bardot, Godarda, Mitterranda, Chiraca, po prostu do wszystkich. I każdemu z nich powiedziałam: „Napisz mi dwa zdania, co dla ciebie znaczy Serge”. Na

następnego dnia z mojego faksu popłynęły słowa Mitterranda: „Jest naszym Baudelaire'em, naszym Apollinaire'em”. Chirac też pięknie napisał. Pomyślałam wtedy: jeśli Anglicy nie wierzą mi, to będą musieli uwierzyć im. Wydrukowałam te słowa i wróciłam do Londynu na koncert, by powiedzieć tym wszystkim ludziom: „To właśnie dla Francuzów znaczy Serge”.

Czyli co dokładnie?

– Myślę, że Serge miał wpływ na całe pokolenie. Po śmierci Brassensa powiedział do mnie: „Jestem już tylko ja”. Odparłam: „Serge, to bardzo aroganckie stwierdzenie”. On na to: „Ale to prawda!”. Dopytywałam: „A co z Trenetem?”. Odparł: „Trenet nie pisze już piosenek”. A Serge go uwielbiał. Pytałam dalej: „A Léo Ferré?”. Odpowiedział dokładnie tak samo. I miał rację, Brel już nie żył, został tylko Serge, był już tylko on. Został sam w swojej kategorii, w której był mistrzem jak Cole Porter. Serge odkrył język francuski. Dlatego uczą się Gainsbourga w szkołach.

A co znaczy dla ciebie...

– To była wielka miłość, to, co było między nami. Ale ta miłość pozwoliła mu związać się z Bambou, mieć kolejne dziecko, Lulu. To wszystko złożyło się w sensowną całość. Później, gdy się rozstaliśmy, ale wciąż byliśmy przyjaciółmi, pół roku przed śmiercią napisał dla mnie „Amours des Feintes” („Miłość tego, który odszedł”). To jego ostatnia piosenka. Przyjaciółmi byliśmy do samego końca. Nawet gdybym chciała uciec od Serge'a, mieć własną tożsamość, nie mogłabym.

Wasz romans stał się legendarny dzięki piosence „Je t'aime... moi non plus”. Po co wracasz po latach do piosenek Gainsbourga?

– Myślę, że Serge byłby zadowolony, że w dość przewrotny sposób odkrywam jego przeszłość. Wykonuję przecież piosenki, których nawet ja dotąd nie znałam. Poznałam go, kiedy miałam 20 lat. On miał 40. Nie był specjalnie chętny, by się dzielić swoim wczesnym dorobkiem. Nie przepadał za brzmieniem swojego głosu w młodości, uważał, że był zbyt wyso-

„Serge lubił zwykłych ludzi, lubił słuchać ich opowieści, lubił spędzać czas w barach z innymi mężczyznami”

JANE BIRKIN

ki. A poza tym Serge'a odkrywa właśnie kolejne pokolenie. Jest niebawem popularny we Francji. Jest chyba osobowością numer jeden w tym kraju, nie tylko kompozytorem. Ludzie za nim tęsknią.

Czyli od dnia jego śmierci nic się we Francji nie zmieniło?

– Tak było 20 lat temu na jego pogrzebie, gdy lamentowali wszyscy, taksówkarze, dzieci, staruszki. Po wiadomości o śmierci Serge'a zjednoczyła się cała Francja. Ludzie śpiewali na ulicach „La Javanaise”, a ja siedziałam w mieszkaniu z moimi córkami, Charlotte i Kate, i z partnerką Serge'a, Bambou. Przed ceremonią wystawiono jego ciało na widok publiczny, by cała Francja mogła się z nim pożegnać. Musiałam go zostawić samego, choć nie chciałam, odwiedzały go tam tłumy przez trzy długie dni. I ostatniego dnia tego pożegnania zmarł mój ojciec. Opuściłam Paryż i pojechałam do Londynu. Pożegnałam tatę i wróciłam do Francji, gdzie rozpoczęły się już ceremonie na skalę wręcz narodową. To było tak dawno temu...

I niezmiennie od tego czasu jego paryski dom pokryty jest graffiti, słowami z całego świata wyrażającymi to samo: tęsknimy za tobą. Ludziom go brakuje. Wiedzą, jak dobre miał serce, jaki potrafił być zabawny i miły w obyciu. Nie był szalony, zły, niebezpieczny. Był przeuroczym człowiekiem, niegrzecznym, gdy się upił, dość irytującym. Ale z nikim przez całe życie tak dobrze się nie bawiłam jak z nim. Francuzi też. Może również dlatego, że nic go tak w życiu nie cieszyło jak prowokacje...

Ten wasz Paryż, waszej miłości i randek, był niesamowity, malowniczy, dekadentcki, Serge miał klucze do całego miasta...

– To był niezwykły czas. Przyjechałam do Paryża z Londynu, tego swingującego Londynu. Zagrałam w „Powiększeniu”...

Miałas prawo myśleć, że lepiej być nie może.

– Tak. To była kulturowa rewolucja. Pieniądże przestały mieć znaczenie, każdy mógł mocno malować oczy, no i pokazywać się w krótkich spódniczkach. A ja byłam żoną kompozytora Johna Barry'ego, córką dbających o mnie, choć niezbyt surowych rodziców. Pierwszy wspólny wieczór w Paryżu z Serge'em był pamiętny. Pracowaliśmy razem na planie filmu „Slogan”, skarżyłam się, że jest trudny we współpracy, czułam, że mnie nie lubi.

Chociaż pomógł ci dostać tę rolę...

– Podpowiadał mi tekst, bo nie znałam wtedy francuskiego. Musiałam wyglądać dość głupio, ale znakomicie płakałam, ponieważ właśnie opuścił mnie mąż. Jednak Serge'owi musiało się to wydawać odrażające, mieszanie życia osobistego z zawodowym i praca na planie filmowym, ot, typowa aktoreczka. Ale oboje byliśmy wtedy zranieni. Mnie opuścił John, jego – Brigitte Bardot. I tak powoli zaczęliśmy się do siebie zbliżać.

Aż wreszcie doszło do legendarnej już randki...

– ...ale przed nią, przed totalnym zakochaniem się w sobie w Wenecji, był dla mnie naprawdę nieprzyjemny. Pamiętam, że siedziałam w łazience, naga, przy wannie, w której on leżał, i nie mogłam wytrzymać tego jego spojrzenia. To było naprawdę trudne. Poprosiłam więc reżysera filmu, by umówił mnie na kolację z Serge'em. Poszliśmy na nią. Reżyser, Pierre Grimblat, szybko się ulotnił. Zostałam sama z Serge'em, byliśmy w klubie Regine, powiedziała mi do niego: „Chodź, idziemy zatańczyć”. A on na to: „Ale ja nie potrafię”. Odparłam: „To cudownie. Zatańczymy zatem coś wolnego”. Deptał mi stopy, zupełnie nie miał wyczuć rytmu. To też wydało mi się urocze. Bo oto stał przede mną mężczyzna, który wszystkim

wydawał się niebawem niebezpieczny, a tymczasem był zwyczajnie przestraszony.

Po tańcach...

– ...poszliśmy w miasto. Kolejnym punktem był klub Rasputin, gdzie znał wszystkich grajków i każdemu z nich wetknął w skrzypce 100-frankowe banknoty. Po czym powiedział: „Zagrajcie na zewnątrz «Valse triste» Siebeliusa”, i to była ścieżka dźwiękowa naszego spaceru do taksówki, wygrywana przez 20 skrzypków. Powiedział do mnie: „Są prostytutki, tak jak ja”. Wydało mi się to przeżabawne. Kolejnym przystankiem tej nocy był Calvados, tam z kolei rozbrzmiewała muzyka latynoamerykańska, znał tam jazzmana, Joe Turnera, grali razem na pianinie na cztery ręce. To było coś!

Potem...

– ...udaliśmy się do Madame Arthur. Na placu Pigalle otoczyły go z czułością wszystkie prostytutki. Pomyślałam wtedy: Jego wszyscy w tym mieście znają! W Madame Arthur panowie nosili damskie ubrania, trochę nie mieściło mi się to w głowie. Tam również Serge'a przywitano wylewnie. Jego ojciec jeszcze przed wojną dorabiał sobie, grając w tym klubie dla transwestytów. Kolejnym przystankiem były croissanty jedzone przy targu, gdzie rzeźnicy rozkładali swoje stragany. Serge zapłacił za szampana dla wszystkich, którzy pracowali przy mięsie. Wydało mi się to niezwykle. Zapytał mnie wtedy: „Czy chcesz wrócić do hotelu?”. Tam czekała na mnie córka i jej opiekunka. Odparłam: „Nie”. Myślałam, że zaprowadzi mnie do domu swoich rodziców, wiedziałam, że mieszkał wtedy z nimi. Ale zabrał mnie do Hiltona. Pomyślałam: on myśli, że jestem jedną z tych łatwych dziewczyn, a ja byłam twarda, niedostępna.

Na portierni spytano go: „Ten sam pokój co zwykle, panie Gainsbourg?”. A ja biłam się z myślami: Boże, co się za chwilę wydarzy?

Jane Birkin

65 lat, brytyjska piosenkarka i aktorka. Debiutowała na ekranie w „Powiększeniu” Antonioniego. Grała w filmach: „Basen”, „Kobieta mojego życia”, „Piękna złoźnica” czy „Je t'aime... moi non plus” wyreżyserowanym przez francuskiego barda Serge'a Gainsbourga, z którym związana była przez wiele lat. Taki sam tytuł ma wykonywana przez nich kontrowersyjna piosenka, nagrana w 1969 roku. Birkin wydała 15 albumów, z czego ostatni „Fictions” w 2006 roku. Piosenkarka mieszka we Francji, ma trzy córki: Kate Barry, Charlotte Gainsbourg i Lou Doillon.

Stroiłam dziwne miny w windzie, a gdy tylko weszłam do pokoju, spytałam: „Czy mogę iść na chwilę do toalety?”. Szarmancko odparł: „Oczywiście”. Kiedy wyszłam z niej, zobaczyłam, że śpi. W ubraniu, miał jedynie gołe stopy. Udało mi się wetknąć kawałek papieru w drzwi, by nie zatrasnęły się za mną, wybiegłam do drogerii, gdzie kupiłam singiel „Yummy, Yummy, I've Got Love in My Tummy”, wetknęłam mu go między palce u stóp i wróciłam do mojego hotelu.

Tak się to wszystko zaczęło.

Co pamiętasz z tych pierwszych wspólnych chwil?

– Jak rozśmieszał dzieci, kiedy nudziły się w restauracji. Z filtrów papierosów Gitanes i zapalek robił koniki i wielbłądy, a z pomocą serwetek urządzał swoją wersję „Lawrence'a z Arabii”. Uwielbiał rozśmieszać ludzi.

On zawsze potrzebował publiczności?

– Tak. Nawet w kontaktach z córką Charlotte musiał uzewnętrznic tę miłość, czy to w filmie „Charlotte for Ever”, czy w piosence „Lemon Incest”. Bał się z nią bezpośredniego kontaktu w domu, nie wiedział, jak się za to zabrać. Charlotte mówiła: „Chciałabym mieć zwyczajnego ojca”. Tak się złożyło, że miała nadzwyczajnego. Dla niego to, że deklarował miłość do swojej córki na oczach wszystkich, nie było niczym nadzwyczajnym. Tak robił ze mną, z Bardot. Chciał być jedynym mężczyzną, który sprawiał, że aktorki śpiewają. Isabelle Adjani, Vanessa Paradis. Wszystkie bardzo piękne.

Co tak wyjątkowego zdarzyło się w Wenecji, że co roku we wrześniu przyjeżdżaliście tam z Serge'em?

– Sporo wiesz... Pojechaliśmy tam z filmem „Slogan”. Zamieszkaliśmy w nie najlepszym hotelu. Wysłałam do mojej przyjaciółki Gabrielle pocztówkę ze słowami „stało się”. Dotarło do mnie, że się w nim zakochałam. Ale zaraz po skończonych zdjęciach do „Sloganu” chciałam lecieć do Anglii, bo bałam się, że Serge szybko się mną znudzi. Powiedziałam mu więc, że zamierzam wrócić do kraju. Usiadł przy świecy w L'Hôtel, gdzie zmarł Oscar Wilde, i przeplakał całą noc. A ja upierałam się przy swoim. Następnego dnia przy kolacji podszedł do mnie mężczyzna, który się nam przyglądał, i zapytał mnie: „Czy przyjedziesz do Saint-Tropez? Robię tam film z Alainem Delonem i Romy Schneider”. Miałam wielkie szczęście. Dzięki temu mogłam zostać we Francji.

Po tamtych zdarzeniach Serge chciał co roku jesienią odwiedzać Wenecję. Gdy dzieci wracały do szkoły, my wyrwaliśmy się na pięć dni, tylko on i ja. Podróżowaliśmy pociągiem,

bo nie lubił latać, budził nas włoski głos, jego brzmienie wydawało się nam szalenie ekscytujące. Serge zabierał mnie do Gritti Palace, najbardziej sztywnego hotelu w mieście. Wynajmował zawsze ten sam apartament. Zatrzymywaliśmy się tam zawsze w ostatnim tygodniu pracy Gritti, który zamykał swoje podwoje na zimę. Dzięki temu aż do kolejnej wiosny nikt nie wchodził do naszego pokoju. Był totalnym romantykiem.

Ta pierwsza randka, która skończyła się o świcie, wyznaczyła rytm waszego życia. Całą noc spędzaliście w sercu Paryża, rano wracaliście do domu, odprowadzaliście dzieci do szkoły, odspaliście je, poświęcaliście się rodzinnemu życiu i nocą miasto znów było wasze. Czy w takich warunkach była szansa na zachowania po prostu... zwyczajnie?

– Zdarzało się nam zostawać w domu. Wieczorami gromadziliśmy się całą rodziną przed telewizorem i oglądaliśmy westerny, a o jedzenie dbał wtedy Serge. Do mnie z kolei należały wakacje. Kupiłam dom na wsi, bo w naszym codziennym życiu irytowało mnie, że nie mogę nawet postawić mojej torebki na jego pianinie, bo je poruszę. Więc co roku na dwa miesiące latem wyjeżdżaliśmy na wieś.

Której Serge szczerze nie znosił.

– Mawiał, że czuje się tam, jakby go pochowano żywcem. Nie mógł się doczekać, kiedy otworzą bary. Ale zaprzyjaźnił się z farmarem, który mieszkał obok. Wracali do domu zawsze kompletnie pijani. Serge był wyrafinowany, ale zarazem bardzo prosty. Lubiał ludzi mieszkających na wsi, lubił słuchać ich opowieści, lubił spędzać czas w barach z innymi mężczyznami, był znakomitym przyjacielem zwykłych ludzi.

Powiedziałaś kiedyś, że obok inspiracji, jedyne, co zawdzięcza ci Gainsbourg, to sugestia, by się nigdy nie golił. I diament, który nosił na szyi.

– Rzeczywiście, dostał ode mnie diament. Ale strasznie się upił z moim bratem w Nowy Rok i go zgubił. Poszłam więc do sklepu z rosyjską biżuterią. Sprzedawali tam przepiękne rzeczy. Kupiłam mu szafirowe serce i bransoletkę, ponieważ Serge zupełnie nie miał włosów na rękach, co wydawało mi się szalenie wyrafinowane, wręcz boskie. Mogłam go ubierać jak jakąś hrabinę. Był przy tym męski i piękny jak nadzwyczajny poeta. Więc koniec końców udekorowałam go tymi szafirami.

Zaczął się od diamentu. I tak też się skończyło. Na diamencie, który dostałam od niego...

* Autorka jest dziennikarką radiowej Trójki.



„Przed operacją powiedziałam mężowi, że choroba coś mi zabierze, ale mi też coś dać

MAGDALENA PROKOPOWICZ

Nigdy nie byłam Matką Teresą

Chory powinien cierpieć. Nie wypada, by się śmiał, bo z czego tu się cieszyć? Taki panuje mit. I ja ten mit obalam. O miłości do siebie, która daje siłę do życia – mówi Marcelinie Szumer i Pawłowi Wieczorkowi

MAGDALENA PROKOPOWICZ, prezeska Fundacji Rak'n'roll

Dlaczego chorzy wstydzą się raka? Zdrowi i tak wiedzą, że ta choroba boli, że bywa śmiertelna. Po co się więc wstydzić? Czy jesteś winna temu, że zachorowałaś? Przecież winić się można za przeziębienie, gdy chodziło się bez czapki.

– Ja się winiłam. Miałam wdrukowany taki schemat myślenia. Moi rodzice zmarli na raka. Oboje. Gdy więc w 2005 roku dowiedziałam się o raku piersi, to poza wstydem pojawiła się myśl, że jest to jakaś kara od Boga. Choć nie byłam zbyt religijna. Na jakiś czas przerwałam nawet leczenie. Myślałam „po co, to i tak nic nie da”. A potem przez lata chodziłam na terapię do psychoonkologa, który wyjaśniał mi, że nie muszę się wstydzić choroby, bo rak to nie moja wina. Przekonał mnie. A wiadomo, że nastawienie do świata, do siebie, do własnej choroby to ważny element procesu leczenia. I pomyślałam, że każdy chory powinien mieć dostęp do takiej terapii.

Masz raka i pomagasz innym.

– Zanim zachorowałam, pomagałam w sposób podstawowy. Oddawałam ubrania do pck, czasem wysłałam sms na chore dziecko, przekazywałam pieniądze na pieska w schronisku. Nic, co

wymaga dużego zaangażowania. Teraz podziwiam ludzi, którzy nie potrzebują ciężkich doświadczeń, by zacząć wspierać innych. Ja dopiero po własnej terapii pomyślałam, że grzechem byłoby nie podzielić się całą moją wiedzą. Także o walce z polską służbą zdrowia, o murze, na jaki trafiają pacjenci, którzy chcą się czegoś dowiedzieć.

Mówisz ludziom, jak mają żyć z chorobą.

– Nie jestem żadnym guru, nie chcę się wywyższać ani udawać psychologa, którym nie jestem. Ale chcę mówić o tym, że mając raka i przechodząc chemioterapię, można jednak urodzić zdrowe dziecko. Chcę, by ta informacja docierała do chorych kobiet, którym nie powiedział tego lekarz. Jeden, drugi, trzeci ginekolog – wszyscy po kolei mówili mi, że muszę usunąć ciążę, że inaczej nie będę mogła się leczyć. Polecałam nawet na konsultację do Mediolanu – to samo. Dopiero w Centrum Onkologii od doktora Jerzego Giermka usłyszałam, że mogę urodzić zdrowe dziecko, że kobiety w ciąży lepiej niż inne znoszą chemioterapię. Jemu zaufałam. I okazało się, że mówił prawdę. Lekarze przeważnie o tym nie mówią. A przecież chore kobiety i ich rodziny mają prawo do informacji. Do porządnej opieki medycznej, do troskliwego lekarza, dobrego traktowania w szpitalu. Przecieram te szlaki.

Raczej wycinasz je maczetą w dżungli ignorancji.

– Lubię mieć cel. Pamiętam, że tuż przed operacją pomyślałam, a potem powiedziałam mężowi, że choroba coś mi zabierze, ale musi mi też coś dać. Że jest po coś. Sama nie wiedzia-

łam wtedy, czy nie mówiłam tego w jakimś przedoperacyjnym obłądzeniu. Bo Fundacja Rak'n'roll nie powstała od razu, dojrzewałam do działania. Gdy urodził się Leoś, czułam, że trzeba coś zrobić, by inne kobiety chore na raka też miały szansę na dziecko. Gdy pojawiły się u mnie przerzuty do wątroby, byłam już pewna, że muszę coś zrobić.

I co? Telefon do zaprzyjaźnionej agencji reklamowej: „Zakładam fundację, pomóżcie”?

– A skąd! Byliśmy akurat na zdjęciach do jakiejś reklamy. Mój mąż, który lubi opowiadać o mojej chorobie, zaczął rozmowę. Znajomi z agencji Euro rscg, którzy usłyszeli o naszych przejściach i pomysłach, podeszli do tego bardzo emocjonalnie. Zachwyca mnie upór i zaangażowanie, z jakim włączyli się w działania, które umożliwiły powstanie fundacji. Zwłaszcza że robią to po godzinach.

Tobie i tak chyba jest łatwiej niż innym. Znasz ludzi, prowadzisz agencję aktorską, jesteś blisko show-biznesu. Nie jesteś zwykłą chorą Magdą, nie jesteś znikąd.

– Przeciwnie. Jestem znikąd. Nie jestem znana i nigdy nie czułam, by praca, którą wykonuję, miała mi jakoś pomóc w otworzeniu fundacji. Najbardziej w prowadzeniu fundacji „pomaga” mi choroba, to przez nią tak wiele doświadczałam i przez nią szukam rozwiązań. Ja się nawet trochę krępuję prosić ludzi, żeby nas wsparli, przy wielu czuję się onieśmielona. Na szczęście teraz każda fundacja ma agencję PR, a gwiazdy oraz znani ludzie bardzo chętnie włączają się do pomocy i uczestniczą w rozmaitych akcjach. Naród się ruszył, bardzo →

→ mnie to cieszy, to takie moje miłe zaskoczenie. Wcześniej myślałam, że Polacy nie są skorzy do niesienia innym pomocy. Nie miałam racji. Ale staram się tego nie nadużywać.

Na premierze albumu „Boskie Matki”

Agnieszka Grochowska i Ilona Ostrowska, aktorki, które poprosiła o przeczytanie fragmentów książki, płakały naprawdę.

– My się nawet wcześniej nie znałyśmy. Poznałam je, gdy już prowadziłam fundację. Czasem trafia się na ludzi i od razu się wie, że to jest to, że świetnie się dogadamy. Pojawia się jakaś chemia. Z dziewczynami tak właśnie było.

Bo jesteś otwarta na ludzi, emanujesz ciepłem.

– Zawsze byłam towarzyska, ale wcześniej nie doceniałam znaczenia przyjaźni. Po mastektomii odciłam się od wszystkich: od rodziny, przyjaciół. Nie chciałam z nikim o tym rozmawiać, a o pokazaniu się bez peruki mowy nie było. Wszystko zmieniło się w dniu urodzin syna. W szpitalu zdjęłam perukę, poczułam, że to już nieważne. Mój brat, który przyszedł



FOT. Materiały Fundacji Rak'n'Roll

Po narodzinach Leosia Magdalena zdjęła perukę. Znow była sobą

„Mamy raka i bawimy się. Chcę odczarować myślenie o raku. Dlaczego chora kobieta nie miałaby poczuć się piękna, nie miałaby zadbać o siebie?”

MAGDALENA PROKOPOWICZ

do szpitala, pierwszy raz usłyszał, że miałam mastektomię. Wcześniej nic mu nie powiedziałam. I teraz już wiem, że powinnam była powiedzieć, bo wsparcie bliskich jest cenne. Wczoraj na przykład byłam w fatalnym humorze. Po pięciu minutach w towarzystwie dobrych znajomych zapomniałam o smartwieniach.

Co z tymi niedobrymi znajomymi? Tacy też przecież są. Trudno być w takich chwilach kochającą wszystkich Magdą?

– Ależ ja nigdy nie byłam Matką Teresą. Ale to prawda, choroba nauczyła mnie podchodzić do ludzi z większą wyrozumiałością. Zrozumiałam, że nie wszyscy muszą mnie lubić, że nie z każdym da się konie kraść. Pogodziłam się też z tym, że i ja nie muszę wszystkich lubić i nie z każdym zaprzyjaźnić. Czasem trzeba po prostu dać sobie spokój, nie ma w tym nic złego. Za to na pewno zmalała mi tolerancja na ludzkie dolegliwości. Gdy słyszę, że kogoś boli głowa albo ma katar, myślę sobie: „Też coś, katar! Przejdź chemię, to pogadamy”.

Są rzeczy, które zrozumie tylko chora osoba?

– Nikt nie da chorej osobie tyle zrozumienia, ile drugi chory. Wiem, że podopieczni

fundacji mi ufają, bo wiedzą, że przeszłam to samo.

No i patrząc z boku, to wszystkie dobrze się bawicie. Sesje zdjęciowe, weekendy w spa. Ktoś może powiedzieć: „Co to za pomoc, lepiej by ta Prokopowicz zrobiła, zbierając pieniądze na leki dla chorych”.

– Cały czas zbieramy pieniądze na leczenie, na leki, na życie, na terapię, mamy stale około 20 podopiecznych. Pomagamy także dzieciom podopiecznych, którzy odeszli. Wszystkie nasze akcje są zupełnie bezpłatne dla pacjentek. Mamy grupy wsparcia psychoonkologiczne dla chorych i rodzin. Pomagamy prawnie i w uzyskaniu dostępu do leczenia, piszemy pisma do NFZ, MZ, pomagamy w znalezieniu lekarza. A poza tym – tak, bawimy się. Chcę odczarować myślenie o raku: chory powinien cierpieć, umartwiać się, nie wypada, by się śmiał, bo z czego tu się cieszyć? Taki panuje mit. Ale tak nie musi być. Dlaczego chora kobieta nie miałaby poczuć się piękna, nie miałaby zadbać o siebie? Jasne, że od pomalowanych paznokci nie wyzdrowieje. Ale te pomalowane paznokcie, piękny makijaż, ciuchy wybrane ze

stylistką – to wszystko sprawia, że przestajesz myśleć o chorobie jak o końcu świata, życia, końcu kobiecości. Wszystkie nasze akcje „odczarowujące” raka mają za zadanie zmniejszyć lęk przed tą chorobą, a w konsekwencji zwiększyć ilość osób badających się regularnie.

Ale rak to nie grypa, z której po tygodniu się wleczysz i zapomnisz.

– Tak, można jednak spróbować zmienić podejście chorej do jej własnej choroby. Przyjaciółka dowiedziała się niedawno o przerzutach do mózgu. Kiedyś zamknęłaby się w pokoju i płakała. Ale teraz pierwsze kroki skierowała do psychoonkologa. Nie powiedział jej nic, czego nie słyszałyby wcześniej, a jednak to było właśnie tym, czego potrzebowała, co dało jej siłę do walki.

Tę siłę daje innym także twój entuzjazm.

– Nie posądzałam się wcześniej o taki zapał, o taką kreatywność i energię do realizowania pomysłów. A teraz już nie umiem inaczej. Chcę być wśród ludzi, czuję, że to oni są sensem życia. Cieszy mnie, gdy podejmują pracę nad sobą, zmieniają podejście.

Ostatnio, kilka tygodni po akcji „Metamorfozy”, napisała do mnie jedna z jej uczestniczek, dziewczyna z małego miasteczka. Wcześniej wstydziła się mówić komukolwiek, że jest chora. Teraz przysłała mi zdjęcia z sesji, którą sobie zrobiła. Fotografie niemal erotyczne, bez peruki, z którą wcześniej się nie rozstawała. Miała odwagę wrzucić te zdjęcia na swój facebookowy profil. Wioska pewnie o tym aż huczy, a ja się cieszę, że dziewczyna się otworzyła. Zrozumiała, że ma prawo żyć i się uśmiechać. ●

Fundacja Rak'n'Roll. Wygraj życie. Numer konta Fundacji: 73 1140 2017 0000 4502 1050 9042

Magdalena Prokopowicz

33 lata. Na raka choruje od 2005 roku, w 2007 urodziła syna Leona, we wrześniu 2009 założyła Fundację Rak'n'Roll. Wygraj życie, która zbiera pieniądze na leczenie chorych na raka, organizuje warsztaty z psychoonkologami. Inicjatorka akcji „Daj Włosa” (w części salonów fryzjerskich można było ściąć włosy i przeznaczyć je na peruki dla chorych na nowotwór). Pomysłodawczyni albumu „Boskie Matki”, którego bohaterkami są podopieczni fundacji (dochód przeznaczony na odnowienie poczekalni onkologicznych, by stały się przyjazne pacjentom), a także organizatorka akcji „Nie po to kupiłam sukienkę, by umrzeć – metamorfozy Moniki Jaruzelskiej” (chore na raka przeszły zabiegi z rehabilitantem, konsultacje z dietetykiem, kosmetyczką, fryzjerem i stylistką). Właścicielka dwóch agencji aktorskich.



KRAKOWSKI
KREDENS

TRADYCJA GALICYJSKA

www.krakowskikredens.pl



Czy matce wolno nie kochać?

O silnym narkotyku, jakim jest miłość do dzieci, w rozmowie z Olą Salwą opowiada szkocka aktorka **TILDA SWINTON**

W filmie „Musimy porozmawiać o Kevinie” gra pani Evę, matkę nastoletniego mordercy. Czy matka ma obowiązek kochać swoje dziecko?

– W naszym społeczeństwie to temat tabu. Panuje przekonanie, że w chwili gdy na świat przychodzi nowy człowiek, automatycznie pojawia się wobec niego instynkt macierzyński. Trudno przyznać, że nie zawsze tak jest.

Pani ma dwójkę dzieci, bliźniaki Finneasa i Honor. Kochała je pani od chwili narodzin?

– Tak, i uważam się za szczęściarę. Pamiętam, jak tylko je ujrzałam, od razu je pokochałam. Ta miłość przypomina silny narkotyk. Dzięki niemu udaje się matkom przeżyć tę szaloną życiową jazdę na rollercoasterze, bo tym są przecież narodziny i wychowanie dziecka. Niestety o matkach, które wychowują dzieci bez uczucia, bez instynktu, prawie się nie mówi, a jest ich wiele. Dlatego książka Lionel Shriver (na jej podstawie powstał film – przyp.

Mówi się za to bardzo dużo o przemocy wśród nastolatków, strzelaninach w szkole, agresji.

Czy dzieci dopiero teraz stały się złe, czy może zawsze takie były?

– Nie wiem. Dziś dzieciaki rzeczywiście dużo czasu spędzają podłączone do internetu, gdzie łatwo trafić na filmy i zdjęcia przesyczone agresją. Choć nie sądzę, aby akurat to miało wpływ na ich zachowanie. Wbrew pozorom one dość dobrze odróżniają prawdę od fantazji, życie od sztuki.

Bohaterowie mojego ostatniego filmu należą do uprzywilejowanej klasy średniej, większość życia upłynęła im na przyjemnościach i myślą, że wszystko mają pod pełną kontrolą, bo nie doświadczyli nigdy niczego złego. Tymczasem zaskakują ich własne dzieci. Może dlatego, że w ich życiu pojawiły się późno.

W pani też, miała pani 36 lat, gdy je urodziła.

– Tak, ja na szczęście nigdy nie musiałam wszystkiego kontrolować, zawsze dobrze czułam się w luźnych formach i byłam gotowa na uczucie bezradności oraz chaos, jaki dzieci wniosą w moje życie. Niedawno skończyły 14 lat.

Zaczynają się buntować?

– Nie, jeszcze nie, ale muszą, i to już niedługo! To bardzo ważne, by nastolatki się buntowały. Wtedy mogą się rozwijać, walczyć o granice swoich tożsamości. Ja tego komfortu nie miałam, bo wychowywałam się w szkole z internatem i to takiej zwykłej, przeciętnej, nie było to żadne przerażające zamczysko z czasów wiktoriańskich. Nie doświadczyłam tam żadnej przemocy, już prędzej izolacji, byliśmy →

”Lubię tematykę macierzyństwa. Grałam role różnych skomplikowanych matek. Byłam alkoholiczką porywającą dziecko, romansowałam z kolegą syna, w jeszcze innym filmie wcieliłam się w rolę matki geja

TILDA SWINTON

red.), która odważyła się zapytać, co się dzieje, gdy nie kochasz swojego dziecka, wywołała w Wielkiej Brytanii burzę.

→ z pozostałymi dziewczętami takimi rozbitkami na morzu albo więźniami na statku pośrodku oceanu, zostawione same sobie. Jestem przeciwniczką internatów, cieszę się, że moje dzieci mogą się buntować w domu.

Jakie swoje doświadczenia z dziećmi przeniosła pani do filmu?

– Najmniej czerpałam z własnego życia, więcej z obserwacji. Moja bohaterka jest kobietą twardą, obytą, bez problemu umie sformułować myśli. W filmie było trudniej ją scharakteryzować, bo jest cały czas sama, nie ma z kim porozmawiać, podzielić się swoimi przeżyciami, tkwi w czystcu, więc trzeba było jej postać zmienić, tu z kolei opierałam się głównie na swojej wyobraźni.

Gra pani coraz częściej role matek.

– W ciekawych, głębokich filmach. Zadających widzowi trudne pytania. O zadania matki, granice jej wolności, zobowiązania wobec dzieci i samej siebie. Grałam role różnych dziwnych matek. Kilka lat temu w „Julii” Erica Zonki moja bohaterka była alkoholizką porywającą dziecko. W „Jestem miłością” romansowała z kolegą syna. W jeszcze innym filmie byłam matką geja, którego ktoś szantażuje.

Czego nauczyła się pani od swoich bohaterów?

– To są przecież wytwory wyobraźni, a nie portrety prawdziwych ludzi, są też zupełnie innymi kobietami, matkami niż ja.

Ale oglądając film, przeżywamy emocje fikcyjnych postaci, łatwo się z nimi identyfikować i zadawać sobie pytanie, co bym zrobiła na ich miejscu.

– To co innego. Jako widz albo czytelniczka bez problemu identyfikuję się z bohaterami

opowieści, szczególnie jeśli są ciekawie zbudowani. Gdy gram, to po prostu przebiegam się i udaję kogoś innego. Hmm... właściwie dopiero teraz się zorientowałam, że nie zostaje we mnie nic po moich bohaterkach.

Wychodzi na to, że nie poddaje się pani ani światu iluzji, ani realnemu. Stan izolacji jest chyba pani bliski. Zawsze miała pani opinię aktorki osobnej, odludka.

– I bardzo mi z tym dobrze. Zawsze świetnie czułam się jako kosmitka. Nie chciałam tego zmieniać. Mieszkam na farmie w Szkocji, z dala od przemysłu filmowego, nie wiem, jak on działa i nie chcę wiedzieć. Ostatnio zauważyłam, że w zachodnim społeczeństwie pojawiło się nowe zjawisko, nie tyle tabu, ile brak przyzwolenia na samotne, ciche życie. Na ludzi jest wywierana coraz silniejsza presja, żeby żyli publicznie. Użytkownicy portali społecznościowych kolekcjonują znajomych, których nigdy nie widzieli na oczy, ale dzielą się z nimi nawet bardzo prywatnymi myślami oraz zdjęciami swoich rodzin. Nie ma zgody na wylogowanie się z tego systemu, życie na uboczu.

Niedawno zmarł mój sąsiad, 96-letni starszek, który nigdy nie wyjechał dalej niż 30 kilometrów od swojej farmy. Był bardzo otwartym, towarzyskim człowiekiem, ale nigdy nie poszerzał kręgu znajomych na siłę. Zachodnia kultura każe nam zapominać, że tak można żyć: powoli, w spokoju i w wąskim gronie ludzi. Oczywiście to wszystko, co powiedziałam, nie dotyczy naszej rozmowy na Skypie, bo dzięki kamerom widzimy się nawzajem i to lepsze niż wywiad przez telefon.

Inny kulturowy przymus to... miłość. Widać ją

wszędzie: na plakatach, w gazetach, w telewizji. Ktoś, kto nie kocha, jest kaleką.

– Tylko czym jest miłość? Niektórzy uważają, że to bycie z kimś w związku, żeby razem odwracać uwagę od cierpienia i samotności. Taka para tworzy wokół siebie szum, który zagłusza wszystkie inne uczucia. Dla mnie miłość to dawanie świadectwa o życiu drugiego człowieka. Tak jest w „Musimy porozmawiać o Kevinie”, Eva odwiedza syna w więzieniu i, paradoksalnie, dopiero wtedy staje się jego matką, zaczyna go kochać. Może nie jest to najwspanialsze uczucie świata: miłe, ciepłe, miękkie, ale jest.

Czy Derek Jarman, awangardowy reżyser, którego była pani mężem, pokochałby ten film?

– Jestem o tym przekonana. Pisarka Lionel Shriver wzięła pod lupę drobiazg, jedno proste pytanie: „Co się stanie, jeśli urodzisz dziecko i nie masz instynktu macierzyńskiego?”. A potem podniosła dywan i wyciągnęła spod niego wszystkie zamiatane przez lata brudy. Derek doceniał taką postawę. Lubił mroczne miejsca.

Tilda Swinton

51 lat, aktorka. Wychowała się w szkockiej rodzinie szlacheckiej, studiowała na Uniwersytecie w Cambridge. Była żoną awangardowego reżysera Dereka Jarmana, zagrała u niego między innymi w „Edwardzie II”, „Caravaggiu”, „Wojennym Requiem”. Inne ważne filmy to „Orlando” oraz „Na samym dnie”. Pojawiała się też w produkcjach mainstreamowych: w „Opowieściach z Narnii” czy „Michaelu Claytonie”. Za rolę w tym ostatnim filmie otrzymała Oscara. Mieszka na farmie w Szkocji, ma dwoje dzieci.

REKLAMA

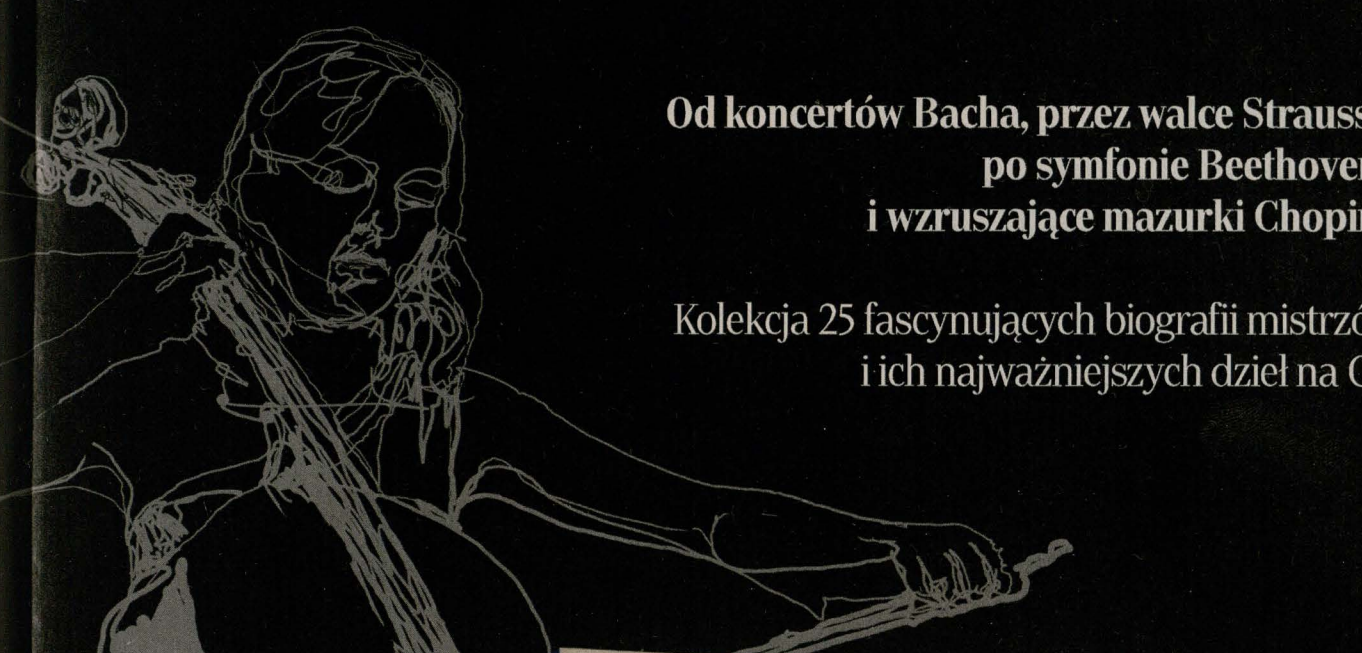
ZAPRASZAMY NA SZKOLENIA I KONFERENCJE

SZKOLENIA I KONFERENCJE

| | | | |
|--|---|---|--|
| <p>Zmiany w zakresie akcyzy w paliwach grzewczych i energetyce</p> <p>konferencja 11.01.2012 – Katowice</p> | <p>Związki zawodowe a pracodawca – aspekty prawne i negocjacje</p> <p>szkolenie 24–25.01.2012 – Warszawa</p> | <p>Wyodrębnienie i aport zorganizowanej części przedsiębiorstwa (ZCP)</p> <p>szkolenie 27.01.2012 – Warszawa</p> | <p>Rewolucja na rynku nieruchomości, czyli o obowiązkach wynikających z ustawy o ochronie praw nabywcy lokalu mieszkalnego</p> <p>konferencja 31.01.2012 – Warszawa</p> |
|--|---|---|--|

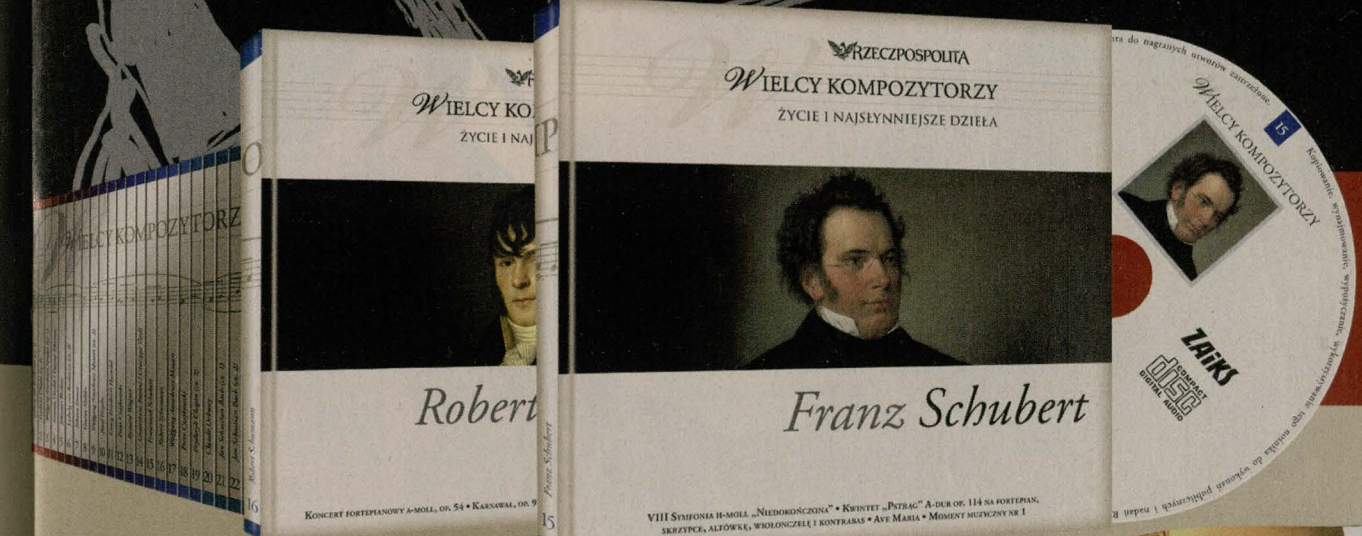
Zgłoszenia i szczegóły: www.rp.pl/szkolenia www.rp.pl/konferencje Kontakt: tel. (22) 46 30 266, 46 30 761

RZECZPOSPOLITA
WIELCY KOMPOZYTORZY
ŻYCIE I NAJSŁYNNIEJSZE DZIEŁA



Od koncertów Bacha, przez walce Straussa, po symfonie Beethovena i wzruszające mazurki Chopina

Kolekcja 25 fascynujących biografii mistrzów i ich najważniejszych dzieł na CD



Tom XV Franz Schubert już w sprzedaży

Tom XVI Robert Schumann w kioskach od 22 grudnia





Mam swoje tajemnice

Proszę pana, uczucia są piękne, czy te negatywne, czy pozytywne. Jak jest jakiś żal, to się płacze, jak jest radość, też można płakać. Są ludzie, którzy z radości płaczą, to jest taka pełnia człowieczeństwa, nie można nad tym człowieczeństwem tak panować – mówi Grzegorzowi Miecugowowi **DANUTA WAŁĘSA**, której książka „Marzenia i tajemnice” w kilka tygodni od premiery sprzedała się w ponad 100 tysiącach egzemplarzy

Przyznam, że parę razy wzruszyłem się przy lekturze pani książki.

– To pan ją przeczytał?

Oczywiście. Na przykład wzruszyłem się wtedy, gdy pani opisywała odebranie Nagrody Nobla

”Miło słyszeć, że ta książka wpływa na myślenie kobiet. Ale i pan ją czyta. Ostatnio jeden pan mówi mi tak: wie pani, po tej książce to ja się zrobiłem lepszą żoną”. To moja satysfakcja

DANUTA WAŁĘSA

w Oslo. Pani tam pojechała nie tylko jako żona Lecha Wałęsy, ale także jako reprezentantka nas wszystkich, a przede wszystkim polskich kobiet.

– Tak, to prawda. Wtedy po raz pierwszy wyjechałam za granicę, miałam odebrać Nagrodę Nobla, ale postawiłam przed sobą także

inne zadania, które mam wykonać. Gdybym sobie tego nie zaplanowała, to by tak nie wyszło. Wiele lat później, kiedy podróżowałam po świecie jako żona prezydenta, często mówiono mi: jak pani wspaniale wypadła wtedy w Oslo, płakaliśmy, to było wzruszające. Cieszę się, że pan się wzruszył, bo ja chciałabym, żeby ludzie tę książkę czytali jak powieść. Bałam się, żeby nie wyszło na to, że ja się żalę, że oczekuję jakiegoś współczucia. To jest pewna opowieść. I gdy ktoś mi mówi, że gdy czyta, to czuje się tak, jakby tam był, stał koło mnie, to myślę, że mi się to udało. A wzruszenie to piękne uczucie, prawda?

Tak. Ktoś mi po przeczytaniu tej książki powiedział, że pani jest jak połączenie ognia i wody. Jednocześnie twarda i ciepła.

– Gdybym nie była silna i twarda, to bym sobie nie dała rady. Uważam, że jak mamy do wykonania jakieś zadanie i do tego podchodzimy poważnie, to wszystko można osiągnąć. A co do tego ciepła, to myślę, że każdy człowiek powinien mieć w sobie dobro dla drugiego czło-

wieka. Ja bardzo szanuję wszystkich ludzi, dla mnie wszyscy są równi.

W 1980 roku potrafiła pani tupnąć, krzyknąć i wygonić całe rozpolitykowane towarzystwo z domu, bo były tam małe dzieci.

– Tak, zawsze rodzina jest dla mnie najważniejsza, bo musi być jakaś hierarchia wartości i ważności.

Pisze też pani, że bardziej boli zdrada przyjaciela niż atak wroga.

– To prawda, ale muszę panu powiedzieć, że w tych trudnych czasach bywało, że to od niektórych komunistów miałam więcej jakiegoś takiego poszanowania niż od niektórych ludzi z Solidarności. Po powstaniu związku w 1980 roku ludzie potrafili się bardzo zmieniać.

A do nowo poznawanych ludzi podchodzi pani z zaufaniem?

– Teraz mam większy niż dawniej dystans. Muszę chwilę porozmawiać, wyczuć człowieka. Wystarczy chwila rozmowy i wiem, jakie emocje wywołuję w tym człowieku, →

→ jakie uczucia. Tak jest nawet w kościele. Jesteśmy krajem katolickim, ale tylko z nazwy. Czasami nawet nie trzeba rozmowy, wystarczy komuś spojrzeć w oczy, by wiedzieć, czy jest szczerzy.

Zawsze miała pani tę umiejętność?

– To narastało. Kiedyś byłam bardzo ufna, ale potem wiele razy się sparzyłam. Ale bywało też tak, że potrafiłam od razu kogoś skreślić, czułam, że ten człowiek jest fałszywy, niedobry, nieuczciwy. Ale wszyscy mówili, żeby jednak zaufać, spróbować. A później się okazywało, że ten ktoś jednak był niedobrym człowiekiem.

Jest jeden dramatyczny moment w pani książce. Ten z historii najnowszej. To z września tego roku, wypadek Jarka.

– Teraz już się oswoiłam z tą sytuacją, ale wtedy to było straszne. Pierwsze dni były okropne. Gdy go zobaczyłam w sobotę po tym wypadku, to nie mogłam myśleć nawet o jego cierpieniu. Mąż wszedł do pokoju, w którym leżał Jarek, stanął w miejscu i się w ogóle nie ruszył. Miałam mu za złe, że on w ogóle nie podszedł do tego łóżka, nie dotknął syna,

– Tak, bardzo. Ja nie wiem nawet, po kim on jest taki dziwny i skąd w nim tyle samozaparcia. Planuje, że w ciągu miesiąca dojdzie do formy. Jego lekarz mówi, że w swojej 40-letniej działalności lekarskiej nie spotkał takiego przypadku.

Widziałem konferencję prasową, na której lekarze prezentowali pani syna.

– Fajnie, że tak wyszło, że można było pokazać tych wspaniałych ludzi i wspaniałych lekarzy. Dziękuję im za opiekę!

Spotkałem się z taką opinią, że historia pani życia jest kolejnym dowodem, że za mężem stanu przeważnie stoi wielka kobieta.

– To był też jeden z powodów napisania tej książki. Chciałam pokazać, że nie tylko mężczyźni walczyli o lepszą Polskę. Że były także kobiety. Niestety panowie, jak doszli do władzy, często zapominali, że te panie też były i nadal są, i że gdyby nie te kobiety, to oni sami niewiele by znaczyli. Mój mąż potrzebował wsparcia, ale nie miał szczęścia do ludzi, może poza Mieczysławem Wachowskim, któremu potem zaczęto zarzucać niestworzone rzeczy. Wspiera-

Danuta Wałęsa,

62 lata, żona swojego męża. W latach 1990–1995 pierwsza dama Rzeczypospolitej. Pod koniec lat 60. pracowała w kwiaciarni, niedaleko Stoczni Gdańskiej. Tam poznała Lecha. Pobrali się w 1969 roku. Z dokumentów Służby Bezpieczeństwa wynika, że wobec funkcjonariuszy była ostrzejsza niż mąż. W 1983 roku w imieniu Lecha odebrała w Oslo Pokojową Nagrodę Nobla. Ma ośmioro dzieci. Gdy mąż, już jako prezydent, przeniósł się do Warszawy, ona została z nimi w Gdańsku. W listopadzie 2011 roku ukazała się jej autobiografia „Marzenia i tajemnice”, w której między innymi wypomina mężowi, że idąc w politykę, zostawił ją samą, Lechowi Kaczyńskiemu – że był „niemotą”, a ojcu Tadeuszowi Rydzkowi, że jako polityk i biznesmen bezwzględnie wykorzystuje ludzi.

– To było takie nierozważne. Miałam w domu dzieci, najmłodsze miało miesiąc, był luty, a ja szłam z tymi kwiatami, bo chciałam pokazać, że ja jestem, żyję, i wierzyłam, że może dzięki temu ludzie obudzą się szybciej, zaczną też działać, zaczną coś robić, żeby zmienić tę sytuację. Jakaś siła mnie wtedy pociągnęła. No, ale to było porywanie się z motyką na słońce.

Wybaczyła pani generałowi Wojciechowi Jaruzelskiemu.

– To ciekawe, nie mam pretensji do tego człowieka, bo on wykonywał swoją pracę, robił to, co uważał za słuszne, a my robiliśmy to, co my uważaliśmy za słuszne. W pewnym momencie przekroczył swoje kompetencje czy prawo, którego powinien przestrzegać, ale ja nie mam do niego żalu. On reprezentuje inny świat. Żal mogę mieć do ludzi z mojego świata.

Alle Jerzemu Urbanowi pani nie wybaczyła.

– Bo Urban bardzo mi dokuczył. Był na przykład taki drobiazgi, ale zabolął mnie bardzo. To było w czasie, gdy mój mąż był prezydentem. Byłam na jakiejś uroczystości na Zamku Królewskim i miałam jedną perłę na łańcuszku. I Urban napisał, że to była sztuczna perła. Ja nie przykładam wagi do biżuterii, dla mnie to błahostki. Ale tamta perła była jednak prawdziwa. Urban i wcześniej, i później pisywał o mojej rodzinie różne bzdury. Więc może nie tak, że mu nie wybaczam, ale mu to pamiętam.

Opisuje pani esbeka, który wykręcił pani ręce podczas rewizji. Jako żona prezydenta mogła go pani odszukać, a jednak tego nie zrobiła.

– No tak, ale chciałabym się z tym człowiekiem spotkać i spojrzeć mu w oczy, i zapytać, co on wtedy czuł. I dlaczego był taki nadgorliwy. Bo wie pan, część gdańskiej esbecji była nam życzliwa.

Potrafil podwieźć córkę na pogotowie, bo nie było taksówek.

„Chciałam pokazać, że nie tylko mężczyźni walczyli o lepszą Polskę. Niestety panowie, jak doszli do władzy, często zapominali, że gdyby nie kobiety, to oni sami niewiele by znaczyli

DANUTA WAŁĘSA

tylko stał. Myślałam, jak on może tak stać, nic nie robić, jak on może. Ale później go zrozumiałam, on był sparaliżowany.

Może się bał, że się psychicznie rozsypie?

– Tak, on tym faktem był aż tak sparaliżowany. Jak stanął, tak nie był w stanie się ruszyć. Chyba się bał, że jak zrobi kroczek, to się rozplacze. Ale to normalne, jakby nawet zaczął płakać.

No, ale prezydent jest twardzielem.

– Proszę pana, uczucia są piękne, czy te negatywne, czy pozytywne. Jak jest jakiś żal, to się płacze, jak jest radość, też można płakać. Są ludzie, którzy z radości płaczą, to jest taka pełnia człowieczeństwa, nie można nad tym człowieczeństwem tak panować.

Jak wyglądało przywitanie Jarka w domu po szpitalu?

– Wspaniale, wszyscy się cieszyli. Przeleżał dwa tygodnie, niedawno zawiozłam go na rehabilitację do Krojant. Dzisiaj z nim rozmawiałam i mówi, że fajnie, że ma dużo ćwiczeń, że wkrótce będzie miał jeszcze więcej.

Jest bardzo dzielny.

– Na przykład. Ale też bywało tak, że jak mąż chciał się im urwać, to się urywał. W Gdańsku nie odczuwało się wrogości wobec nas, ale wystarczyło wyjechać za rogatki miasta, by odczuć nienawiść.

W ogóle pięknie pani pisze o Gdańsku.

– Tak, to jest moje miejsce odnalezione.

Wie pani, kto na pewno jest szczęśliwy, że pani tę książkę napisała? Agnieszka Grochowska, aktorka, która będzie panią grała w filmie o Lechu Wałęsie.

– Powiedziała tak panu?

Słyszałem w radiu.

– Był taki problem, że Andrzej Wajda i Krystyna Zachwatowicz przygotowywali się do filmu i namawiali mnie, żebym opowiedziała im trochę, ale ja już nie mogłam, bo byłam zobligowana do milczenia przez umowę z wydawnictwem. Niedawno spotkałam panią Grochowską. Długo rozmawialiśmy. Pani Agnieszka jest sympatyczna, wrażliwa, wydaje się stonowana i zarazem stanowcza, kiedy trzeba. Życzę jej powodzenia.

To ładnie się to wszystko ułożyło.

– Wyszło tak, jakby się ktoś umówił. Właściwie powinnam powiedzieć, że jestem dzieckiem szczęścia. Wszystkie rzeczy jakoś tak się zbiegają, tak się składają w całość, tak się ładnie układają, i tak się to wszystko uzupełnia.

Ciekawa jest pani tego filmu?

– Bardzo, także dlatego, że jestem krytyczna wobec siebie. Na przykład nie słucham żadnych wywiadów, których ostatnio udzieliłam. Ale też jestem ciekawa, bo ta książka to nie ja cała, to mniej więcej połowa mnie. Uważam, że trzeba mieć troszeczkę swojej tajemnicy, nie można tak do końca się otworzyć.

W końcu ma tytuł „Marzenia i tajemnice”.

– Tytuł idealnie pasuje do książki i w ogóle do mnie.

Czy popularność książki zaskoczyła panią?

– Bardzo, nie spodziewałam się takiego odbioru, jest wokół niej tyle emocji, tyle pozytywnych spotkań, odczuć. A ja byłam nastawiona raczej na krytykę. To, co się dzieje, po prostu mnie przerosło.

Czy wie pani, ile książek sprzedano?

– Słyszałam, że ponad 100 tysięcy. Niestety wydawnictwo chyba nie było przygotowane na takie zainteresowanie. Dlatego mam troszeczkę pretensje, że w wielu księgarniach jej już nie ma. Dzwonią do mnie ludzie i mówią: zrób coś, żeby ta książka była, bo jej po prostu nie ma.

Widziałem kolejkę, która się ustawiła do pani po spotkaniu w warszawskim Empiku, to było kilkaset osób.

– W Gdańsku w Dworze Artusa było jeszcze więcej. A w Krakowie chyba z tysiąc. Dodatkowo przychodzą do mnie znajomi, przynoszą po 10, 15 egzemplarzy do podpisania. Wie pan, to męczące, ale i niezwykle sympatyczne, czyli jest to taka męcząca przyjemność. Muszę się trochę mobilizować, bo ostatnio przywykłam do spokojnego życia.

Wie pani, że ta książka może się okazać bardzo potrzebna kobietom.

– Jest mi bardzo miło słyszeć, że jest to książka, która wpływa na myślenie kobiet, porusza je, a może dodaje im energii. Kilka dni temu dostałam list od starszej, osiemdziesięciodwuletniej pani, która przebywa w domu opieki. I ta pani pisze, że była w ogóle bez siły, ale gdy przeczytała książkę, to wstąpiła w nią

nowa energia. Dla tej jednej pani warto było napisać tę książkę. Inna pani napisała, że kupiła ją, przeczytała i oddała do biblioteki, bo wie o tym, że nie wszystkie kobiety będą nią stać, więc niech sobie wypożyczają. Jest to dla mnie wielka satysfakcja. Ale i panowie ją czytają. Ostatnio jeden pan mi mówi tak: „A wie pani, po tej książce to ja się zrobiłem lepszy dla żony”.

Czy pani dzieci ją przeczytały?

– Magda mieszka ze mną, więc wiem, że czyta, ale z przerwami, mówi, że bardzo się wzrusza. Z kolei młodsza córka, Brygida, mówi, że jeszcze nie dorosła do tej książki, że na razie ją schowała. O pozostałych nie wiem.

Jak będą wyglądały święta?

– U nas święta wyglądają co roku tak samo. W domu z rodziną. Mamy duży dom, więc wszyscy będą jak zwykle u nas.

Dzieci, wnuki... Ile pani ma wnuków?

– Dziesięcioro. Siedmiu chłopaków i trzy dziewczynki. Jedną wnuczkę mam już dwudziestoletnią.

A co by pani chciała dostać pod choinkę?

– Nie chciałabym nic dostać, chciałabym, żebyśmy się tak fajnie zebrali, pośpiewali koledzy, porozmawiali. Nie czekam na konkretny prezent. Jakieś drobiażdżki pewnie dostanę. Z każdego będzie satysfakcja.

Cyli nawet jeśli są marzenia, to są też i tajemnice.

– Jak są marzenia, to muszą być i tajemnice. I odwrotnie.



Spytaliśmy warszawiaków, czy warto się zakochać. Zobacz wideo na www.przekroj.pl oraz w „Przekroju” na iPadzie

REKLAMA

CZY WIESZ, ŻE ISTNIEJE NAWET
75 POWODÓW NA MINUTĘ
ABY DRUKOWAĆ TANIEJ?

OBNIŻAMY
KOSZTY DRUKU

KOSZTY DRUKU.pl

OBNIŻ KOSZTY DRUKU NAWET O 50%



Uczucie na pokaz

Łatwiej ją opisać, zatańczyć, zaśpiewać o niej, niż namalować. Sztuki wizualne ze swej natury są bardzo dosłowne, a dosłowność przecież zabija uczucia

BOGUSŁAW DEPTUŁA*

Ekstaza? Chyba tylko religijna. Namiętna? Może lektura książki lub listu... Moment miłosnego spełnienia, połączenia dwóch ciał, był przez wieki w oficjalnej sztuce niedostępny. Największe w historii obrazy o miłości są figurami sublimacji, umowności i metafory. Nie powstały po to, by wyrażać prawdziwe emocje – to dość nowe zjawisko, właściwie dopiero xx-wieczne – nie mogło być w nich pożądania, o erotyzmie nie wspominając, zazwyczaj były to przykładowe obrazy rodzinnego stadła.

Konsekwencje oglądania nagiej Wenus

Istniał jednak też mniej legalny obieg artystycznej ekspresji, usytuowany – jak byśmy dziś powiedzieli – na granicy pornografii. Takimi kompozycjami z pogranicza były liczne Wenus Tycjana, malowane na zamówienie arcykatolickiego króla Hiszpanii. Z jednej strony wielkiego dewota, twórcy i założyciela pałacu-klasztoru Eskurialu, a z drugiej ewidentnego erotomana, który owe mitologiczne, nagie i obfite w kształtach piękności wieszał w swoich prywatnych apartamentach. Powstałe w xvi wieku zmysłowe obrazy miały

właśnie taki erotyczny charakter i choć miłości czynnej nie przedstawiały, to do niej zachęcały. Ostateczne konsekwencje oglądania nagiej Wenus Tycjana wyciągnął Paul Cox w filmie „Kwiaty jego życia” (1983). Jego bohater już nie potrzebuje dotykać kobiet – to zbyt wulgarnie, wystarczy je oglądać, zupełnie jak to czyni organista z jednego z Tycjanowskich obrazów.

Furtką dla takiej tematyki była nieodmiennie mitologia, która pozwalała dość swobod-

imponujący, a i lista przemian, których z powodu miłości dokonywał, niebywała. By porwać Europę, zamienił się w byka, by uwieść Io – w chmurę, a by wnikać w Danae, spłynął złotym deszczem, żeby połączyć się z Ledą, stał się łabędziem, wreszcie, by uprowadzić nieletniego młodzieńca Ganimeda, zmienił się w orła. Boskie zakochania malowali najlepsi: Michał Anioł, Correggio, Tycjan, Rembrandt, Klimt.

„Największe w historii obrazy miłości są figurami sublimacji, umowności i metafory. Nie powstawały po to, by wyrażać prawdziwe emocje. To dość nowe zjawisko, właściwie xx-wieczne

BOGUSŁAW DEPTUŁA

nie erotyczne, a czasami nawet dewiacyjne sekstematy przemycać. Wszak sam arcybóg, czyli Zeus, był mistrzem seksualnych przebieżanek, których mogłaby mu pozazdrościć niejedna drag queen. Katalog jego zakochań był

Nieliczne wątki erotyczne znaleźć można także w Biblii. Nie ma tego oczywiście wiele, ale tym skwapliwiej korzystali z nich malarze. Po wielokroć w obrazach powracają Zuzanna i starcy – weźmy wspaniałe dzieło →

Egon Schiele
w Wiedniu
początku
xx wieku po-
zbawiał miłość
romantycznego
uroku, zajął się
drapieżnymi ak-
tami. „Miłość”,
1915 rok



Egon Schiele
1915

→ Tintoretta z Wiednia, gdzie ciało młodej kobiety przybiera kształt podobny do nieoszlifowanej, ale świetlistej perły. Naga siedzi nad wodą w swobodnej pozie, zdjęła biżuterię, przegląda się w lustrze. Starcy robią wszystko, by ją zobaczyć – jeden podpełza od dołu, drugi zachodzi z oddali... Liczne były także toalety Betsabe, jak choćby ta ze zmysłowego obrazu Rembrandta (obecnie w Madrycie). Kobieta jest zamyślona, jakby przeczuwała to, co się wkrótce wydarzy. Zobaczywszy ją w kąpeli, król Dawid pośle na śmierć jej męża Uriasza Hetejczyka, by móc się z nią połączyć. Owocem tego związku, przypomnijmy, będzie Salomon, mądry król...

Kuszące, zakochane, zacytane

Nie we wszystkich kulturach ciało ludzkie i erotyka były obłożone aż tak daleko posuniętym tabu. Na wielu kontynentach i w wielu kulturach ciało było symbolem płodności i szczęścia, a jego najpełniejszym wyrazem – stosunek seksualny. Indie i Japonia najdalej doszły w artystycznym wykorzystaniu miłosnych wątków. A japońskie drzeworyty erotyczne shunga i dziś potrafią zadziwić nawet bardzo wyrobione erotycznie oko.

W dobie baroku zdarzały się nieliczne malarskie wypadki do burdeli czy innych podejrzanym miejsc schadzek naznaczonych voyeurystycznym piętnem. Jednym z najdoskonalszych przedstawień płatnej miłości pozostaje drezdeńska „Kuplerka”, wczesne dzieło Vermeera. Młoda dziewczyna, zarumieniona, oblapiana za pierś, wyciąga rękę po złotą monetę, którą wręcza jej kapelusznik. Żółty kaftan tradycyjnie symbolizuje fałszywość uczuć (wszak w ten kolor ubierali malarze Judasza). Warto jednocześnie zauważyć, że spod tego samego pędzla wyszły również najpiękniejsze metafory miłości, czyli... kobiety czytające, piszące i otrzymujące listy. Ten najślawniejszy znajduje się także w Dreźnie: dziewczyna stojąca przy oknie zastęga w skupieniu. To, co czyta, jest niezwykle ważne, może to oświadczyń, może zerwanie?

W XVIII wieku, stuleciu oświecenia, ale i libertynizmu, na krótko doszło do rozluźnienia erotycznego gorsetu, a biusty w dosłowny wręcz sposób wylały się przed oczy publiczności. Malarze i rysownicy śmieiej wkroczyli do buduarów i sypialni. Wenus też poczuły się dużo swobodnej i dawały się przylapywać na czynnościach intymnych przy toalecie czy

w kąpeli. Obrazy Bouchera czy Fragonarda były swobodne, często wręcz prowokacyjne. Ale wraz ze świstem gilotyny ten nastrój przysł na bardzo długi czas. To wtedy zaczęły powstawać intymne przedstawienia miłości między zwykłymi ludźmi. Sceny rodzinne i przyjacielskie rodem z romantyzmu czy biedermeieru były momentem narodzin prywatnej uczuciowości. Była to jednak miłość powściągliwa: rozważna i romantyczna. Najpiękniej przedstawiał to Caspar David Friedrich: na jego obrazach widzimy pary, czy to kochanków, czy przyjaciół, które stoją tyłem do widzów i wspólnie patrzą na zachód słońca w oddali, księżyc czy odpływający okręt. Ta romantyczna wizja miłości szybko zostanie zbanalizowana w czułościowych, rodzinnych obrazkach biedermeieru.

Uciechy obłeśne, skotłowane spazmy

Drastyczną zmianę przyniesie przełom wieków. Chorobliwy Wiedeń końca Cesarstwa,

” W dobie baroku zdarzały się nieliczne malarskie wypadki do burdeli. W XVIII wieku na krótko doszło do rozluźnienia erotycznego gorsetu, ale wraz ze świstem gilotyny ten nastrój przysł na długi czas

BOGUSŁAW DEPTUŁA

siedlisko tradycji i nowoczesności, stał się idealną malarską scenarią cielesnych rozkoszy. To właśnie tu, w szkicach i obrazach Gustava Klimta i Egon Schiele zrodziła się prawdziwa miłość na obrazach. Poprzedzą ją zmysłowość, erotyzm, a może nawet i perwersja. Wszak za niemoralność swych śmiałych obrazów wyłącza Schiele w więzieniu. Była to cena, jaką zapłacił za czułość i ciekawość w przyglądaniu się ludzkiej anatomii oraz odwagę, by pokazać autoerotyzm. Malarz był w tym dosadny, ale równocześnie artystycznie doskonały. A jego przedwcześnie przerwane życie dopełniło legendarnego połączenia Erosa z Tanatosem, miłośnie i perwersyjnie scalonych na jego późnych płótnach. Jest sporo jego obrazów ze splecionymi w miłosnym uścisku kochankami. To prawdziwie miłosne obrazy, ich niespokojna faktura współgra ze skotłowaną i pogniczoną pościelą, a w połączeniu ciał jest jakaś konwulsja, spazm, prawdziwa namiętność.

Chorobliwą wersję miłości, w której dominującą, wprost wampiryczną rolę odgrywa kobieta, ukazał Edward Munch. Przepełniony mizoginizmem spod znaku Strindberga i Wedekinda, malarz przedstawia bezosobowe kobiety wysysające z mężczyzny życie. Nie lepiej dzieje się w dziełach niemieckich ekspresjonistów, w obrazach i rysunkach Dixa i Groscha. Tu też brak miejsca na czystą miłość, w świecie strasznych mieszczań królują płatne uciechy ze starymi kurtyznanami. Wszystko i wszyscy są obłeśni. Wiele z tej atmosfery przeniknie do „Kabaretu” Boba Fosse.

Plamy na prześcieradle

Całkiem nową kartę w wyobrazeniach miłości przyniesie druga połowa XX wieku i triumfujące: fotografia, kino i pornografia. To one będą nadawać ton miłosnym przedstawieniom, a sztuka będzie próbowała je gonić – z różnym skutkiem. Z tej nader swobodnej atmosfery zrodzą się znakomite fotografie Nan

Goldin z wiele mówiącej serii „Ballada o seksualnej zależności”. Pewnie najmocniejszym obrazkiem z tej serii, mówiącej o zatrzaśnięciu w nieoczywistych, pokomplikowanych seksualnych potrzebach, jest autoportret samej Goldin pobitej przez kochanka.

Natomiast Angielka Tracey Emin nie zawaha się przyprowadzić nas na skraj własnego łóżka, by bez większej (czytaj: żadnej) żenady objawić nam całe bogactwo jego zawarto-

ści. Praca „Wszyscy, z którymi spałam w latach 1963–1995”, pokazana na słynnej wystawie „Sensation” w Royal Academy of Art w Londynie, przedstawia namiot, na którym artystka wyhaftowała imiona i nazwiska swoich kochanków, ale także imiona osób z rodziny, z którymi dzieliła łóżko jako dziecko oraz... imiona dwójki dzieci, których nie urodziła, ponieważ poddała się aborcji.

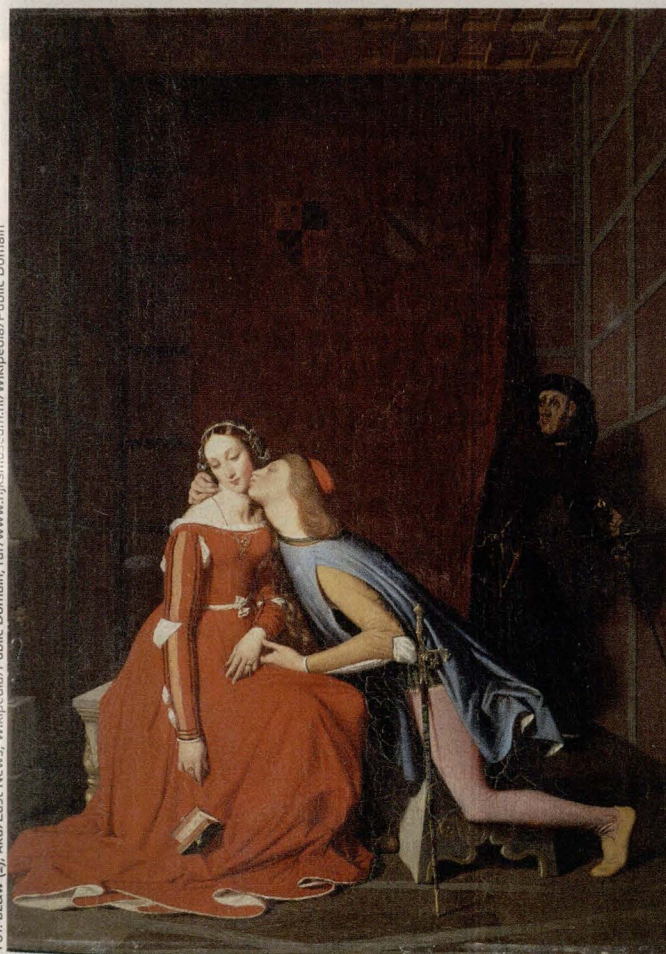
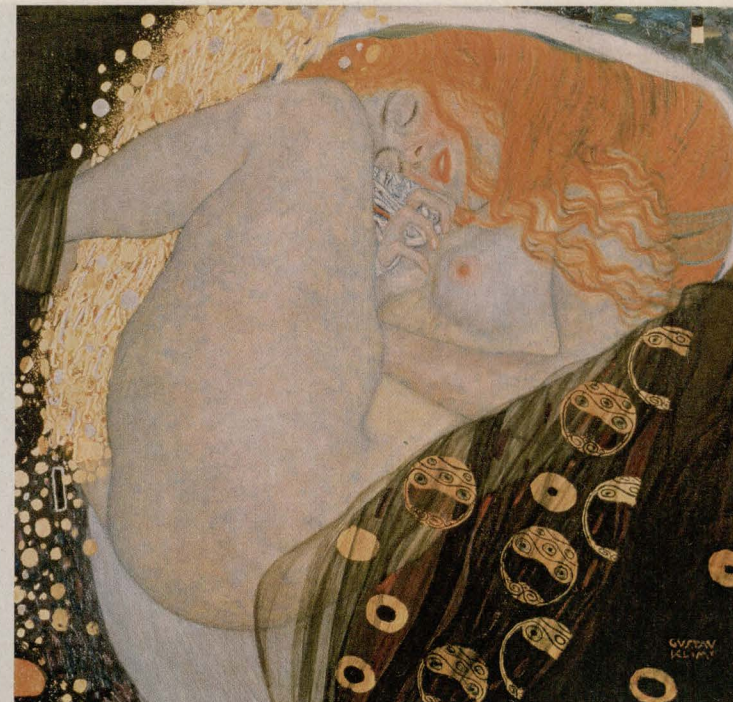
I nikt nie czuje się już zgorszony, czasy zgorzenia ostatecznie w sztuce przeminęły. Paradoks przedstawiania miłości polega na tym, że teraz można pokazać właściwie wszystko. Chyba tym jest trudniej.

*** Bogusław Deptuła** – 46 lat, historyk i krytyk sztuki, marszand, kurator wystaw. Autorytet w dziedzinie sztuki, literatury i kulinariów. Wieloletni współpracownik TVP Kultura, gdzie prowadził program „Informacje Kulturalne”. Od 2011 roku redaktor naczelny miesięcznika „Art & Business”. Wielbiciel francuskiej kuchni.



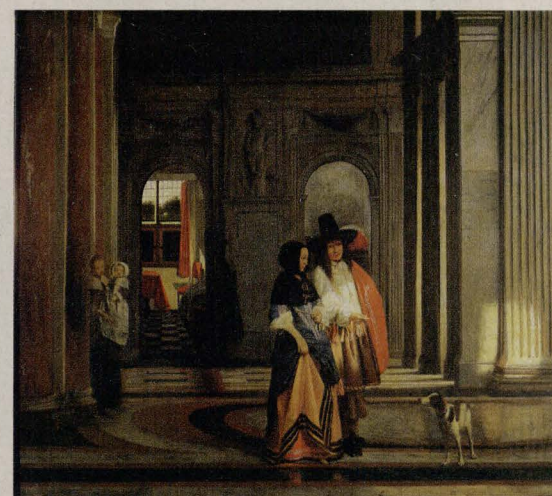
Gustav Klimt ucieka od dostojności i sięga po temat mitologiczny. Zwińnięta naga Danae, 1907–1908 rok

Pożegnanie kochanków w przeddzień nocy św. Bartłomieja w Paryżu. Ona jest katoliczką, on hugenotem. Krwawa masakra zacznie się niebawem. John Everett Millais, 1852 rok

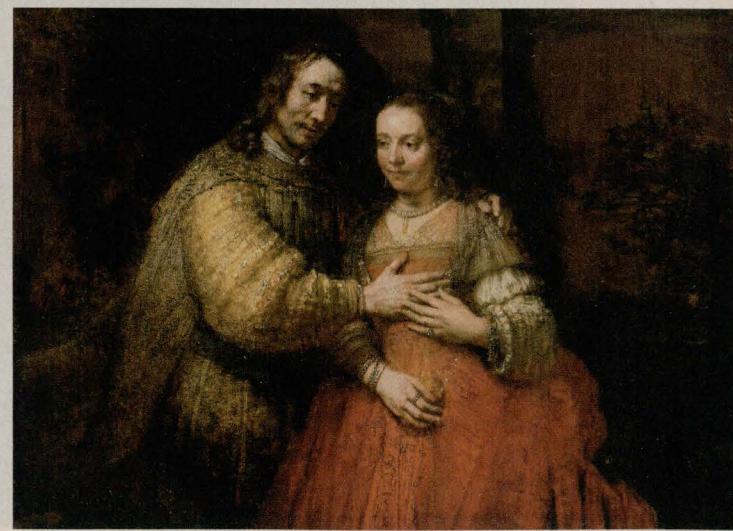


W XVIII i XIX wieku, okresie oświecenia, ale i libertynizmu, malarze śmieiej wkroczyli do buduarów i sypialni. **Jean-Auguste-Dominique Ingres „Paweł i Franciszka”, 1819 rok**

Zakochana para to prawdopodobnie Izaak i Rebeka. Rembrandt potrzebował jeszcze biblijnego pretekstu, by namalować „Żydowską narzeczoną”

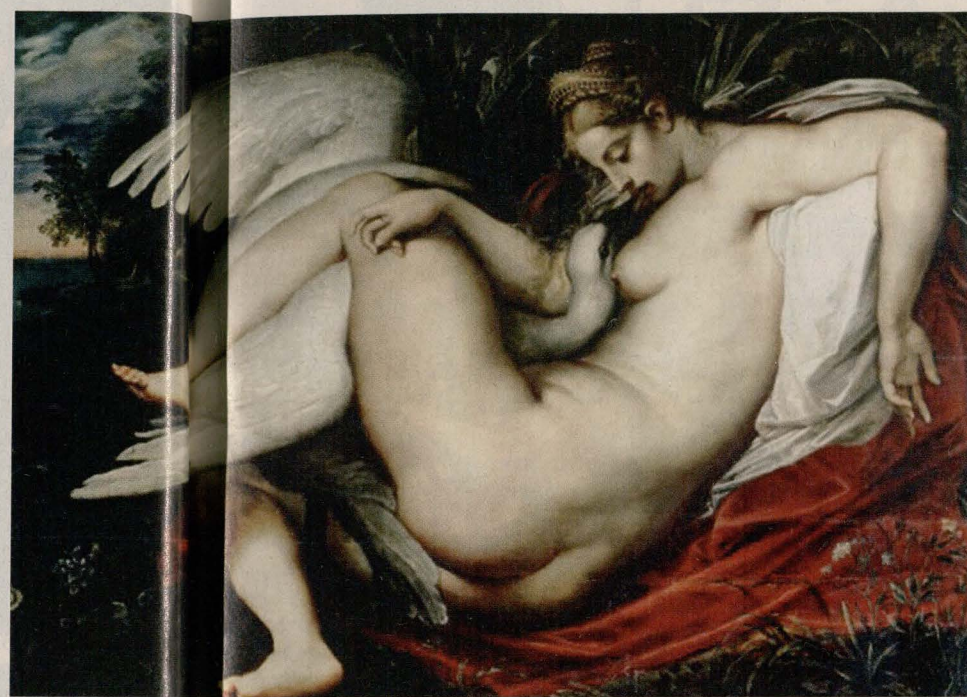


Zamknięte, mroczne wnętrza. To w nich w XVII wieku holenderscy mieszczaństwo przeżywali pierwsze randki. Pieter de Hooch



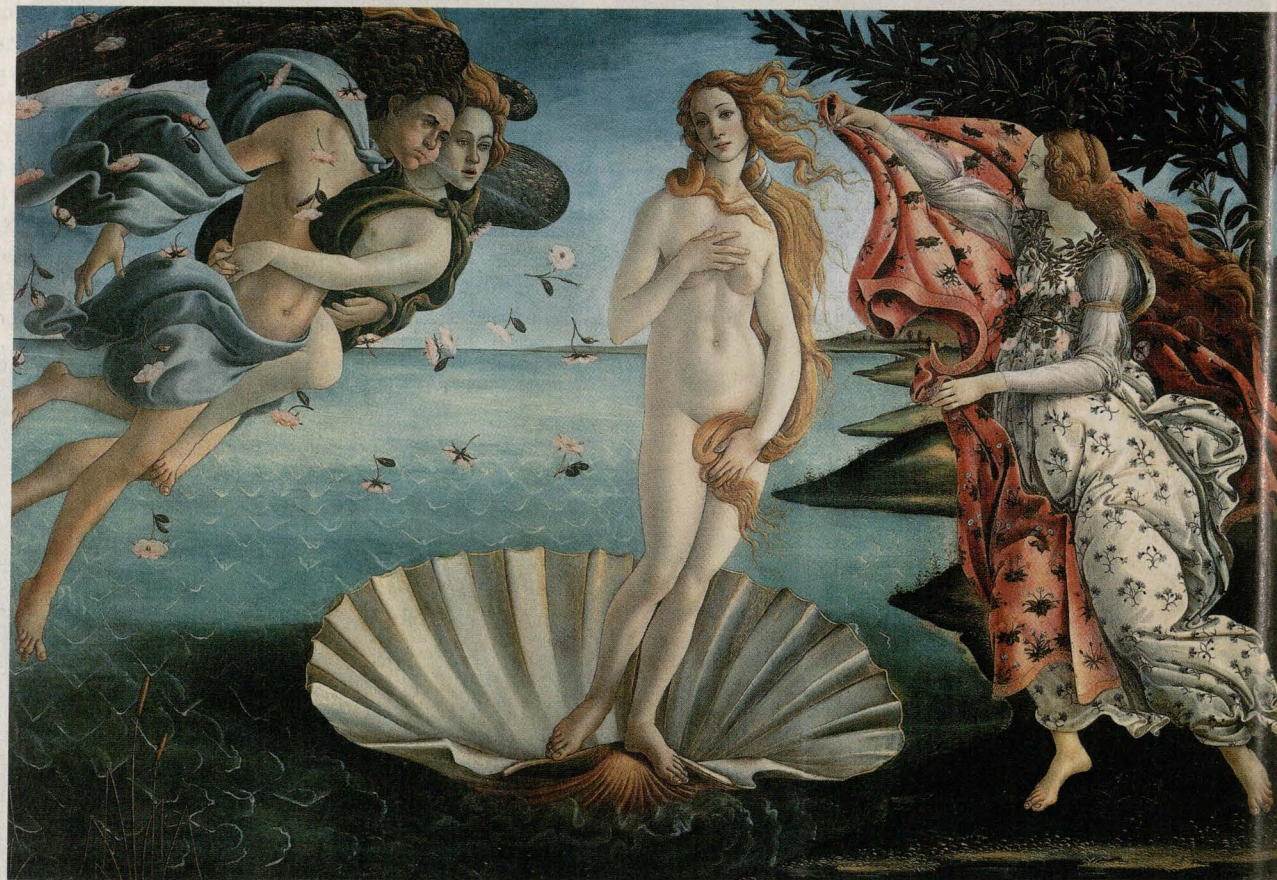


Tycjan namalował nagą Danae na zlecenie kardynała Alessandra Farnese, obraz wisiał przez lata w sypialni zleceniodawcy. 1545–1546 rok

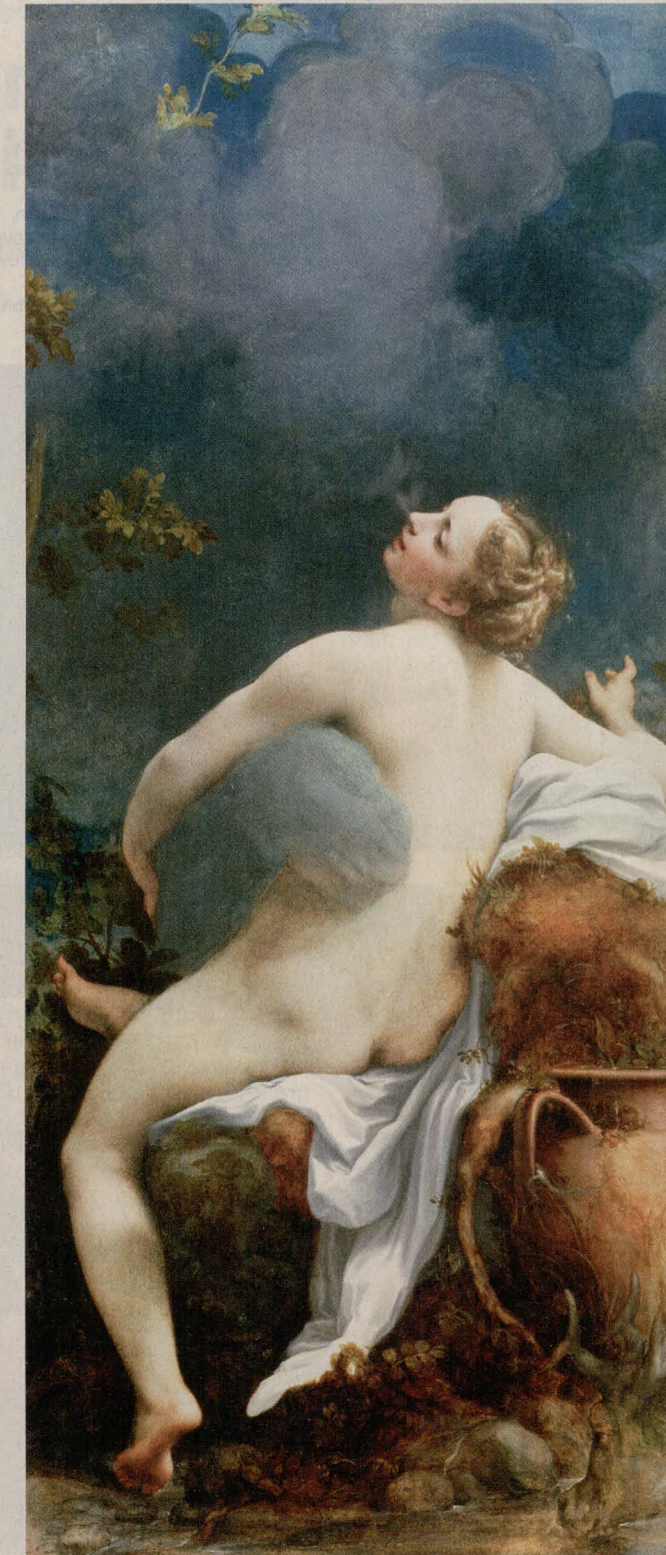


Mitologia pozwalała przemycać erotyczne tematy, a Zeus był mistrzem seksualnych przebieganek. By uwieść Ledę, zamienił się w łabędzia. Peter Paul Rubens, 1598 rok

Obraz Agnolo Bronzina wywołał szok na francuskim dworze. W pocałunku Wenus i Kupidyna miłość matczyna ustępuje miłości do kochanka



Wenus – uchodzi ona za uosobienie kobiecego piękna, choć Botticelli nie zadbał o zachowanie dokładności i szczegółów w budowie anatomicznej postaci



„Jowisz i Io” Correggia to nawiązanie do spróchnego mitu rzymskiego – ukryty w chmurze Jowisz zniewala Io. A ona się nie broni. 1532 rok

FOT. ANG/EAST NEWS (2), BEBOW, FORUM, WIKIPEDIA/PUBLIC DOMAIN



Czyżby tak wyglądały przepustki żołnierzy walczących na frontach I wojny światowej?
Otto Dix, 1920 rok

Na przełomie XIX i XX wieku miłość kojarzyła się z niespełnieniem, walką płci i czarnymi pelerynami. Po lewej „Pocałunek” Edwarda Muncha, 1895 rok



Wspólne zdjęcia Jeffa Koonsa i Cicciiolini (prywatnie małżeństwo przetrwało rok) dla jednych były pornografią, dla innych pochwałą kiczu



Autentyczne łóżko artystki Tracey Emin, w którym przeżyła próbę samobójczą po kolejnym zawodzie miłosnym. Jedną z osób oglądających „My Bed” w Tate Gallery chciała je posprzątać

Foto: Burstein Collection/Corbis, Toby Melville/Reuters/Forum, Alinari Archives/Corbis, Rex Features/East News



GRYPA

ODMIENIONA PRZEZ PRZYPADKI

Jak się wzmocnić przed, w trakcie i po grypie?

Wywiad z Markiem Nowakowskim, Dyrektorem Zarządzającym firmy Axellus

– Każdej jesieni pojawia się pytanie: **szczepić się przeciw grypie czy nie?**

– W oparciu o poglądy specjalistów szczepienia są warte uwagi. Jednak działać należy rozważnie, w porozumieniu z lekarzem.

– **Ale co robić, gdy nie chcemy lub nie możemy się zaszczepić?**

– Chronić się i wzmocniać. Odpowiednim trybem życia, zbilansowaną dietą, właściwą odzieżą. Powinniśmy też znaleźć czas na sport, odpoczynek.

– **To prawda, ale i tak wielu z nas uważa, że w sezonie zwiększonych zachorowań to nie wystarcza i sięgamy po środki wzmacniające. I tu pojawia się pytanie: który preparat wybrać?**

– To już zależy od indywidualnych preferencji. Wielu osobom może odpowiadać rodzina suplementów diety Bodymax. Preparaty Bodymax to dawka zdrowej energii na co dzień, tak bardzo potrzebnej nam w okresie jesienno-zimowym, kiedy czujemy się ospali i przemęczeni. Dodatkowo Bodymax zawiera liczne składniki, które wzmacniają naszą odporność i pozwalają nam lepiej zabezpieczyć się przed infekcjami.



– **Jakie składniki zawierają preparaty Bodymax?**

– Bodymax to przede wszystkim specjalny wyciąg z żeń-szenia GGE® w połączeniu z bogatymi kompleksami witamin i minerałów. Żeń-szeń, zwany także „korzeniem życia”, od tysięcy lat znany jest jako naturalny środek wzmacniający odporność organizmu. Jego dobroczynny wpływ na organizm potwierdzają liczne badania.

– **Kto może stosować Bodymax?**

– Preparaty są przeznaczone dla osób dorosłych, dostępnych jest pięć preparatów dostosowanych do potrzeb osób w różnym wieku i prowadzących różny tryb życia. Np. dla dorosłych Bodymax Plus, dla aktywnych fizycznie Bodymax Sport, a dla naszych rodziców Bodymax „50+”. W okresie świątecznym dostępne są również specjalne oferty



upominkowe z małymi opakowaniami gratis, to świetny pomysł na pełen energii i witalności prezent z apteki.

– **Podobnie jak osoby dorosłe dzieci również narażone są na infekcje w tym czasie.**

– Mamy dla nich Moller's Tran (suplement diety). Jest on obecny w Polsce od siedmiu lat i stał się bardzo popularnym środkiem wzmacniającym. To zrozumiałe, ponieważ dobroczynny wpływ tranu na zdrowie dzieci znany jest od pokoleń. Moller's Tran jest bogatym źródłem kwasów omega-3 oraz witamin (zwłaszcza D), które wspomagają odporność, ale są również ważnym budulcem mózgu, wpływają pozytywnie na kości i zęby. W aptece można wybrać swój ulubiony smak – naturalny, cytrynowy lub owocowy. W Skandynawii,

zwłaszcza w Norwegii, Moller's Tran stosują także dorośli – to taki rodzinny sposób na zdrowie.

– **Dużo się także ostatnio mówi o kwasach omega-3 dla dorosłych.**

– To bardzo dobrze, ponieważ ich działanie na organizm jest nieocenione, a niestety Polacy spożywają zaledwie połowę zalecanej dziennej dawki kwasów omega-3 (jemy mało ryb morskich). Nowością na rynku jest przeznaczony dla dorosłych suplement diety Moller's Forte, który już w dwóch kapsułkach zawiera wysoką dawkę kwasów omega-3 oraz optymalną ilość witaminy D. Przyjmując go codziennie, zadbamy nie tylko o naszą odporność, ale też o prawidłową pracę serca i mózgu.



– **Preparaty, o których rozmawialiśmy, pochodzą z jednej firmy?**

– Tak, firma Axellus dostarcza do polskich aptek kilkanaście wysokiej jakości suplementów diety i leków. Naszą misję odzwierciedla hasło: „Healthy living made easier”, co pozwalały sobie tłumaczyć – Teraz łatwiej jest żyć zdrowo. Zapraszamy do aptek, tam zawsze otrzymają Państwo najlepszą poradę. Proszę odwiedzić również naszą stronę www.axellus.pl lub przesłać nam pytania albo komentarz na adres Axellus@axellus.pl.



smak cytrynowy smak owocowy smak naturalny

Życzymy dużo zdrowia, energii i uśmiechu!

Zakochani w rock'n'rollu

Mamy gdzieś sukces, nakłady. Chcemy być szczęśliwi. I chcemy żyć wśród ludzi, których kochamy. Nie mamy czasu na nic innego – mówią Annie Gacek* **TOM MEIGHAN** i **SERGE PIZZORNO** z zespołu Kasabian

W 2011 roku przyciągać takie tłumy, grając rocka, jest wielkim osiągnięciem. Jestem zafascynowana, widząc, jak co wieczór w Londynie przychodzi na wasze koncerty kilkanaście tysięcy ludzi.

– **SERGE PIZZORNO:** Nowy album znakomicie wpasował się w klimat wcześniejszych płyt Kasabian. Okazał się brakującym ogniwem w naszym repertuarze. Teraz mamy taki zestaw piosenek, który pozwala zaproponować słuchaczom muzyczną podróż. Wszystko składa się wreszcie w całość. To, że udało nam się wrzucić kolejny bieg, to fantastyczna sprawa. Nasze koncerty to wreszcie najlepsze imprezy w mieście.

Przy czwartym albumie czuć taką ekscytację, to jest coś.

zniknął z pola widzenia. Trzeba pochwalić The Horrors, The Kills, nowy projekt Noela Gallaghery – i tyle... Czy ludziom brakuje rocka? Chyba tak, bo wciąż chodzą na koncerty. Gorzej z płytami. Te już kompletnie przestały się liczyć. Teraz są jakieś strzępki muzyki z Internetu. Wiesz, gdybyśmy odnosili takie sukcesy w latach 90., pewnie sprzedalibyśmy z 40 milionów płyt. A teraz co? Cztery, pięć milionów i mamy być przeschczęśliwi?

Myślisz, że czeka nas jeszcze triumfalny powrót rock'n'rolla? Bo na przykład lata 80. były straszne, ale potem pojawiła się Nirvana.

– **SP:** Absolutnie tak. To będzie kompletne zaskoczenie, to przyjdzie znikąd. Pojawi się po prostu koleś z gitarą z nową dawką zniewalających chwytliwych piosenek. Bo o to tak naprawdę chodzi, o zajebiste melodie. A te zawsze są jakoś powiązane z muzyką gitarową, zauważałaś? Wiem, że dziś będzie trudno zdominować kulturę na taką skalę jak wcześniej, w przeszłości. Internet zrobił dużo dobrego, ale odebrał światu też sporo magii. Wszyscy są wystawieni na tak wiele różnych doznań, sygnałów, wiadomości. Co ma być tym jednym, najważniejszym, najlepszym? Kiedy Kurt Cobain pojawił się na muzycznej scenie, było tylko MTV, jedyny muzyczny kanał w telewizji. Wtedy nie miałeś wyjścia, miałeś ten jeden program, włączałeś go, widziałeś coś rewelacyjnego i mówiłeś: Yeah! A teraz jest ich z 50. I wszystkie do dupy.

Zdarzyło się wam kiedyś stracić wiarę w rock'n'rolla?

– **SP:** Nie. To nie jest możliwe. Nie. Rock'n'roll to wszystko, co mam.

Serge, pierwszym singlem, który sobie kupiłeś, było „Got My Mind Set On You” George’a Harrisona. Pamiętasz moment, kiedy zakochałeś się w rock'n'rollu?

– **SP:** To było, gdy usłyszałem gitarowe solo w „Johnny B. Goode”. Nie wiedziałem, co to w ogóle jest, ojciec tego słuchał. Kompletnie mnie to rozpieprzyło. Biegałem po całym →

” Byłem dzieciakiem, gdy usłyszałem „Johnny B. Goode”. Nie wiedziałem, kto to Chuck Berry, co to rock'n'roll. Czuję tylko, że dzieje się ze mną coś bardzo dziwnego. To był ten moment

SERGE PIZZORNO

– **TOM MEIGHAN:** Tyle się mówi o tym, jakie jest ciśnienie wokół drugiej płyty, czy przepadniesz, czy nie. Ile musisz udowodnić trzecią płytą i tak dalej. A z czwartą to już możesz wrzucić na luz... To oczywista bzdura.

– **SP:** Nas najbardziej kręci to, że wciąż zdobywamy nowych fanów. Ludzi, którzy słyszą kawałki z pierwszego albumu i pytają: A co to jest? Po czym gramy coś z ostatniej płyty i jest szaleństwo, bo wszyscy znają te numery na pamięć, Boże, jakie to jest genialne uczucie. No i jaka ulga, że nie jesteśmy jednym z tych zespołów, które wciąż muszą polegać na sławie swojego pierwszego albumu.

– **TM:** Za nami świetny rok. Choć niewesoły, bo mam wrażenie, że rock'n'roll już kompletnie

FOT. Materiały prasowe Sony Music

→ domu, tańcząc do tej piosenki. Wtedy nie wiedziałem, że właśnie rozpoczyna się ta wielka miłość... Byłem dzieciakiem. Nie wiedziałem, kto to Chuck Berry, co to rock'n'roll. Czułem tylko, że dzieje się ze mną coś bardzo dziwnego. To był ten moment.

A kiedy byłeś nastolatkiem, pojechałeś do Stanów, ufarbowałeś włosy na blond. Zakochałeś się w tamtejszej kulturze ulicy?

– SP: Słuchałem wtedy mnóstwo hip-hopu. Ale przede wszystkim otworzyłem szeroko oczy. Dotarło do mnie, ile przede mną jest możliwości, jak małe jest to moje piękne Leicester, z którego pochodzę. Świat jest naprawdę wielki. I wszystko w nim jest możliwe. I kiedy dotarło to do mnie, zabrałem się do roboty.

To był twój amerykański sen.

– SP: W pewnym sensie tak. To był bardzo ważny dla mnie czas. Miałem 14 lat. Nie wszyscy mogli czegoś takiego doświadczyć, a ja naprawdę mieszkałem wtedy w Ameryce, chodziłem tam do szkoły.

Z hip-hopem to ciekawa sprawa, bo ty, Tom, choć mieszkałeś w Anglii, też byłeś jego wielkim fanem.

– TM: Tak, jak miałem 10 lat, byłem totalnie wkręcony w tę muzykę. Mój tata miał te wszystkie płyty, Elvisa Presleya, Roya Orbisona, muzykę country, mama słuchała The Carpenters... To wszystko gdzieś tam było, ale ja wtedy uwielbiałem czarną muzykę. Moje płyty miały znaczek wytwórni Motown. Ale rock'n'roll zawsze był blisko. Zaczęło się w ogóle od Michaela Jacksona i Steviego Wondera, potem był hip-hop, potem pokochałem muzykę rave, a dopiero później zaczęło się szaleństwo wokół gitarowego grania i tak pokochałem rocka.

A jak to było być nastolatkiem i mieszkać w Anglii w złotych czasach brit popu?

– SP: To miało na mnie niewątpliwie wielki wpływ. Wtedy każdy zespół patrzył ci prosto w oczy i mówił: Będziemy największą kapelą na całym świecie! Całe to marketingowe gówno przewalało się przez gazety. Ale rock'n'roll dzięki temu też bez przerwy istniał w mediach.

Tom, patrzyłeś na okładkę „New Musical Express” z Richardem Ashcroftem z The Verve i myślałeś sobie: Kiedyś też tam będę?

– TM: Tak. I wciąż pamiętam naszą okładkę „NME”. Zresztą wszystkie pozostałe też. I ani mi w głowie udawać tutaj skromność, to jest świetna sprawa być na okładce, zawsze była i zawsze będzie. Ha, i wciąż pamiętam mój triumfalny uśmiech z tej pierwszej sesji! Media nie odpuściły sobie nas do dziś. Byliśmy na dwóch okładkach „Q” miesiąc po miesiącu.

Manipulują, wiadomo. Nauczylismy się tego przez te wszystkie lata. Staliśmy się tym pykającym zespołem, który za pomocą buńczucznych haseł chce zdobyć uwagę świata. Ale tak było! Osiągnęliśmy cel. I niczego nie żałuję. SP: Podobało mi się to bezczelne podejście do świata w tamtych czasach. Jesteśmy gangiem, gramy zajebistą muzykę, spieszajcie nam z drogi! Dorastanie wśród takich zespołów było świetne, bo pozwalało mi marzyć. Myślę, że był to ostatni taki czas, gdy muzyka, jej popularność i znaczenie miały coś wspólnego z tym, co działo się w latach 60. To wszystko pomogło mi uwierzyć, że nam też, w tym małym Leicester, może się udać. Możemy zostać gwiazdami rock'n'rolla. Nie musimy być z Londynu ani z Ameryki. Musimy tylko uwierzyć w siebie.

Tom, jaki był twoim zdaniem najważniejszy moment w dotychczasowej karierze Kasabian?

– TM: Hm. Dobre pytanie. I trudne jak diabli. Cholera jasna... To było, gdy po raz pierwszy usłyszałem naszą piosenkę w BBC. To było popołudnie, siedziałem wtedy w domu, całe szczęście, że miałem przy sobie butelkę wina, bo to był naprawdę piękny moment.

Jak na zespół, który odniósł taki sukces i tak kocha rock'n'rolla, zaskakująco mało wokół was supermodeleki, używek, ekscesów.

– SP: My po prostu robimy swoje. I robimy to w zaufanym gronie, a nie na oczach całej

Roll Just Like We Used To”. Piosenka, którą otwieracie album. To była twoja decyzja, Serge, by nie zacząć – jak dotąd – od głośnego, przebojowego kawalka, lecz od epickiej kompozycji. To był akt odwagi?

– SP: Zdaje się, że masz dobre wyczucie odważnych decyzji. Dla mnie to jest w pewnym sensie dopiero czwarta płyta Kasabian. Ten zespół jest na początku swojej drogi, tak to czuję. I wiem, że przed nami jeszcze wiele bardzo różnych początków płyt, bo jest w nas ogromny apetyt, by zrobić coś innego, coś nowego.

TM: To ważna dla nas piosenka. Bardzo ciepła i ładna. O nas. O mnie i o Serge'u. O tym, jak to wszystko wyglądało, kiedy żyliśmy razem w komunie na farmie i pracowaliśmy nad pierwszą płytą. Piękne wspomnienia i piękna piosenka.

Jak bardzo się zmieniliście od tamtego czasu?

– TM: Bardzo. Po prostu zmieniło się nasze życie. Ale jednocześnie, głęboko w sercu, jesteśmy tacy sami. Mentalnie nie oceniam nas na więcej niż jakieś 18-21 lat.

Serge, piszesz tak piękne numery jak „Goodbye Kiss” ot tak, od niechcenia?

– SP: Wydaje się, że takie piosenki są najprostsze do napisania. Są oparte na starym dobrym schemacie. Zwrotka, refren, gitara, wokół, takie tam. Gotowe. Obok „Goodbye Kiss” jest na płycie „Switchblade Smiles”, skomplikowane jak diabli. To kolaż dźwiękowy, który do-

prowadził mnie do obłędu, kiedy próbowałem połączyć to wszystko w całość przez jakieś dwa długie miesiące. Jednak z piosenkami takimi jak „Goodbye Kiss” trzeba być szalenie ostrożnym, bo one są... Jak by to powiedzieć... Ta granica między czymś, co jest piękne, a tym, co już tanio sentymentalne, jest dość cienka. I trudno napisać prostą piosenkę inną niż to, co już słyszałeś setki razy. W pewnym sensie napisanie dobrej piosenki pop to najtrudniejsze wyzwanie dla kompozytora.

Dlatego pewnie jest ich tak mało.

– SP: Szczególnie dziś. I pewnie jest to jeden z powodów, dla których „Goodbye Kiss” jest

Kasabian

To największy obecnie zespół rockowy na Wyspach Brytyjskich. Istnieje od 1997 roku, na swoim koncie ma zaledwie cztery płyty, ale każda z nich osiągała status multiplatynowy, sprzedając się na całym świecie w kilku milionach egzemplarzy. Wydany w 2009 roku album „West Ryder Pauper Lunatic Asylum” przez prasę angielską został uznany za najważniejszą płytę roku, a pochodzący z niego nagranie „Fire” jest oficjalnym tematem muzycznym najsilniejszej piłkarskiej ligi świata – Premiership. W lipcu ubiegłego roku grupa była jedną z gwiazd Open'er Festival w Gdyni.

na tym albumie. Chciałem, by była na nim jedna po prostu piękna piosenka.

Czy to, co jest dziś popularne, co się sprzedaje, napawa cię optymizmem?

– SP: Tak, jestem wielkim optymistą. Bo mam swój wspaniały zespół i wszystko świetnie się układa. I szczerze mówiąc, kompletnie mnie nie obchodzi, co robią inni. Słucham mnóstwo muzyki, ale nie interesują mnie decyzje i losy innych zespołów. Jestem zbyt zajęty ogarnianiem świata Kasabian, by martwić się za kogoś jeszcze. I za bardzo cieszy mnie to, co dzieje się u nas.

TM: Mam tak samo. Nie obchodzi mnie nic a nic, co przeżywają inni, póki z moim zespołem jest wszystko ok.

A co daje wam świadomość, że jesteście jedynym w tym roku zespołem rockowym, który odniósł wymierny komercyjny sukces?

– SP: (długa cisza) Nic nie dzieje się bez przyczyny. Nie jesteśmy na szczycie, bo wszyscy inni byli tak słabi, jesteśmy tu, gdzie jesteśmy, bo jesteśmy tak dobrzy. Nie oszukałbyś aż tak wiele osób. Możesz mieć najlepszą prasę, ale kiedy ludzie przyjdą na twoje koncerty i zobaczą, że to ściema, nie ma cię, żegnaj, medialna gorączko, na nic się nie przydasz. Prasa może ci pomóc, ale ponad tym wszystkim musisz być świetny. Ale prawda jest taka, że nie ma teraz zbyt wiele kapel. Po prostu przestały pisać dobrą muzykę. Pusto tu teraz, wiem. Będę się jednak upierał, że to nie porażki innych doprowadziły nas do miejsca, w którym teraz jesteśmy, tylko nasze sukcesy.

Na fali kontrowersji wokół występu Coldplay w finałowym odcinku „X Factor” można pokusić się o stwierdzenie, że aby sprzedawać płyty, trzeba dziś pozwolić na wykorzystanie swojej muzyki często w dziwnych miejscach.

– SP: Tak. To jedyny dziś sposób, by ludzie mieli szansę dotrzeć do twojej muzyki. Kompromisy.

Uzbierało się ich trochę w Kasabian?

– SP: No tak, weszliśmy do świata reklamy. Ale cóż począć, gdy radio przestało grać naszą muzykę, czy jakkolwiek dobrą muzykę. Tych kilkadziesiąt sekund reklamówki w telewizji to jedyny sposób, by ludzie w swoich domach mogli nas usłyszeć. Póki nie jest to spot szamponu czy czegoś równie beznadziejnego, jestem gotów na to pójść – przynajmniej nas usłyszą. Tu nie chodzi o żadne pieniądze. To tylko kombinowanie, co jeszcze można zrobić, by dotrzeć do ludzi. Możesz mówić, że jesteśmy najbardziej popularnym dziś rock'n'rolowym zespołem, ale to wciąż za mało. A ja nigdy nie ukrywałem tego, że chcę, by każdy, absolutnie każdy usłyszał muzykę Kasabian. Tym chyba różnimy się od wielu grup, ja się kompletnie nie wstydzę tego, że chcę, by mój zespół był popularny. Ta myśl mnie na maksa kręci.

Piosenkę „Neon Noon” z nowej płyty zainspirowała usłyszana przypadkowo kompozycja Pink Floyd. Myślisz o tym, że za 30 lat kogoś zainspiruje jakiś utwór Kasabian?

– SP: Dziwne, że o to pytasz, bo ostatnio naprawdę często o tym myślę i dochodzę do wniosku, że jednym z powodów, dla których gram w zespole, jest myśl o tym, że kolejne pokolenia będą tego słuchać. Nie chodzi mi o to, że za kilkadziesiąt lat każdy będzie mówił: „Kasabian? Tak, byli rewelacyjni”. Bardziej ciekawi mnie to, co po nas zostanie. I mam nadzieję, że ktoś kiedyś wyciągnie z półki „West Ryder Pauper Lunatic Asylum” czy „Velociraptor!” i pod ich wpływem powie kumpłom: Po winniśmy założyć zespół. I ciekawe, jak będą brzmieć nami inspirowani.

A kto was inspirował?

– TM: DJ Shadow w Brixton Academy w Londynie. Wspólny koncert Travis i Oasis to też było coś.

Po raz pierwszy zobaczyłam Oasis w 2002 roku, gdy było już po wszystkim.

– TM: Uuu, późno... Bardzo późno... Oasis byli naprawdę niesamowici. Wielcy. To oni sprawili, że muzyka znowu zaczęła mieć znaczenie, stała się częścią kultury, codzienności. Byli wspaniale.

Co ostatnio zafascynowało was najbardziej?

– SP: Byłem na koncercie Chrisa Cunninghama. Robi niesamowite wizualizacje na żywo. Nigdy wcześniej nie widziałem niczego takiego. Absolutnie wybitne, wbiło mnie to w podłogę. To jeden z tych pięknych momentów, kiedy na nowo definiujesz sobie pewne pojęcia, myślisz sobie, dobra – jest też coś takiego, chyba muszę na nowo przemyśleć sobie kilka spraw.

Wielka Brytania was kocha. Czy zostało tutaj coś jeszcze do zdobycia?

– TM: Nic. Tu już mamy wszystko. Teraz tylko trzeba niczego nie spieszyć i nagrywać kolejne świetne płyty.

Ze swoim gangiem. Napędzanym szczególnie rodzajem miłości. Z jednej strony kochacie rock'n'rolla. Z drugiej jest wasza przyjaźń, twoja i Toma.

– SP: Nie potrafiłbym pracować bez tego. Mam w dupie sukces, nakłady. Odmawiam gry w liczby. Gównu mnie to obchodzi. Ja chcę być szczęśliwy. I chcę żyć wśród ludzi, których kocham. Nie mam czasu na nic innego. Życie jest tak krótkie! Bez przyjaźni to wszystko nie miałoby sensu. Tom, wyobrażasz sobie robienie tego wszystkiego tylko dla pieniędzy? Przecież one tak naprawdę nie mają żadnego znaczenia. Mam wiele szczęścia w życiu, że ciebie spotkałem. Nie ma drugiej osoby takiej jak ty. Musisz wiedzieć (Serge zwraca się do mnie), że Tom to najlepszy frontman na świecie. Nie ma nikogo lepszego i nie mówię tego dlatego, że gra w mojej kapeli.

Widziałam tę waszą miłość na transmitowanym przez BBC koncercie z Leicester, gdy wysiadło wam na scenie wszystko. To, jak się wspieraliście wzrokiem, ten uścisk, gdy udało się pokonać problemy – jak żołnierze wracający z wojny.

– SP: Pamiętam jak dziś, gdy zadzwoniłem do Toma i powiedziałem mu, by wpadł do studia w Leicester. Mieliśmy wtedy po 16 lat. Powiedziałem: „Stary, nie przyszedłbyś? Mam tu trochę kupionego czasu, moglibyśmy coś nagrać”. Bez wahania wsiadł do autobusu i przyjechał. Byliśmy tylko ja z gitarą i on. Zaczęliśmy grać. Spojrzeliśmy na siebie i właściwie bez słów przekazaliśmy sobie spojrzeniem: to jest naprawdę dobre! Moment, kiedy zgodził się, by przyjechać do tego studia, uważam za definiujący karierę Kasabian. Wiedzieliśmy, że coś się wtedy stanie. Coś wielkiego. Po prostu wiedzieliśmy. I od tego czasu ja i Tom przeszliśmy razem przez tak wiele. Choć mam świadomość tego, że nie było nam aż tak ciężko. Kryzysy i problemy szczęśliwie omijają ten zespół. Nic nas nigdy nie zniszczyło, bo to jest gang. Kasabian to naprawdę jest gang. Dotyczy to wszystkich, rodziny, tych, których dopuszczamy blisko zespołu, po prostu blisko siebie. I nie patyczkujemy się – kiedy ktoś jest zły, zamykamy mu drzwi przed nosem. Jesteśmy mądrzy w tym biznesie. I normalni. Nie jesteśmy dupkami. No kurczę, nie jesteśmy. ●

* Autorka jest dziennikarką radiowej Trójki.

„ Jestem optymistą. Bo mam swój wspaniały zespół i wszystko świetnie się układa. I szczerze mówiąc, kompletnie mnie nie obchodzi, co robią inni. Za bardzo cieszy mnie to, co dzieje się z Kasabian

SERGE PIXZORNO

go świata. To nie w naszym stylu. Ale lubimy się dobrze zabawić. Tylko jakoś kompletnie nie interesuje nas, by wszyscy o tym wiedzieli. A jeśli chodzi o supermodelki... Jestem szczęściarzem, znalazłem kobietę, z którą chcę spędzić resztę życia. Znalazłem miłość.

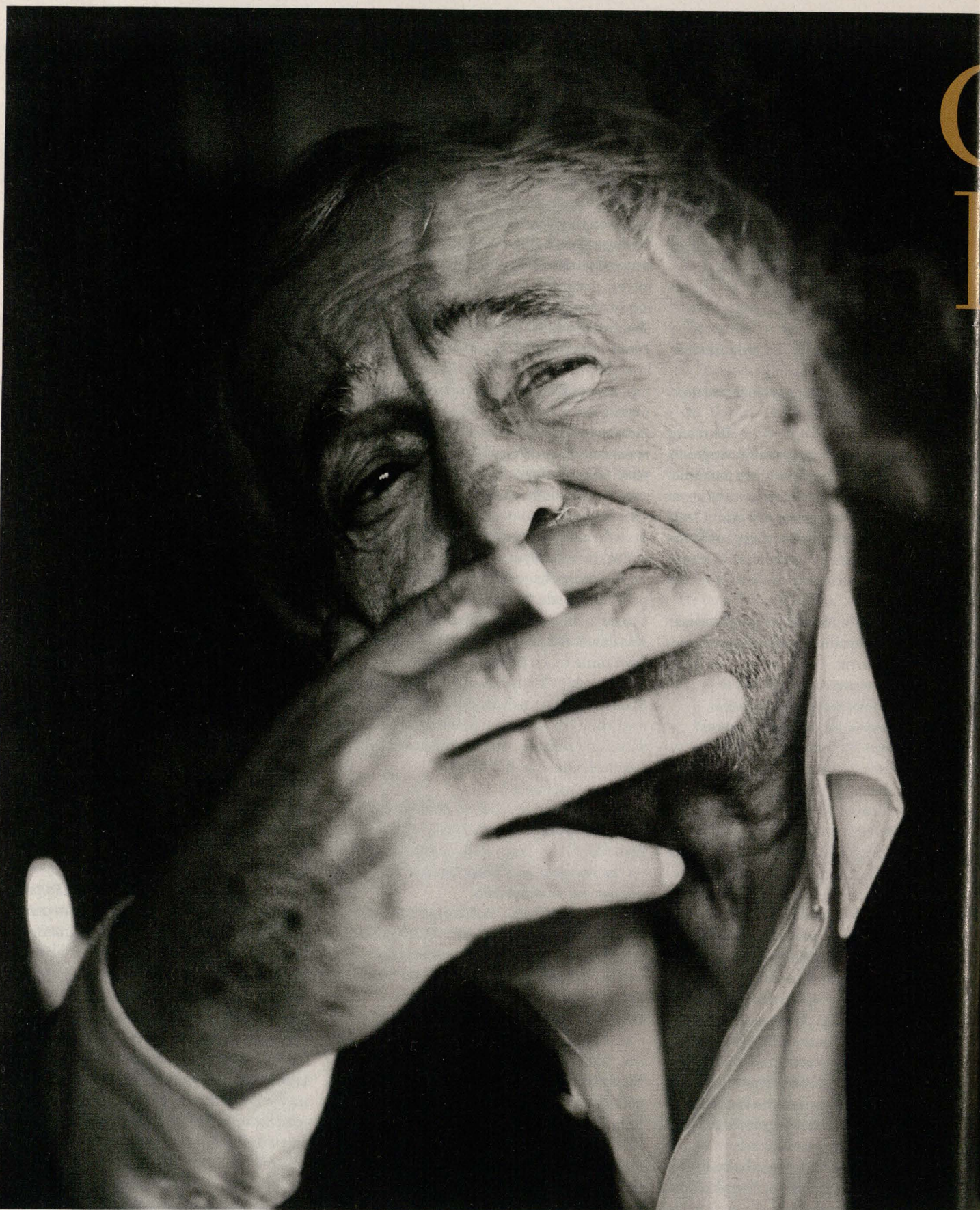
Tom, miałeś kiedyś na życie plan B, inny niż granie rock'n'rolla?

– TM: Nie, to po prostu moje życie. No dobra, powiedzmy, że chciałem być rybakiem.

Złowiłeś kiedyś jakąś rybę?

– TM: Nigdy nawet nie spróbowałem.

Od pierwszego przesłuchania waszej ostatniej płyty „Velociraptor!” zachwycało mnie „Let’s



Osiem kobiet

O jej czerwonym nosie i żółtym berecie, o innej oblanej złotym woskiem i tamtej niezbyt pięknej – o niespełnionej miłości do kobiet w rozmowie z Olą Salwą opowiada aktor
JAN NOWICKI

„Nie jestem przecież mistrzem świata w miłości. Nigdy nie byłem. Całe życie będą towarzyszyły mi przymiarki, żeby pokochać. Po prostu – ze zmiennym skutkiem – staram się być dobry

JAN NOWICKI

Chciałabym z panem porozmawiać o miłości i kobietach.

– Każdy temat jest dobry, ale ten akurat jest jednym z gorszych.

Dlaczego?

– Miłość jest najlepsza, gdy odbywa się bez słów. One pojawiają się z rozpacz, gdy miłczenia nie można wypełnić miłością; czasem są próbą wytłumaczenia się, czasem – afrodyzjakiem.

Ale bez słów nie opowie się żadnej historii o miłości. Może zaczniemy od detalu: jaki prezent od kobiety najbardziej pana wzruszył?

– Pierwszą kobietą w naszym życiu jest matka. Dostałem kiedyś od niej kolorową puszkę po konserwie, którą zostawili chyba Amerykanie. Potem spałem z nią pod poduszką. Drugi wzruszający prezent, a właściwie gest, też otrzymałem od niej. Mieliśmy w Kowalu taki zimny pokój dobudowany przez Niemców, on miał ściany ze szkła, zimą zawsze było tam poniżej zera. Moja babka trzymała tam swój spirytus i co rano wypijała kieliszek.

Lubiłem tam spać, bo było tak zimno, że miałem wrażenie, że śpię w lesie. Latem z kolei było tam okropnie duszno, bo słońce grzało przez szklane szyby. Pewnego dnia, w moje imieniny, obudziłem się... cały w kwiatach. Mama nazbierała całą masę kwiatów z naszego ogrodu. Przyniosła je w dużym koszu i obсыpała mnie całego, widać mi było tylko głowę. Po latach wydaje mi się to znacznie cenniejsze niż na przykład renault clio, który dostałem kiedyś od Márti (Mészáros, wieloletniej partnerki aktora – przyp. red.) na imieniny.

Mama uczyła pana, jak odnosić się do kobiet?

– Nie miała żadnych szans, żeby mnie tego nauczyć, bo zanim nawiązaliśmy kontakt, który umożliwiłby taką rozmowę, mnie już nie było. Wyjechałem z domu, mając 13 lat, i poszedłem do różnych szkół, kopalń, fabryk, pracy, i na dobrą sprawę już nie wróciłem.

Pierwsza miłość zdarzyła się, gdy...

– Słuchaj... albo się – a to aktorzy umieją bar-

najgłębszych pokładów swojej pamięci i serca i wtedy się jest uczciwym, ale niekoniecznie przez to atrakcyjnym.

Proszę o uczciwość.

– Pierwsza miłość jest za delikatna, żeby udźwignąć to słowo. Ona bywa tak cudowna przez to, że jest nieświadoma, nienazwana, natomiast towarzyszy jej już szybsze bicie serca. Rozkosz miesza się ze strachem.

Kim ona była?

– Ona miała żółty берет. Na początku jej nie było w Kowalu, pojawiła się w mojej szkole podstawowej, gdzieś koło szóstej, siódmej klasy. Miała podwinięty nos, zawsze lekko zresztą czerwony, bo marzła czy co? Ale kompletnie mi to nie przeszkadzało, nawet powiedziałbym, że kochałem ten nos. Jednak przede wszystkim ten берет. Bo żółty. Gdy widziałem go w kościele, znaczył dla mnie więcej niż tabernakulum, bo wiedziałem, że gdzieś tam daleko stoi Oleńka. Czułem, że coś się ze mną dzieje, ale nie umiałem tego nazwać. Jedyną konkretną rzeczą, jaką pamiętam, był właśnie ten берет. Ona go miała dosyć długo, kiedy po jakimś czasie zacząłem z nią tańczyć na potańcówkach, oczywiście z daleka od siebie, bez czucia jej czy swojego ciała, bo o tym mowy nie było, cały czas nosiła ten cholerny берет. Pamiętam, że tańczyłem okropnie, ona próbowała mnie uczyć, a ja myślałem tylko o jednym – żeby się nie czerwienił, bo to takie niemęskie. A dla młodego chłopca straszne przekleństwo. Zapytałem ją w pewnym momencie: „Oleńko, czy ja jestem czerwony?”, a ona mi na to odpowiedziała: „No to co?”. To tak, jakby mi powiedziała, że kocha mnie do szaleństwa.

Jak wtedy wyglądały randki?

– Chodziło się na spacer z Kowala w stronę Włocławka, prawie polną drogą. Najważniejsze w tych spacerach było tempo, bo wymyśliśmy sobie, że ludzie zakochani chodzą bardzo wolno. Szybko to biegnie się po papierosy, do kurnika po jajka, a my spacerowaliśmy. Myśleliśmy, że trzeba coś szczególnego sobie mówić, ale przecież nie znaleźliśmy jeszcze słów. Milczenie było bezpieczniejsze, mówiło za nas. Towarzyszyło nam ogromne skrepowanie. Szczęścia z tego, co pamiętam, nie było w ogóle, tylko strach, żeby człowiekowi nie zachciało się siusiu. Byliśmy tak delikatni, że to, co nazywa się fizjologią (tego słowa zresztą nie znaleźliśmy), było w tamtych warunkach nie do przyjęcia. Do lasu Przyborowa jest kilometr, z powrotem też kilometr – i to pod górkę, więc spacer wolnym krokiem musiał trwać. A mnie kiedyś w połowie drogi w tamtą stronę zachciało się siusiu. Kiedy wracaliśmy, miałem moczyć chyba w cebulkach włosów. →

dzo dobrze – wymyśla pewne rzeczy, które się powtarza w rozmowach z dziennikarzami, albo się sięga z ogromnym trudem do

➔ A jak ją odprowadziłem do domu, siusiałem pod płotem chyba z pół godziny i nie było ważne, czy ludzie mnie widzą. Bo byłem na skraju zemdlenia.

Długo chodziliście na te spacerzy?

- Jakiś czas. Jeszcze ważne było, żeby coś kupić dziewczynie. Prezent. A my nic żeśmy nie mieli, bo wtedy nic nie było. Polska w latach 50., małe miasteczko - to była totalna bieda, czasami głodny szedłem spać... Ale już pojawiły się sklepiki, w których była krachla, oranżada, lemoniada. Nawiasem mówiąc, produkowana przez matkę tej dziewczyny, z którą chodziłem na spacerzy. Lemoniada niewyobrażalnie pyszna, pachnąca żelazem, żółta tak, że patrząc na nią, można było oslepnąć. Dziś wypiłbym z 10 na raz. W sklepie można było kupić pączka, ale nie było stolików, przy których można by było usiąść.

A żeby kupić pączka z lemoniadą...

- ...trzeba było mieć, powiedzmy, dwa złote wykombinowane. A to kombinowanie to był długotrwały proces, można było sprzedać butelki, no to już było 40-50 groszy, mama dodała 70, jak się uzbięrało, to się zapraszało, ale do sklepu.

Mężczyzna musiał płacić. Dziś dzieciaki mówią, że można się złożyć. Można, ale kiedy mężczyzna zaprasza kobietę, to powinien za nią płacić i tego powinien być nauczony od dziecka. Jak nie masz pieniędzy, to nie zapraszaj, nie żeń się, jeśli nie masz dla niej domu. Jak ma imieniny, to kup jej piękny prezent, bo jak się wam nie powiedzie, może go sprzedać i będzie miała na życie.

Jedliście te pączki i...

- Na pewno się oblizywaliśmy, palce z lukru czy tam cukru pudru, choć pompa z wodą była w pobliżu.

Co się stało z dziewczynami z tych pierwszych miłosnych spotkań?

- „Odeszły, umarły, a może śpią”, napisałem kiedyś w piosence. Ta od spacerów jest dziś biała jak gołąbek. Niedawno ją spotkałem, pięknie ubraną. Ze swoim przyjacielem sprzedawała książki. A берет? Pojawiła się nagle po 30 latach i nos dalej miała czerwony, nawet bardziej. Tym razem być może od wody. Zadarty, czerwony nosek, ale nie znalazłem w niej śladu dawnej dziewczyny, nie zaskoczyła mnie żadnym zdaniem, nie powiedziała nic, od czego zabiłoby serce.

Pierwsze randki to pierwsze uniesienia.

- No i teraz dalej: miałem w nocy niespokojne sny. Albo wymykałem się czasem do stajni

wujka Rojewskiego, nie wiadomo po co. Tam stała kara klacz i jak włożyłem na nią, czułem dziwne ciepło. Nie mogłem stamtąd wyjść, nie wiem dlaczego. Musiały przecież minąć lata, żebym się zorientował, że w pewnym sensie była to moja pierwsza kobieta, że to były te „dreszcze”, jak w filmie Wojciecha Marczewskiego. Pamiętam tylko, że gdy wujek krzyczał: „Jasiu, Jasiu, gdzie jesteś”, to ja wybiegałem z tej stajni czerwony na twarzy, jakby mnie ktoś przyłapał na stosunku seksualnym. To był nadzwyczajny czas, nie wiem, ile w tym było przyjemności, a ile strachu i rozpacz.

Pamięta pan film „Jowita” Morgensterna? Lata 60., lekkoatleta spotyka na balu przebierańców piękną kobietę w stroju odkrywającym tylko oczy. Nie zna jej prawdziwego imienia, ona rano znika, on szuka jej wszędzie. Zdarzyła się panu podobna historia?

- Oczywiście. Ja mówiłem do tej pory o budzących się zmysłach, o tym, co było dopiero przewidywaniem faktu. A to, o co pytasz,

„Gdy widziałem w kościele jej żółty берет, znaczył dla mnie więcej niż tabernakulum, bo wiedziałem, że tam stoi Oleńka

JAN NOWICKI

to też jest wiersz, tyle że napisany już przez dojrzalszego poeę.

Od jakich słów się zaczyna?

- Kiedyś spieszyłem się na mecz, mieszkałem wtedy w Krakowie przy Błoniach, a stadion jest po drugiej stronie. Zadzwonił dzwonek do drzwi. Za nimi - kobieta, ubrana tak, że dziwię się, że chodziła w tym ulicą w biały dzień. Miała na sobie bardzo obcisły, złoty strój, przylegający tak, jakby ktoś ją od stóp do głów oblał złotym woskiem. Była naga - razy cztery. Miała aparat fotograficzny, chciała zrobić zdjęcie mojego psa. Ja byłem wystarczająco dużym chłopcem, miałem już przecież 40 lat. Wiedziałem, że przyszła po coś jeszcze. Pamiętałem jej ogromne zdziwienie, gdy powiedziałam, że śpieszę się na mecz. Musiałem być bardzo okrutny, choć wtedy tak tego nie odbierałem, bo bardziej kochałem piłkę. I poszedłem na ten mecz, a potem przez całe lata jej szukałem.

Znalazł pan?

- Szukałem. Wydawało mi się, że ona jest z Wybrzeża, ale nikogo takiego nie spotkałem.

Do tego mam taką złą cechę, że po jakimś czasie umykają mi fakty, kolory i pamiętam zupełnie inny wygląd, więc bardzo możliwe, że szukałem już nie tej, którą widziałem. Przeżyłem takie przypadki, że czekam na blondynkę, czekam, jej nie ma. Dopiero portier mi mówi, że ta pani z Włoch to brunetka. Pytam, czy zmieniała kolor włosów. Zaprzeczają. Niewykluczone, że złota dziewczyna z jakiegoś węgla przyglądała się i śmiała się ze mnie.

Może minęła nawet pana na ulicy. Ale...

- Czekaj, jest pointa!

...

- Jadę pociągiem i usiłuję zjeść jajecznicę. Tyłem do mnie staje kobieta, bardzo piękna. Odwraca się i mówi: „Dzień dobry, pamiętasz mnie? Kiedyś fotografowałam twojego psa”.

l...

- Dalszego ciągu się nie dowiesz, drogie dziecko.

Jak pan podrywał kobiety?

- Nigdy w życiu tego nie robiłem. Od dawna wyznaję zasadę, że nie chcę kogoś, kto mnie nie chce. Dziwne - prawda? Skromne, a przecież nieskromne.

Psychologowie twierdzą, że to kobieta wybiera mężczyznę, zachęca go do kontaktu.

- Absolutnie, choć moja żona nie lubi tego słuchać. Instynkt mają przede wszystkim kobiety, które chcą być matkami, czasem nie mogą wyjść z podziwu, skąd taka dama wzięła tego brzydkiego, biednego kurdupla. A tu się okazuje, że mają razem piękne dzieci.

Pan ma dwoje. Matką Łukasza jest Barbara Sobotta, sprinterka.

- Basia już nie żyje - niestety. Ale to piękne, że powiedziałas „jest”. Od razu pomyślałem o niej w kategorii matki mojego dziecka.

Mam wyrysowany w pamięci ten dzień, jego koniec właściwie. Byliśmy na basenie, z wody wyszła kształtna, duża kobieta. Ten miód zachodzącego słońca na jej pięknym ciele, nie młodym już... To była Barbara. Alfred Andrys nas przedstawił. Od razu zapomniałem o dziewczynie, która czekała na mnie w pokoju... Zaczęliśmy się spotykać, coraz częściej, a potem powstał z tego Łukasz, ale nigdy nie zamieszkaliśmy do końca razem. Ja w ogóle nigdy z nikim nie wybierałem się w życie, bo zawsze myślałem, że ono się jeszcze nie zaczęło. Wydawało mi się, że najważniejsze role, miasta, kobiety dopiero będą, nigdy - że są. Nie potrafiłem rozsiać się w szczęściu, jak w wygodnym fotelu. Jak mnie kobiety

zostawiały, bo zdarzało się i tak, po odświeżającym bólu jakoś dawałem sobie radę.

Ma pan jeszcze córkę, Sajaną. Gdzie poznał pan jej matkę, Irenę Paszyn?

- To było tak: Świnoujście, FAMA, młoda Ewa Demarczyk, Skaldowie, spacerzy po plaży i obserwowanie, co się dzieje w tych grajdołkach. W jednym zauważyłem takie nie najlepsze nogi, ale piękną górę, białe jak śnieg zęby, podwinięty nos i to była ona. Ale nie podszedłem, bo ja nigdy, kiedy ktoś mi się podoba, nie podchodzę. Czekam. Rzeczywiście przyjechała do Krakowa z koleżanką, tylko coś za często się śmiała. Wprawdzie miała te białe zęby, ale żeby tak często je pokazywać? Kręciłem wtedy we Wrocławiu, *nomen omen*, „Anatomie miłości”, grałem, ona przychodziła na plan, ale byliśmy bardziej kumplami, a potem się rozlaźło. Aż wreszcie minął jakiś czas i do Klubu Dziennikarzy weszła Kasia, bo tak się na Irenę mówiło, zupełnie inna, jakby walec ją przejechał. Już nie ta cera, ubrana była w jakieś długie szmaty, nie uśmiechała się tak często, była bardziej nobliwa. Strasznie mi się to spodobało. Gdy przechodziliśmy obok sklepu, kupiłem jej fiołki, no i poszliśmy do jej domu. A potem pojawiła się Sajanka.

Pana córka mieszka w Niemczech, jaki macie kontakt?

- Bardzo ją kocham. Ale nie umiem tego uporządkować. Cieszę się, że w tym roku przyjeżdża na Wigilię z synem Pawełkiem. Właściwie to on nazywa się Zygfryd, ale na litość boską nie będę tak mówił do własnego wnuka! Niestety ani on, ani moja wnuczka Weronika, córka Sajany, nie znają polskiego, nie skorzystają więc z wyszukanej wątpliwości dziadka (*śmiech*).

A córka?

- Nigdy nie radzę dzieciom, są ode mnie mądrzejsze. Powiedziałem tylko Łukaszowi, żeby zawsze płacił, pamiętał o dobrej wodzie kolońskiej i o tym, że w domu przez okrągły rok ma mieć w wazonie świeże kwiaty.

Najdłużej, choć nieformalnie, był pan związany z węgierską reżyserką Mártą Mészáros. Jak wyglądało wasze pierwsze spotkanie, jak to było?

- Zmieńmy twoje pytanie - „jak to jest z panią Mártą”, nie jak było. To tylko kretynom, którzy karmią się ludzkim błotem, zdradą, odejściem, wydaje się, że po 30 latach z kimś można się ot tak rozstać. Ona nadal jest w moim życiu, tylko w absolutnie innej konfiguracji. Po prostu nie mogliśmy dalej żyć ze sobą. Ale wchodzenie w szczegóły... Nie, chcę tego uniknąć, to są takie bolesne banały.

Ale ja nie pytam o koniec, tylko o początek.

- Akurat z nią było wspaniale, jest niesłychanie inteligentna, ma poczucie humoru na własny temat. Przyjechała do Polski, żeby zaangażować mnie do filmu. Spotkałem ją na jakiejś kolacji i powiedziałem, zresztą zgodnie z prawdą, że kogoś tak brzydkiego w życiu nie widziałem. Powiedziałem: „Pani tak wygląda, jakby dziecko próbowało namalować kobietę na płócie, wszystko u pani jest nie na miejscu”. A ona pytała: dlaczego? bo co? „Niech pani spojrzy na swój nos, gdzie pani ma szyję, przecież pani nawet udusić nie można”. Cały czas w oczach Mártę widziałem postępujące rozbawienie, dlatego że to, co mówiłem, nie było pozbawione słuszności, choć brutalnej. Postanowiłem jednak się nią nie interesować ani nie grać w jej filmie, bo ja wtedy kręciłem po parę filmów w Polsce rocznie, nie musiałem jeździć na żadne Węgry.

A jednak pan pojechał.

- Rozmawiasz z człowiekiem, który teraz ma

„Jak ma imieniny, to kup jej piękny prezent, bo jak się wam nie powiedzie, może go sprzedać i będzie miała na życie

JAN NOWICKI

problemy ze światopoglądem i charakterem, a wtedy nie miałem żadnych. Kompletnie. Po co mi one? Nie interesowały mnie role, sukcesy, porażki, gnałem jak opętany przez świat, myśląc grzech z brakiem grzechu.

I zatrzymał się pan na dłużej przy kobiecie, która nic nie miała na miejscu.

- Okazało się, że większość ma na miejscu, ale trzeba było się przyjrzeć. I tutaj otwieramy temat fantastyczny: urody kobiecej, ale nie tej modnej, z gazet, każdemu przecież podoba się co innego. Jeżeli patrzę, że ona siedzi pod kamerą, taka przykurczona, i ma kolana jak u dziecka, cieniutkie rączki, delikatne i ciepłe palce, miodowe oczy, dobrze pachnie, to myślę sobie, że spotkałem piękną kobietę. Tylko za pierwszym razem nie byłem w stanie tego zauważyć. Potem doszła do tego niesłychana komitywa zawodowa. Myśmy się edukowali, uczyliśmy się swoich światów. To, jak dziś odbieram rzeczywistość, jest przynajmniej w połowie zasługą Mártę, to ona mnie nauczyła, że Złota Palma to wielkie nic, a plastikowy pistolet

kupiony dla wnuka może być najpiękniejszy na świecie.

Czym ujęła pana żona, Małgorzata Potocka? Kiedy pan pomyślał, że ją kocha?

- Na początku było oczarowanie i dotyk, który o mało nas nie zabił. A potem spory czas jej nie widziałem, lata całe. Aż wreszcie pojechaliśmy do domu w nocy, z winem, jedzeniem i, wyobraź sobie, że ja jej nie poznałem. Później, gdy jechaliśmy samochodem, zapytałem: „Gosiu, zauważyłaś, że nie zrobiłem żadnych nocnych podchodów w stosunku do ciebie?”. Odpowiedziała mi: „Bo ty mnie nie poznałeś, Janku”. Pomyślałem, że jeśli potrafi coś takiego powiedzieć o sobie, to jest kimś. Może nawet to było decydujące?

Co da jej pan pod choinkę?

- Pani Małgosia od pewnego momentu dostaje piękne drobiazgi, będę musiał to zmienić, bo coraz mniej się cieszy. Prezent trzeba dać we właściwym momencie i we właściwej jakości. Ona zawsze uważała mnie za mądrzejszego,

niż jestem. Zupełnie nie wiem dlaczego. A ja przecież ostatnio zupełnie przestałem czytać. Ja, który całe życie stawiałem książki najwyżej. Niezależnie od jakości tego, co mam w głowie i w sercu, tam jest już coś przepełnione. Z małymi sprawami codziennymi jest tyle roboty, że jakbym przypiął się dziś do Dostojewskiego, tobym zwariował. Gdy czytałem te książki po raz pierwszy, pisałem je, żyłem jak one, piłem jak konsul z „Pod wulkanem” Lowry’ego, zachowywałem się jak Dymitr w „Braciach Karamazow”.

Kochał pan jak...?

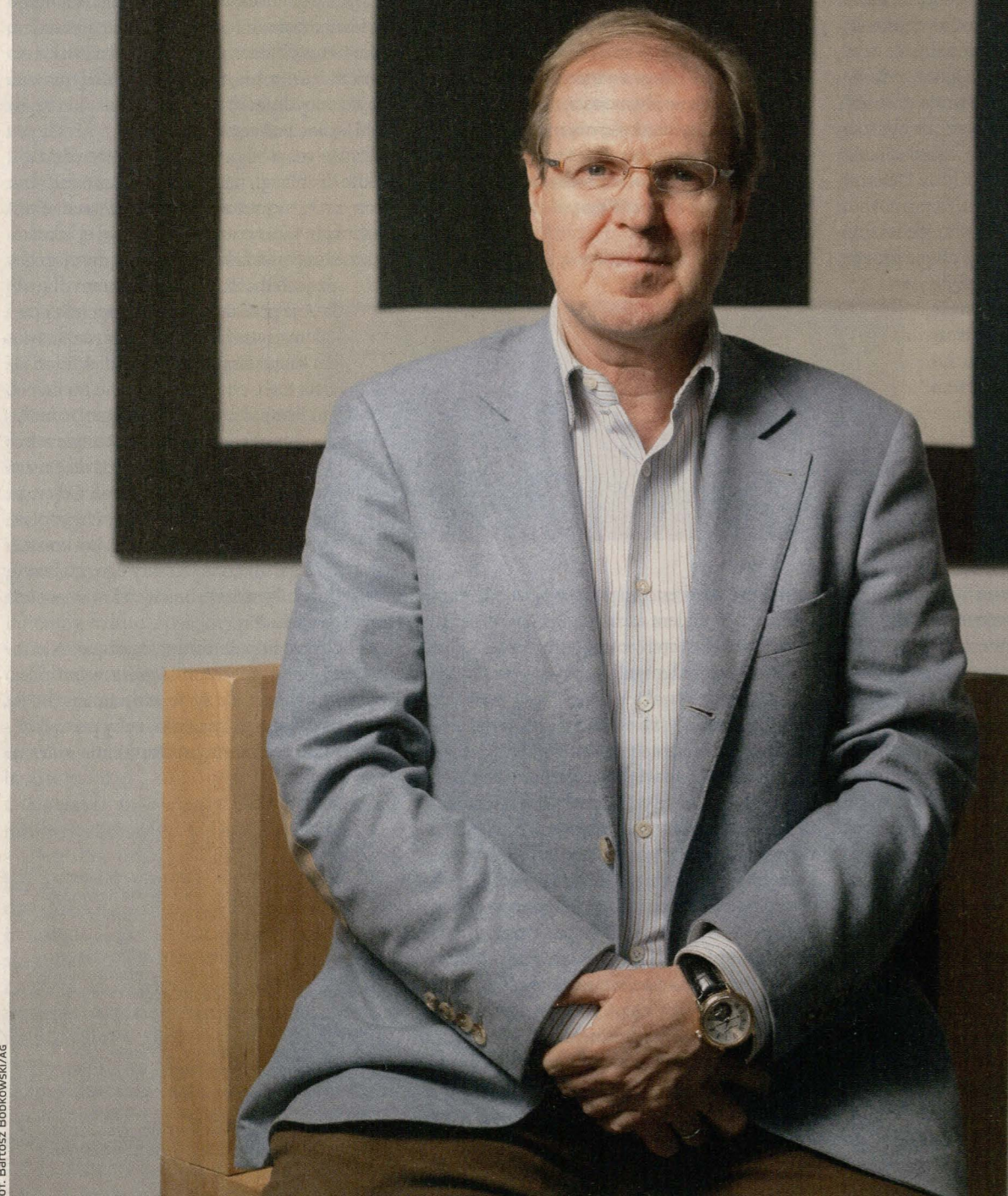
- Jak Stawrogin. Ale mniej męcząco. Nie jestem przecież mistrzem świata w miłości. Nigdy nie byłem. Całe życie aż do śmierci będą towarzyszyły mi przymiarki, żeby pokochać. Po prostu - ze zmiennym skutkiem - staram się być dobry.

Jan Nowicki

72 lata, aktor filmowy i teatralny. W latach 1958-1960 studiował na wydziale aktorskim łódzkiej Filmówki, a następnie w PWST w Krakowie, którą ukończył w 1964. Zagrał w kilkudziesięciu filmach, między innymi w „Sanatorium pod Klepsydrą” Hasa, „Anatomii miłości” Żałuskiego, „Spirali” Zanussiego. W styczniu wejdzie do kin „Sztos 2”, w którym zagrał specja od oszustw. Od 1998 do 2000 roku był felietonistą „Przekroju”. Obecnie gra w Teatrze imienia Szaniawskiego we własnym przedstawieniu „Rozmowy z Piotrem” poświęconym Piotrowi Skrzyneckiemu. Jego żona, Małgorzata Potocka, jest właścicielką Teatru Sabat. Ma dwoje dzieci: syna Łukasza i córkę Sajaną.

„ Nie mam czasu oglądać rodzinnych filmików czy fragmentów swoich meczów z Rolandem Garros, to tym bardziej sztuka wideo nie daje mi szans

WOJCIECH FIBAK



Wierzę w to, co wisi na ścianie

Kocham obrazy, za niektórymi nawet tęsknię. Ale trzeba być realistą, wszystkiego w życiu mieć nie można – mówi Jackowi Tomczukowi niegdyś tenisista, od zawsze kolekcjoner, **WOJCIECH FIBAK**

Pamięta pan pierwszą miłość?

– Oczywiście. Tyle że było ich parę. Moja mama zbierała porcelanę, meble, głównie biedermeier, towarzyszyłem jej w wyprawach do Desy, antykwariatów, gdzie miała swoje układy, dzięki którym różne panie odkładały jej co lepsze obiekty. Ojciec, profesor chirurgii, tytan pracy, zabierał mnie do muzeów. Zawsze prosił, bym po takich wizytach sporządzał notatki i kiedy koledzy z klasy mieli już wolne, ja zapisywałem w zeszytach tytuły dzieł. Rodziców nie było stać na kupowanie oryginałów, ale wpadli na pomysł, by nabyć i pięknie oprawić reprodukcje. Właściwie całe dzieciństwo w pokoju, który dzieliłem z siostrą, wpatrywałem się w „Orkę” Wyczółkowskiego, portret dziewczynki Wyspiańskiego i absolutnie ulubione „Polowanie w lesie” Gierymskiego. Oswoiłem się z tym, że mój pokój od dzieciństwa był wypełniony obrazami, nie wyobrażałem sobie domu bez sztuki. Łapię się na tym, że w mieszkaniach rażą mnie puste, białe ściany. Od razu wyrabiam sobie pogląd na temat właścicieli.

Z czasem do tego doszły poznańska sumienność, chęć posiadania i gromadzenia obrazów niosących ze sobą historię, otaczania się czymś pięknym...

Pierwszy obraz?

– Jednak współczesny, kupiłem go w poznańskiej galerii jako 19-latek z pieniędzy

zaoszczędzonych na wyjazdach tenisowych. Był ogromny, nigdzie nie pasował i na jakiś czas „zaparkował” w garażu rodziców. Po latach oddałem go na aukcję charytatywną, kiedy poznaniacy zbierali na odnowienie renesansowej Fary. Obraz, jako pierwszy z mojej kolekcji, okazał się „gwiazdą” licytacji.

Zdradza pan malarstwo?

– Rzadko. Kiedyś zbierałem meble, francuskie z XVIII wieku i wiedeńską secesję. Potem mi przeszło. Jakoś trudno mi związać się z rzeźbą (choć mam prace Abakanowicz i Bałki) czy fotografią, nie mówiąc już o sztuce mediów. Kojarzy mi się ona z sileniem się na oryginalność. Poza tym, jak to podziwiać? Sam nie mam czasu włączyć starych filmików rodzinnych, fragmentów meczów z Rolandem Garros czy Wimbledonu, tym bardziej sztuka wideo nie miałaby u mnie szans. Wierzę w to, co wisi obok mnie na ścianie, nie muszę wykonywać dodatkowych czynności, by coś przeżywać.

Wchodzi pan we flirty?

– Raczej nie. Z pracami, z którymi się związałem emocjonalnie, nie ma szybkich rozstań.

Oszalał pan kiedyś dla obrazu?

– W latach 80. grałem w bardzo prestiżowym turnieju ATP w Kitzbühel, takim alpejskim Zakopanem. Singla i debła. Byłem wtedy twarzą Heada, cały turniej ustawiony pode mnie, wielkie plakaty w całym mieście. Na deptakach

śmietanka towarzyska. Z Polski przyjechała cała rodzina, byli dumni ze mnie. Na ich nieszczęście dostałem sygnał, że w Wiedniu jest do kupienia legendarny obraz Piotra Michałowskiego „Dzieci”. Arcydzieło. To portret córek malarza, Aleksandry i Cecylii, możemy domyślać się, że są w stajni, w tle mający ledwo zarysowany koń, ale na tyle niewyraźne, by nie odwracać uwagi od dziewczynek. Malowane gwałtownym, romantycznym pociągnięciem pędzla, niczym Diego Velázquez albo Rembrandta.

Okazja?

– Jeszcze jaka, i to nawet nie chodzi o cenę. Kiedy dotarło do mnie, że mam szansę, aby do mojej kolekcji dołączyła taka perła, urwałem się z turnieju. Po meczu wpakowałem całą rodzinę do wielkiego mercedesa i ruszyliśmy. By dotrzeć do Wiednia, trzeba ominąć prawie całe Alpy i zahaczyć o Monachium. Pędziliśmy niemal całą noc, rano byliśmy u marszanda. Kiedy zobaczyłem obraz, serce zaczęło mi szybciej bić. Za to ojciec, racjonalny poznaniak i chirurg, tylko jęknął: „Synu, mam nadzieję, że wiesz, co robisz. I to dla tego Michałowskiego tłukliśmy się taki kawał drogi?”. Rzeczywiście, nie wyglądało to dobrze: obraz mały (38 x 48 cm – przyp. red.), ciemny, bez złotej ramy, która dziś dodaje mu majestatu. Sfinalizowałem transakcję i z powrotem do Kitzbühel.

Zdażył pan na następny mecz?



→ - Tak, na szczęście odbywał się po południu, ale lepiej niech pan nie pyta o wynik. Po latach Wiesław Ochman odwiedził mnie w domu pod Nowym Jorkiem. Kiedy spytałem go, jaki obraz wybrałby z kilkuset prac, które tam wiszą, bez wahania wybrał „Dzieci” Michałowskiego. Zresztą kiedy Picasso przyjechał do Polski na Światowy Kongres Intelektualistów w Obronie Pokoju w 1948 roku, odwiedził też Muzeum Narodowe w Warszawie. Chodził po salach nieco znudzony, oglądał prace Fałata, Matejki, Chełmońskiego, aż wreszcie trafił na Michałowskiego. „A więc w końcu macie jednego prawdziwego malarza” - powiedział.

Czy pana miłość do obrazu można urazić?

- Oczywiście. 8 grudnia mieliśmy w Galerii Fibak wernisaz nowojorskiego konceptualisty Tadeusza Mysłowskiego, „5 x Malewicz” z trzema oryginalnymi pracami Kazimierza Malewicza. Grupa młodych, świetnie ubranych, patrzy na obraz Andrzeja Wróblewskiego „Zatopione miasto” z 1948 roku. I słyszę od tych, zdawałoby się, wykształconych ludzi: „Sama bym potrafi równo narysować”. Można się załamać. Obraz, rzeczywiście, wydaje się trochę dziecinnie, naiwnie malowany, na dodatek na papierze pakowym. Ale Wróblewski przecież świadomie wprowadza pewną deformację i trzeba być wyjątkowo nieczułym, by tego nie czuć. A krytykowany papier dodaje tylko smaczku i klasy temu dziełu.

Jako kolekcjoner jest pan niepoprawnie zakochany tylko w Polsce.

- Jestem patriotą, tak zostałem wychowany przez rodziców i patriotycznie podchodzę też do kolekcjonerstwa. Przez 20 lat prowadziłem trzy domy: w Nowym Jorku, Greenwich pod Nowym Jorkiem i w Paryżu. Na Zachodzie tenis ma bardzo wysoki status, otwiera każde drzwi. Wszyscy sławni i bogaci albo grają, albo grali w tenisa, więc zapraszali mnie do siebie, przyjmowali moje zaproszenia i oczywiście patrzyli na ściany pełne polskich obrazów. Choćby Andy Warhol czy wielcy artyści jak Jean Michel Basquiat czy Jeff Koons nie mogli uwierzyć, że malarstwo Eugeniusza Zaka nie jest twórczością na wskroś francuską, z niedowierzaniem przyjmowali polskie autorstwo dzieł Lebensteina czy Fangora.

Zdarzyło się panu coś pokochać ze sztuki zachodniej?

- Oczywiście. Z nowojorskiej sztuki współczesnej posiadam po dwa obrazy Andy'ego Warhola, Juliana Schnabla, Francesco Clemente, Erica Fischla. Ale zawsze największą słabość miałem do płócien Basquiata. Jego ojciec Gerard był zresztą moim zagorzałym kibicem

i nie opuszczał żadnego meczu w słynnym us Open w Nowym Jorku. Oczywiście tego uczucia nie można porównać do tego, jakie miałem do Michałowskiego czy Makowskiego. Taki kilkuletni romans.

Bardzo oplotalny.

- Gdy w latach 80. kupowałem jak szalony obrazy Basquiata, czyniłem to tylko dlatego, że byłem oczarowany jego twórczością i osobowością. Poznałem go, kiedy prowadził się z Warholem, żyli bardzo trendy. Co drugi dzień bywali w najmodniejszej nowojorskiej restauracji Mr. Chow i słynnym klubie Studio 54, gdzie spotykali się Mick Jagger, Jim

”Zawsze marzyłem o Picassie. 30 lat temu najlepsze jego obrazy kosztowały milion, dwa. Parę razy już miałem jakiś kupić i tchórzyłem. Przecież za taki kawałek płótna można mieć dom. Teraz żałuję

WOJCIECH FIBAK

Jarmusch, Robert De Niro. Właściwie byłem jednym z pierwszych poważnych kolekcjonerów, który się nim zainteresował. Kupiłem około 30 jego ważnych obrazów, a parę lat później był światową sławą. Od kilku lat jego prace kosztują grube miliony.

Wiem, że ciężko w to uwierzyć, ale mi naprawdę bliżej do Eugeniusza Zaka niż Warhola. Czuję tę pretensję tych wszystkich awangardowych polskich krytyków, którzy postrzegają mnie jako tradycjonalistę. Mieszkałem w Nowym Jorku, znałem całą ówczesną śmietankę, bywałem w pracowniach Warhola, Basquiata czy Jaspersa Jonesa, od którego rozpoczął się pop-art. A przeszedłem obok tego.

Może pan nie rozumiał tej sztuki?

- Coś w tym jest. Jeffa Koonsa znałem jeszcze z czasów, kiedy był maklerem giełdowym. Kiedy nagle ogłosił, że zostaje artystą, i wystawił w doskonałej galerii Leo Castellego, nie bardzo widziałem, dlaczego to takie ciekawe. Na wernisaz poszedłem z wybitnym kolekcjonerem Peterem Brantem. Koons związał się wtedy z Ciccioliną i wystawił ich wspólne zdjęcia. Mnie to kojarzyło się z pornografią i kiczem. Dwa lata później pokazał porcelanowe figurki kucyków.

Teraz chodzą po parę milionów dolarów.

- Wiem, jak na złość przez wiele lat Koonsa miałem niemal pod nosem. Peter Brant, który jest moim sąsiadem w Greenwich i chyba największym kolekcjonerem dzieł artysty, wystawił jedną z jego prac przed domem. To

ogromna rzeźba z kwiatów, chyba 20 metrów wysokości, nieustannie trzeba ją przycinać. Tyle że ja właściwie nigdy nie szedłem za pieniędzmi, ale za głosem serca. Kiedy miałem Basquiata, to żyłem Makowskim czy Fangorem. Gdybym w latach 90. skoncentrował się na malarstwie amerykańskim, finansowo byłbym dziś ustawiony do końca życia. Ale element patriotyczno-uczuciowy był ważniejszy. Chciałem pokazać światu, że Polacy też potrafią tworzyć na światowym poziomie, a szkoda, że są tak niedoceniani. Przecież Stefan Gierowski (wywiad z artystą na s. 64) nie jest wcale gorszy od Marka Rothki, tyle że najlę-

szsze prace pierwszego kosztują kilkadziesiąt tysięcy dolarów, a drugiego kilkadziesiąt milionów. Z artystami jest jak z modelkami. Nie zawsze najładniejsza dostaje najlepszy kontrakt, ale ta, która lepiej umie rozmawiać z fotografem, makijażystką. Tak samo jest malarzem: musi się znaleźć odpowiedni marszand, kurator, kolekcjoner... Dlatego wolę sport, jest bardziej wymierny. Brałem raketę do ręki i ona na korcie śpiewała.

Jakie są udutki kolekcjonera? Pana przyjaciel Krzysztof Musiał mówił, że nie ma nic gorszego, niż widzieć ukochany obraz i wiedzieć, że nie stać nas na niego.

- Akurat Krzysztof nie powinien narzekać, jego stać na każdy polski obraz. Jeżeli jakiegos nie kupił, to tylko dlatego, że wisi już w muzeum. Kiedy byłem młodszy, zawsze marzyłem o Picassie. Na przełomie lat 70. i 80. chodziłem na nowojorskie aukcje i parę razy się przymierzałem - wybitne obrazy kosztowały po milion, dwa. Kiedy już miałem wyciągnąć rękę i przebić cenę, zawsze przegrywał we mnie romantyczny kochanek na rzecz poważniejszego kołachanek. Wyobrażałem sobie, że dokładnie za tyle można kupić duży dom pod Nowym Jorkiem, w pięknej willowej dzielnicy, do tego park, baseny, kort. A tu jedno płótno. No i tchórzyłem, kuliłem uszy, wracałem do domu do swojego Zaka, Makowskiego... Oczywiście dziś żałuję. Ten sam dom wart jest 10 milionów, ale Picasso - 50. Okazało się, że inwestycja w kawałek płótna jest

Wojciech Fibak

59 lat, najbardziej utytułowany polski tenisista w historii, kolekcjoner dzieł sztuki. Zawodową karierę rozpoczął w połowie lat 70. od mocnego uderzenia: w 1976 roku doszedł do finału turnieju Masters w Houston. W sumie zwyciężył w 15 turniejach gry pojedynczej i 52 podwójnej. Jego największym sukcesem był finał debla na French Open w 1977 roku. Mocne strony: kultura gry, prawa ręka, praca nóg. Słabo było z serwisem i kondycją. Złośliwcy mówią o nim „król ćwierćfinałów”. Na kortach zarobił prawie trzy miliony dolarów, po zakończeniu kariery został biznesmenem na rynku nieruchomości. W Warszawie prowadzi Galerię Fibak, do 15 stycznia trwa tam wystawa Tadeusza Mysłowskiego „5 x Malewicz”.

korzystniejsza niż w kamienny gmach. Ale pocieszam się, że chyba większość osób wybrałoby jak ja. A poza tym w sztuce, proszę mi wierzyć, nie aspekt finansowy jest najważniejszy. Jednak kupił pan kilka tysięcy obrazów, a ma kilkaset. Co pan czuje, kiedy sprzedaje dzieło? - Obrazy są jak dzieci, tyle że trochę łatwiej oddać je w inne ręce. Gdy wiem, że ktoś ma swoją przestrzeń, nie odsprzedam płótna za rok, organizuje wystawy, to cieszę się, że ma

podobną pasję, i wymieniam z tą osobą niektóre prace lub sprzedaję. Prawdziwa kolekcja jest żywa, zmienia się gust właściciela, poznaje nowe obrazy, artystów. Gdybym miał licencję na wiercenie ropy lub fabrykę farmaceutyczną i całkowitą swobodę finansową, zbudowałbym 10 lat temu prywatne muzeum dla swojej kolekcji 300 obrazów École de Paris i kontynuował z żoną Olgą kolekcjonowanie klasyki polskiej sztuki współczesnej.

Są wyjątki?

- Do niektórych obrazów uczucia są stałe i na zawsze: do „Dzieci” Michałowskiego, „Rozstrzelania” Wróblewskiego, „Rozety” Fangora. Są też obrazy, za którymi tęsknię, myślę o nich co dwa, trzy dni. Ale takie jest życie, czasami trzeba się rozstać z człowiekiem, to dlaczego nie z obrazem. Z wieloma pracami się żyłem, ale moja rodzina, szczególnie kobiety, jeszcze bardziej. Często słyszę: wyrwać coś od Wojtka to ciężka harówka. Trzeba dzwonić, chodzić, rozmawiać, namawiać. Kiedy już ja się zgodzę, nadchodzi etap drugi: przekonanie żony lub córek, w których pokojach wiszą obrazy. To jest dopiero droga pod górę. Dla mnie kolekcjonowanie to nie jest tylko relacja ja-obraz. To też ludzie. Nieustannie

rozmawiam z marszandami, doradcami, historykami, artystami.

Są dla kolekcjonera jak swatki, łączą z obiektem ich miłości?

Coś w tym jest. W późnych latach 70. Wiesław Ochman zaprowadził mnie do mieszkania profesor Władysławy Jaworskiej na warszawskiej Ochocie, która odkryła Makowskiego dla Polski. Siedziałem tam, słuchałem jej opowieści, patrzyłem na obrazy Władysława Ślewińskiego... To z jej rekomendacji poznałem Zbyszka Legutkę i Marka Mielniczuka, marszandów, którzy mieli największy wpływ na moją kolekcję.

No i jest jeszcze związek z artystami. Pamiętam, jak kiedyś przyjechał do mnie Zygmunt Menkes, który przyjaźnił się w Paryżu z Eugeniuszem Zakiem, Markiem Chagallem, Zygmuntem Waliszewskim, Tadeuszem Makowskim... Wybitny artysta i fascynujący człowiek. Miał 80 parę lat i zobaczył u mnie obrazy, z którymi rozstawał się w latach 20. w Paryżu. Kiedy zaczął opowiadać o swoich kolegach, poczułem się jak bohater filmu Woody'ego Allena, „O północy w Paryżu”, gdzie bohater przenosi się do czasów Picassa, Dalego, Eliota. Cudowna, niezapomniana wizyta.

REKLAMA

PRZE
KROJ

daje do myślenia



Prenumerata na 2012 r.

Szczegóły na www.przekroj.pl/prenumerata i pod numerem infolinii 800 120 195

W obronie agape

Zachodnia kultura tkwi w miłosnym kryzysie, czy skromna *agape* zdoła go pokonać?

AGATA BIELIK-ROBSON

W swojej książce „Miłość a świat kultury zachodniej” Denis de Rougemont, szwajcarski myśliciel, mniej więcej rówieśny Sartre’owi, stawia tezę, że miłość to pojęcie absolutnie kluczowe, bez którego nie da się zrozumieć istoty naszej zachodniej cywilizacji. Píše też, że dokładnie z tego samego powodu bardzo trudno jest tę miłość, napędzającą kulturę Zachodu, zdefiniować, ponieważ obejmuje ona ogromną sumę zjawisk, które, jeśli przyjrzeć się im bliżej, niewiele łączy. Od najbardziej przyziemnych namiętności przez wysublimowaną miłość romantyczną po bezinteresowną miłość bliźniego, którą chrześcijaństwo uczyniło podstawą więzi społecznej. Te trzy typy miłości Rougemont nazywa odpowiednio: *libido*, *eros* i *agape*. *Libido* to łaciński termin nazywający pożądanie, który w nowoczesności spopularyzował Zygmunta Freuda, twórca psychoanalizy, kładąc je u podstaw ludzkiej psychiki. *Eros* to grecka nazwa pragnienia, które podlega sublimacji, a to znaczy, że potrafi przybierać wyższe formy niż proste pożądanie. Zaś *agape* to greckie pojęcie z listów świętego Pawła, oznaczające najwyższą, jego zdaniem, postać miłości, jaką jest ukochanie bliźniego.

Także i dla Rougemonta, pisarza katolickiego, *agape* stanowi najlepszą i najcenniejszą formę uczuć miłosnych, jednocześnie, jak twierdzi,

„Trzy Gracje”
Rafaela Santiago,
olej na desce



„Romantyczny eros nie wybacza niczego i niczemu, uparcie dążąc ku temu, czego nie ma; agape natomiast kocha mocą wyrozumiałości

AGATA BIELIK-ROBSON

najbardziej w naszej dzisiejszej kulturze zagrożoną. Inaczej bowiem niż Freud, który bezwzględny prymat w dziedzinie ludzkich zachowań przypisywał *libido*, Rougemont jest przekonany, że kultura Zachodu została niemal w całości zdominowana przez *erosa*: szczególny rodzaj namiętności nazywany przezeń miłością romantyczną.

Miłość romantyczna, która faworyzuje „miłosne nieszczęście” – moment niespełnienia i tragiczności wpisany w samą istotę pragnienia – nie narodziła się, jak by jej nazwa sugerowała, w romantyzmie, ale znacznie wcześniej: w epoce zmierzającego średniowiecza, kiedy to na południu Francji szaleje herezja katarska, wyłania się na jej podstawie poezja prowansalska, zaś Kościół wysyła do boju przeciw katarom nowo powstały zakon dominikanów, ze świętym Tomaszem na czele, który by odeprzeć tę gnostycką tendencję, tworzy chrześcijański system filozoficzny, przekonujący nas, że istnienie jest dobre. Wbrew bowiem biblijnej tezie, zgodnie z którą Bóg, ujrzawszy swoje stworzenie, doszedł do wniosku, że „to było dobre”, katarzy i inne manichejskie sekty, bujnie wówczas rozkwitające w łonie zachodniego chrześcijaństwa, uważają świat stworzony za samo wcielenie zła i domenę nieprawego archonta. Brzydzą się materią i wszystkim, co cielesne, podporządkowując swoje ascetyczne życie tylko temu, co w najczystszy sposób duchowe. Stroniąc od zwykłych przyjemności, zanieczyszczonych domieszką materii, katarzy, absolutnie oddani czystej duchowości, wołają „śmierć za życia”: uwolnienie od więzów cielesnych, gdzie śmierć staje się bramą do wyższej formy życia pneumatycznego.

Denis de Rougemont, który – jako katolik – stoi mocno po stronie Tomasza i jego emfaticznie podkreślanej „afirmacji istnienia”, wcale nie uważa katarów za raz na zawsze zakończony i rozwiązany epizod w historii zachodniej duchowości (przy czym powiedzmy sobie szczerze, że zakończenie to, czyli masakra ludności katarskiej dokonana przez Szymona de Montfort, przywódcę krucjaty antymanichejskiej, nie należy do najchlubniejszych kart Kościoła). Przeciwnie, jest przekonany, że uwolniony przez nich gnostycki duch negacji nie tylko nie zniknął wraz z zagładą katarskich osad, lecz okazał się siłą napędową zachodniej nowożytności, począwszy od narodzin poezji prowansalskiej i centralnego dla niej mitu miłości romantycznej. Miłość do Damy, o której piszą trubadurzy, nie jest wszak miłością do realnej istoty ludzkiej, z którą chciało się spędzić realne, przebiegające tu i teraz,

w ziemskich warunkach życie. To miłość do istoty odrealnionej, odcieleśnionej i pozbawionej wszelkich ludzkich cech; istoty, która oczyszcza się ze znamion życia i staje się reprezentacją śmierci. Miłość do „pięknej Damy bez serca i litości”, jak swą wyidealizowaną wybrankę nazywał Chrétien de Troyes, jest więc tak naprawdę zawołanym pragnieniem śmierci, ukrytym w *erosie tanatosem*. Jak pisze Rougemont o najsłynniejszym bretońskim romansie, będącym po dziś dzień wzorcem uniesień romantycznych, czyli o „Tristanie i Izoldzie”, ta miłość to w istocie „namiętność, która pragnie Nocy i triumfuje w przeistaczającej ją Śmierci”. Kochać w ten sposób znaczy więc nade wszystko kochać śmierć, negację, samounicestwienie; to zarazem także nie móc znośić życia, jego nieuchronnych niedoskonałości, pęknięć i frustracji. W miłości romantycznej, w której wciąż daje się wyczuć obecność manichejskiego nieprzejednania wobec bytu, żądanie absolutnej doskonałości każe kierować się ku temu, co nie istnieje i co w swej zimnej perfekcji pozostaje nieskażone przez słabości życia.

Tak zatem – „najpiękniejszy jest przedmiot, którego nie ma”. Ta sentencja Zbigniewa Herberta doskonale mieści się w gnostyckiej linii, którą demaskuje Rougemont, kładąc jej logikę negacji u podstaw mitu miłości romantycznej. Nic też dziwnego, że za zdanie to Herbert mocno naraził się Miłoszowi, który sam będąc raczej katolikiem spod znaku Tomaszowej afirmacji istnienia, mocno go obrzął za to wysługiwanie się „tej swołoczy, Mallarmému”, a więc poecie, którego Miłosz uznawał za samo dno nowoczesnego nihilizmu. Rougemont, podobnie jak Miłosz, także uważa, że nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż miłość do „piękna, którego nie ma” i że ta forma *erosa* romantycznego, ryzykownie uwikłanego w popęd śmierci, odwołuje nas, ludzi konkretnych i skończonych, od akceptacji tak naszej konkretności, jak skończoności. Że sublimując nasze pragnienia w zimne rejony poza życiem, tracimy zdolność do *agape*, tej zwykłej, prostej, codziennej miłości bliźniego, która, jak pisał święty Paweł, nie wynosi się ponad ludzkie słabości i nie żąda niemożliwego. *Eros* romantyczny byłby zatem odpowiednikiem owego „języka anielskiego”, który unosi pragnienie w ponadziemskie obszary, pozostawiając romantyka pustym niczym „cymbał brzmiały”. Tymczasem prawdziwa chrześcijańska miłość – oto znów Paweł z Pierwszego Listu do Koryntian – „wszystko przyjmuje, wszystkiemu wierzy, wszystkiego się spodziewa, ➔

→ wszystko znosi”. Romantyczny *eros* nie akceptuje niczego, czyniąc to Nic ukrytym przedmiotem swej namiętności; *agape* z kolei przyjmuje wszystko, afirmując niedoskonałe istnienie, które otacza ją aurą łagodnego wybaczenia. Romantyczny *eros* nie wybacza niczego i niczemu, uparcie dążąc ku temu, czego nie ma; *agape* natomiast kocha mocą wyrozumiałości. Romantyczny *eros* odrywa się od realnych ludzkich istot, naszych niedoskonałych bliźnich, by doznać mistycznego uniesienia i zatury w tym, co nieskończone; *agape*, przeciwnie, trzyma się mocno wymiaru skończoności, przekonana, że kochać można tylko to, co skończone, słabe i niedoskonałe. Jak pisze de Rougemont: „*Eros* domaga się jedności, to jest esencjonalnego rozproszenia indywidualum w bóstwie. Jednostka oddzielona – ten bolesny błąd – powinna wznieść się aż do zatury w boskiej doskonałości. Człowiek nie powinien przywiązywać się do stworzeń, ponieważ nie są doskonałe i w miarę tego, jak się odosobniają, reprezentują tylko niedostatki bytu. Nie ma więc w tej sytuacji pojęcia bliźnich. Egzaltowany kult miłości staje się więc ascezą, drogą, która prowadzi poza życie”.

Zdaniem de Rougemonta kryzys nowoczesnej kultury zachodniej polega na zaniku zdolności do kochania bliźnich: na usunięciu z naszego horyzontu *agape* na rzecz rozegzaltowanego kultu *erosa* pragnącego nieskończoności. Jednak de Rougemont, mimo że chrześcijanin, uczciwie dostrzega, że chrześcijaństwo samo nie jest tu bez winy. To ono przecież dało człowiekowi, pojedynczej skończonej jednostce, silną wiarę w nieskończoność jego duszy, której w zaświatach przysługiwać będzie życie nieśmiertelne, bezkresne i niczym nieograniczone. W samej dogmatyce wiary chrześcijańskiej zatem ukrywa się „nieskromne pragnienie *erosa*”, by przekroczyć ograniczenia naszej ziemskiej kondycji i żyć już teraz tak, jakby się uczestniczyło w łasce nieśmiertelności. Nawet zatem w kulturze postchrześcijańskiej, w której otwarcie deklarowana wiara w nieśmiertelność duszy jednostkowej pojawia się coraz rzadziej, wiara ta działa nadal, przybierając z pozoru tylko niechrześcijańskie formy, jak

choćby krytykowana przez de Rougemonta miłość romantyczna. Nawet bowiem jeśli *eros* romantyczny jest czysto negatywny, a więc neguje wartość skończonego bytu na rzecz „przedmiotu, którego nie ma”, a nie na rzecz unii mistycznej z nieskończonym Bogiem, to obie postaci pragnienia łączy jedno: brak przywiązania do horyzontalnego wymiaru życia zamieszkanego przez realnych bliźnich i nadmiar namiętności do wymiaru wertykalnego, oferującego duszy ucieczkę z okowów rzeczywistości.

Dlatego, dzielając krytyczną uwagę de Rougemonta, że kultura zachodnia utraciła zdolność do *agape*, należałoby wprowadzić do jego diagnozy pewną korektę. Kultura zachodnia utraciła zdolność do kochania bliźniego, ponieważ, między innymi za sprawą objawienia chrześcijańskiego, utraciła zdolność do znoszenia ludzkiej skończoności. Niewykluczone zatem, że aby ocalić *agape* – a co do tego, że potrzebujemy jej pilnie i paląco, nie ma chyba żadnych wątpliwości – należałoby się cofnąć w historii nieco dalej niż do świętego Pawła, czyli do źródeł Pawłowego Hymnu o miłości, jakim jest Biblia Hebrajska, a zwłaszcza Pieśń nad Pieśniami. „Połóż mnie jak pieczęć na swoim sercu, jak obrączkę na swoim ramieniu. Albowiem miłość jest mocna jak śmierć, namiętność twarda jak Szeol. Jej żar to żar ognia, płomień Pana”.

Jak dowodzą dyskusje mędrców talmudycznych, Pieśń nad Pieśniami, opowiadająca o miłości Salomona i Sulamitki, to z pozoru tylko liryczny erotyk; w istocie, jak twierdził rabin Akiba ben Josef, największy zwolennik umieszczenia Szir ha-Szirim w hebrajskim kanonie, poemat ten stanowi alegorię namiętnej miłości do Boga i nierozzerwalnej więzi, jaka związała ze sobą na wieki Jahwe z Izraelem. Ojcowie i doktorzy Kościoła podjęli tę interpretację w duchu mistycznym, dla Żydów jednak, niechętnych mistycznym porywom, pieśń ta służyła przez stulecia za kanwę rozważań o miłości bliźniego – czyli miłości, która nie kieruje się wprost do Boga, lecz do wszystkich istot będących obok nas, ożywianych w ten sposób płomieniem bożej miłości.

Podczas bowiem gdy chrześcijanie, wierni swej dogmatyce, zawsze mieli skłonność do tego, by konkluzję Pieśni nad Pieśniami czytać jako „miłość mocniejsza jest niż śmierć”, a więc jako sugestię ostatecznego triumfu wiary, nadziei i miłości nad ziemskim padolem śmierci i cierpienia – Żydzi, przez długi czas w ogóle nieznający dogmatu o nieśmiertelności duszy, czytali go dosłownie jako „miłość mocna jest jak śmierć”, a więc w duchu równoważności między miłością a śmiertelnością. W myśl tej znacznie skromniejszej interpretacji miłość okazuje się tak samo silnym i istotnym atrybutem życia skończonego jak śmierć. Nie jest w jej mocy pokonać śmierć (co, za świętym Pawłem, obiecuje chrześcijaństwo), a jedynie sprawić, by świadomość naszej śmiertelności nie przytłoczyła nas nadmierną melancholią i poczuciem marności wszystkiego, co istnieje. Jak mówi Franz Rosenzweig, xx-wieczny filozof żydowski, który na analizie Pieśni nad Pieśniami oparł swoje główne dzieło, czyli „Gwiazdę zbawienia”, judaizm to w istocie „religia życia skończonego”: religia, która nie pragnie nieskończoności i nieśmiertelności, nie pragnie życia po życiu, ale za to z całej siły pragnie życia za życia, życia, które mimo tego, że skończone, nie ulęknie się wyroku śmierci i ukocha samo siebie, jako skończone właśnie. „Kochaj bliźniego swego jak siebie samego”, nakaz, który po raz pierwszy pojawia się w Księdze Powtórzonego Prawa, formułuje tym samym prawo *agape* jako miłości, która za swój obiekt wybiera inną istotę: tak samo jak ja żyją, tak samo jak ja zalekniomą perspektywą śmierci i tak samo jak ja mającą nadzieję, że jej życie, mimo że tylko chwilowe, ma mimo wszystko jakiś sens. Nie pragnie przedmiotów, których nie ma, nie unosi się ponad ziemski żywioł; pragnie jedynie pomagać i wspierać bliźniego-towarzysza w znoszeniu jego – naszej wspólnej – niełatwej kondycji.

Czy taka skromna *agape* ma szansę pokonać miłosny kryzys zachodniej kultury? Na razie wydaje się, że nasza cywilizacja, wchodząc w fazę postchrześcijańską, nie może otrząsnąć się z szoku ponownego odkrycia ludzkiej skończoności i pogrążyć się w depresję, którą określa melancholijne prawo, charakterystyczne dla wszystkich kultur pogańskich: „nie jest tak mocne jak śmierć”. Można jednak żywić nieśmiałą nadzieję, że wkrótce znów przebudzi się do życia, nie pragnąc już jednak nieśmiertelności, a jedynie świadomego życia skończonego, które wprawdzie wie, że musi umrzeć, ale też dlatego zdolne jest kochać. Miłość bowiem mocna jest jak śmierć. Nie mocniejsza – ale i nie słabsza. ●

RMF

Classic

„RMF Classic
- najbardziej filmowe
radio w Polsce!”

Jan A.P. Kaczmarek

[Jan A.P. Kaczmarek]

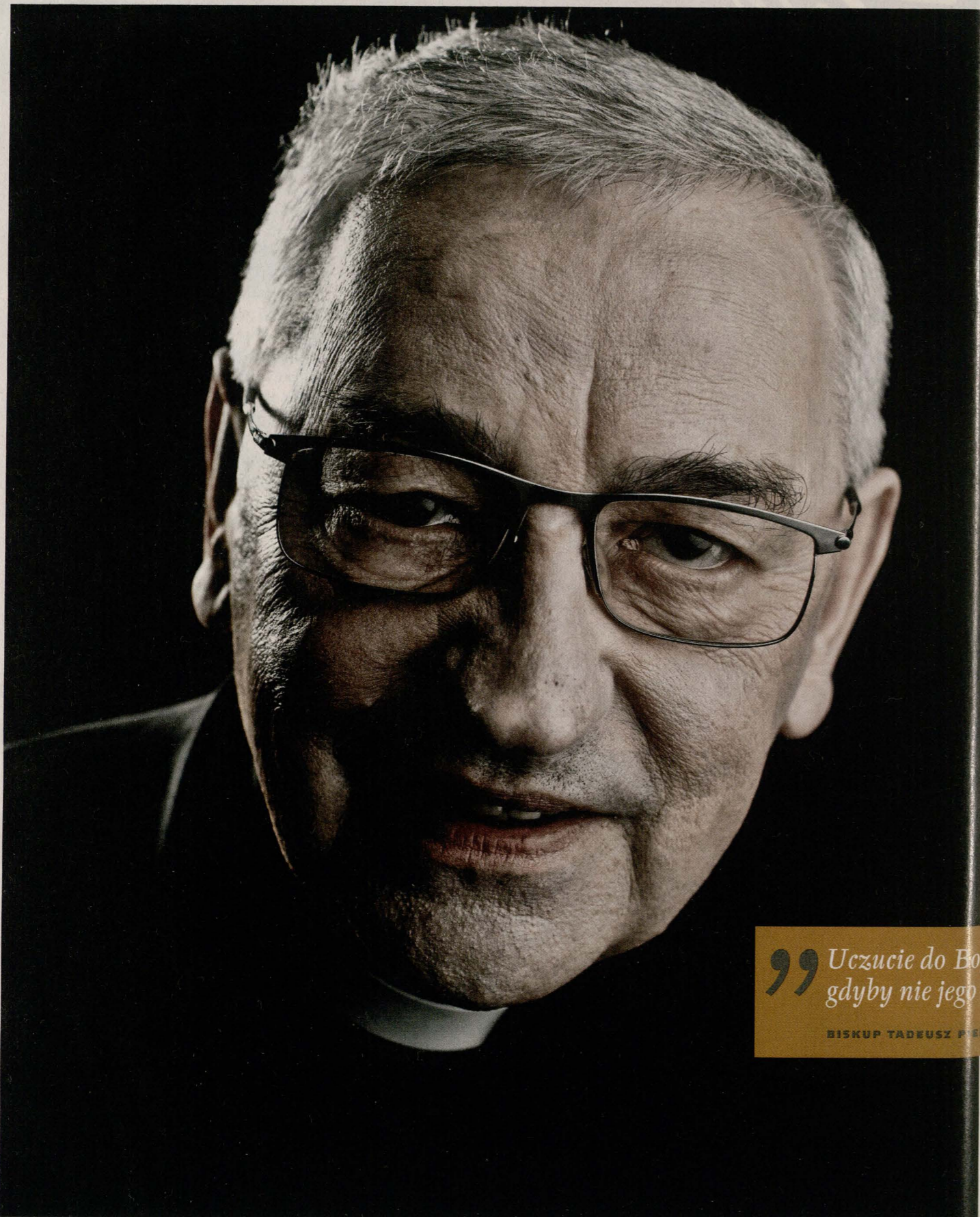


www.rmflclassic.pl



Prof. dr hab. Agata Bielik-Robson

45 lat, profesorka filozofii Uniwersytetu Warszawskiego i Polskiej Akademii Nauk. Jest autorką Collegium Invisible. Zajmuje się filozofią podmiotowości oraz wpływem formacji romantycznej i psychoanalizy na filozofię. Drugim obszarem jej zainteresowań jest myśl judaistyczna, którą wykłada na uniwersytecie w Nottingham. Stale współpracuje z Krytyką Polityczną. W październiku 2011 roku wzięła udział w kongresie założycielskim Ruchu Palikota. Jak sama mówi, wszystkie książki napisała w piżamie.



„Uczucie do Boga byłoby prostsze, gdyby nie jego oczekiwania względem nas

BISKUP TADEUSZ PIERONEK

Kocham Rydzyka, bo kocham Boga

Miłość nie zna granic. Dlatego również Hitler zasługuje na mszę – mówi w rozmowie z Łukaszem Wójcikiem biskup **TADEUSZ PIERONEK**, były sekretarz generalny Konferencji Episkopatu Polski

Chrześcijańska miłość do wszystkich to paradoks. Jeśli trzeba kochać wszystkich, to miłość traci zupełnie swoją wyjątkowość.

– Tyle że tu nie do końca o miłość chodzi, ale o uczucie, które jest tylko komponentem tej prawdziwej miłości. Ta jest przede wszystkim postawą człowieka, której ośrodkiem jest nie tyle uczucie, ile wola. Nie zawsze musimy pałać uczuciem do człowieka, którego kochamy. Kogoś, kto jest złym, wrogo wobec nas nastawionym człowiekiem, nie obdarzamy uczuciem, ale szanujemy go w jego człowieczej godności. To ważniejsze niż gorące uczucie, które może towarzyszyć miłości, ale nie musi.

Może księdzu biskupowi chodzi o szacunek.

Przecież ja kocham żonę inaczej niż księdza.

– Miłość to pojemne pojęcie.

Co to znaczy, że Bóg stworzył nas z miłości?

Kochał nas, gdy jeszcze nie istnieliśmy?

Czyli sam akt stworzenia jest dowodem na miłość?

– Tak, miłość do stworzenia ze strony Stwórcy jest naturalna. Bo on nie ma w tym tworzeniu żadnego interesu. Ma przecież wszystko, więc – używając ludzkich kategorii – robi to tylko dla przyjemności. On chce mieć satysfakcję. Największym na to dowodem jest to, że Bóg swojego Syna Jednorodzonego posłał na świat, by przez śmierć i zmartwychwstanie zbawił człowieka. Nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś oddaje za innego swoje życie. Chrystus tego dokonał z własnej woli.

Łatwo kochać Boga?

– To byłoby fantastyczne, gdyby to było proste. Ale Bóg jest wymagający. Samo uczucie do niego byłoby prostsze, gdyby nie jego oczekiwania wobec nas. Podobieństwo do Boga nie jest bezpłatne. Człowiek musi się wywiązywać z pewnych obowiązków wobec niego. Samo traktowanie go jako swojego stwórcę to już pierwsze zobowiązanie. Żyć tak, jak Bóg tego od nas wymaga, to odwzajemnienie jego miłości, ale też często powód do buntu. Dlaczego ja mam kochać Boga i żyć tak, jak on tego wymaga, według przykazań? Przecież dał mi wolność. Dlaczego nie mogę jej użyć tak, jak chcę? Powiedzieć mu: „Nie obchodzisz mnie. Ja sobie ułożę życie po swojemu”? Jak widać, to niełatwa relacja.

Może więc problem leży w braku zrozumienia tego, co nas od Boga spotyka? Jeśli nie rozumiemy, to nie potrafimy pokochać.

Także ludzi.

– Nie rozumiemy, bo nie jest to po naszej myśli. W przypadku miłości do Boga rzeczy mają się trochę tak, jak u proroka Izajasza: jak może garnek krytykować garncarza, że go źle zrobił? To jest zupełnie nielogiczna pretensja, na zasadzie żalu do Boga, że wcale nie chciałem być wielbłądem, tylko lwem. U ludzi takie pretensje są niemal regułą.

Kościół twierdzi, że każdy z nas ma miłość w sobie. Ale przecież tej miłości trzeba się nauczyć.

– To się dzieje w procesie wychowania. Miłości uczymy się od tych, którzy nas kochają. Ja sam miałem trudne dzieciństwo. Wojna rozdzieliła moją rodzinę, ale mimo to zawsze czułem się kochany. O miłości można przeczytać grube tomy, nasłuchać się niesamowitych opowieści, ale nic nie zastąpi przykładu bliskich osób. Chyba niczego tak dosłownie nie kopiujemy po rodzicach jak właśnie sposobu okazywania miłości.

Tata kocha inaczej niż mama.

– Inaczej okazują swą miłość, ale nie różni się ona co do swojej istoty. Z natury mężczyzna jest inny. Kiedyś sąsiadka zapytała dwie córki moich przyjaciół: jacy są rodzice? „Tataś jest ostry, a mama tępa” – zabrzmiała cięta odpowiedź. Mój ojciec był zawsze stanowczy, co mi się wówczas bardzo nie podobało. Do dziś pamiętam, jak na odpuszcie nie chciał mi kupić korkowego pistoletu. Uznał po prostu, że jest mi niepotrzebny. Dziś to by była bzdura, ojciec wyciągnąłby kilka złotych i kupił dziecku ten pistolet. Ale tu chodzi o rozumne →

→ podejście do wychowania, wynikające właśnie z miłości.

Która sytuacja jest lepsza? Gdy człowiek kocha Boga, ale już ludzi – nie za bardzo, czy na odwrót – gorąco kocha ludzi, ale już nie Boga, bo w niego nie wierzy?

– Oba przypadki są ułomne. Ale... jeśli ktoś uważa, że kocha Boga, ale nie ludzi, to pogubił się w lesie. To jest logicznie sprzeczne, ale jeśli już ktoś tak twierdzi, to przypuszczal-

krytykować samych ludzi, tylko ich postawy. Choć nie ukrywam, że czasem przesadzam. To nie jest dobrze. Ja zwykle robię to żartem, ale niestety często te moje żarty odbierane są jako złośliwość. Ci, którzy mnie znają, wiedzą, że nie trzeba tego brać do końca na serio. Staram się więc unikać dworowania z osoby, która mnie nie zna.

Czy kocha ksiądz biskup ojca Tadeusza Rydzyska?

„Złych ludzi, którzy sprawiają nam ból, można kochać. Dzięki przebaczeniu. Są tacy, którzy potrafią przebaczyć nawet zabójcy swojego dziecka

BISKUP TADEUSZ PIERONEK

bym raczej, że jego wiara i miłość do Boga są na poziomie czysto deklaracyjnym. Z drugim przypadkiem spotykam się dość często i uważam, że jeśli ktoś potrafi gorąco kochać ludzi, to do Boga może mieć znacznie bliżej, niż mu się wydaje.

Jak kochać złych ludzi, którzy sprawiają nam ból?

– Dzięki przebaczeniu. Oczywiście, to łatwo powiedzieć, ale są ludzie, którzy potrafią to zrobić. Są tacy, którzy potrafią przebaczyć zabójcy własnego dziecka. I nie chodzi tu o obdarzenie zabójcy uczuciem, tylko o miłość jako uszanowanie godności drugiego człowieka, nawet jeśli on sam nie potrafił uszanować godności innych. Są niestety chrześcijanie, którzy nawet nie biorą pod uwagę możliwości przebaczenia. Im może pomóc tylko upływ czasu.

Czy mówienie najgorszej prawdy kochanej osobie może pomóc? Czy to dowód na miłość?

– Prawdę powinniśmy mówić przed Bogiem. Nie mamy moralnego obowiązku przyznawać się do wszystkich grzechów swoim bliskim, jeżeli mówimy o nich na spowiedzi. Nie spowiadamy się przed żoną lub mężem czy też przed przyjaciółmi, tylko wobec Boga. To wystarczy. Jeśli natomiast chodzi o mówienie bliskim prawdę o nich samych, to wydaje mi się, że zasada jest jedna: na zło trzeba reagować. Prawda może zabić, ale jeśli powie się prawdę w odpowiedni sposób, to możemy bliskiej osobie otworzyć oczy, bo wcale nie musi wiedzieć, że źle czyni.

A księdzu biskupowi nie brakuje tego wycucia w mówieniu ludziom prawdy o nich samych?

– Tak jestem skonstruowany. Zawsze reaguję, gdy coś mnie razi. Staram się jednak nie

– Nie mam z tą miłością problemu. Jako sekretarz Konferencji Episkopatu podpisywałem z nim umowę na prowadzenie radia i liczyłem, że jej dotrzyma. No cóż. Widujemy się czasem, pozdrawiamy. Uczucie się buntuje, ale w końcu jesteśmy ludźmi. On i ja popełniamy błędy.

A co z najgorszymi przypadkami? Czy odprawiłby ksiądz biskup mszę świętą za Adolfa Hitlera?

– Oczywiście, że bym odprawił. Choć na pewno byłbym bardzo ostrożny wobec zamawiającego, bo niechybnie wyczułbym podstęp. Na pewno przy takiej okazji nie wziąłbym pieniędzy. I nie miałbym zgorszenia wśród wiernych obecnych na tej mszy – została by oficjalnie odprawiona „w intencji jedynie Bogu wiadomej”. Ale czemu nie odprawić? Adolf Hitler był tak samo dzieckiem bożym jak pan redaktor.

Jeśli niełatwo kochać Boga, ludzi, to co dopiero powiedzieć o miłości do Kościoła, która przecież winna być udziałem wszystkich katolików.

– Jeżeli mamy kochać wszystkich – to i Kościół. Powinno to przychodzić łatwiej niż miłowanie całej ludzkości, bo to jednak wspólnota nam bliższa. Wspólnota ludzi, którzy w istotnych, duchowych sprawach są zgodni.

Tadeusz Pieronek

77 lat, biskup, w latach 1993–1998 sekretarz generalny Konferencji Episkopatu Polski. Trzy razy prawie wyrzucony z krakowskiego seminarium, raz za granie w piłkę na Błoniach bez szanowności. Później, już jako rektor Papieskiej Akademii Teologicznej (1998–2004), poza zasługami wychowawczymi na swoim koncie ma również załatwienie seminarzystom papieru toaletowego w każdej ubikacji. Zapalony zbieracz kawałków o samym sobie. Kibic Wisły Kraków i profesor prawa kanonicznego procesowego. W 2008 roku otrzymał Nagrodę Orła Jana Karskiego, między innymi za krytykę „ekstremizmu Radia Maryja”. Nie przeszkadza mu Nergal w tvp.

Ale często przeszkadza wielbny proboszcz, który powinien być pośrednikiem, a zdarza się, że jest hamulcowym.

– To nie jest problem z proboszczem, ale raczej z nieradzeniem sobie z Bogiem. Nie musimy pałać do księdza uczuciem, ale powinniśmy próbować go zrozumieć. Nie chodzi o tłumaczenie złych zachowań, ale powinniśmy szanować jego człowieczą godność, czyli kochać go przynajmniej wola. To tak jak w rodzinie – nie wszystkim od razu rzuca się na szyję. Takie narzekanie na proboszcza często bywa jednak tylko przykrywką dla nieradzenia sobie z warunkami, jakie stawia przed człowiekiem Kościół. Robi to właśnie z miłości, bo celem jest zbawienie. Wierni jednak często odrzucają boskie reguły i stwarzają sobie własne.

Czy miłość wymaga heroizmu?

– Bogu trzeba zaufać do końca i wyznać wiarę w niego nawet kosztem własnego życia. Ale to są decyzje indywidualne i nie można z założenia we wszystkim oczekiwać od ludzi heroizmu. Byli tacy, którzy potrafili wznieść się na ten poziom: oddawali życie za wiarę lub właśnie za swoich ukochanych. To własna decyzja człowieka i tak samo – jego własna zasługa.

Czy możemy oczekiwać heroizmu od kobiety, która decydując się na poród, naraziłaby własne życie na niebezpieczeństwo?

– Tego nie można wymagać od żadnej kobiety. Ale też nie można pozostawić lekarzowi takiej decyzji. W takim przypadku heroizmem będzie już samo zdanie się na Pana Boga. Podstawowym zadaniem w takich przypadkach jest ochrona każdego życia, matki i dziecka.

Co będzie z naszą miłością po śmierci?

– Żydzi zapytali kiedyś Jezusa o zdanie w następującej sprawie: Mojżesz nakazał, aby wdowę po zmarłym zaopiekował się jego brat. Jeśli i ten by umarł, kolejny z braci powinien wdowę wziąć do siebie. Gdyby ich było siedmiu i wszyscy by pomarli, a dopiero po nich zmarłaby ta wdowa, to czyją żoną będzie ona po zmartwychwstaniu? Jezus im odpowiedział: „Gdy (...) powstaną z martwych, nie będą się ani żenić, ani za mąż wychodzić, ale będą jak aniołowie w niebie” (Mk 12:25). Wtedy już wszyscy będziemy zanurzeni w miłości.

NTT System zaleca oryginalny System Windows® 7 Home Premium.

NTT®

All-in-One 21.5"



Bez względu na to, czy jesteś entuzjastą gier komputerowych i multimedii, czy potrzebujesz niezawodnego, sprzętu do pracy – komputer NTT® All-in-One sprostą Twoim wymaganiom.

Komputery NTT® typu All-in-One, z preinstalowanym systemem operacyjnym Windows® 7, oparte na procesorach Intel® Core™ drugiej generacji, dedykowane są dla użytkowników poszukujących zaawansowanych rozwiązań w kompaktowej obudowie zintegrowanej z wysokiej klasy monitorem. Dzięki takiemu rozwiązaniu komputery zajmują mało przestrzeni, efektownie prezentują się w domu, czy miejscu pracy są estetyczne i ograniczają uciążliwe okablowanie. Szerokie spektrum konfiguracji komputerów NTT® All-in-One w połączeniu z Microsoft® Office 2010 dla Użytkowników Domowych i Uczniów dają nieskończenie wiele możliwości wykorzystania nowego komputera.

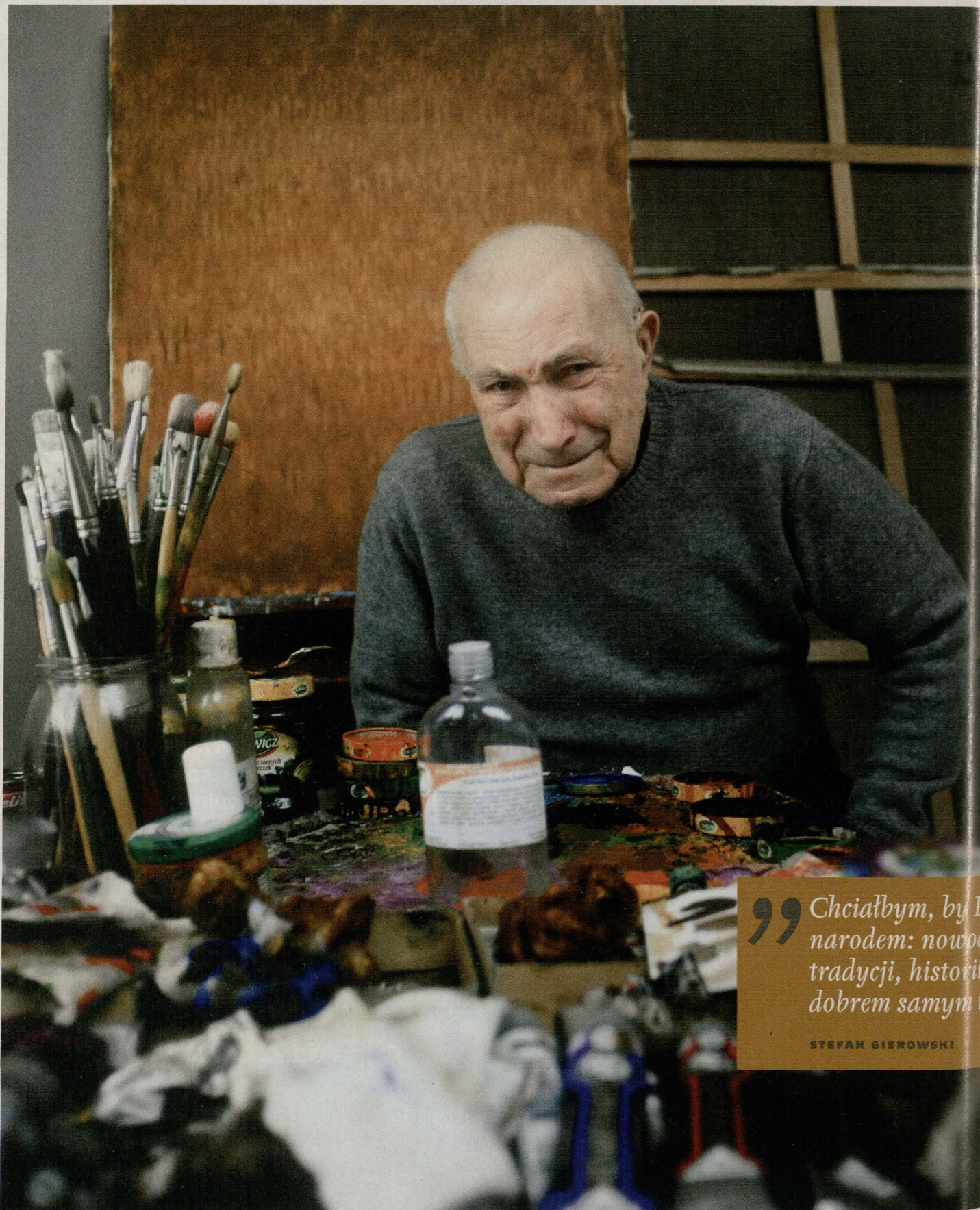
Cena od **2999 zł brutto**



Skorzystaj z inteligentnych, prostych i efektywnych narzędzi. Skorzystaj z Microsoft® Office 2010 już dzisiaj.

www.ntt.pl

udane zakupy:
www.yalu.pl



Jestem Polakiem

Chcę istnieć jako artysta polski, nie jako pochodzący z Polski artysta amerykański czy niemiecki – mówi Robertowi Mazurkowi malarz **STEFAN GIEROWSKI**

Ma pan sławę, pieniądze, miejsce w historii malarstwa. Bije pan rekordy aukcyjne, pańskie obrazy sprzedają się po pół miliona złotych. I mimo 86 lat ciągle chce się panu malować?
 - Bo ja jestem młodym malarzem, ja zaczynam! Z każdym nowym obrazem zaczynam wszystko od początku. Staję przed białym płótnem i wiem, że cała moja twórczość jest nieważna.

I jak każdy młody malarz ma pan ambicje.

” Chciałbym, by Polacy mieli ambicje bycia wielkim narodem: nowoczesnym, ale świadomym własnej tradycji, historii. Polskość jest ogromną wartością, dobrem samym w sobie, o które trzeba dbać

STEFAN GIEROWSKI

dobrem samym w sobie, o które trzeba dbać na każdym kroku.

Dla wielu polskość jest obciążeniem, które trzeba rozpuścić w europejskości.

- To jakaś potworna głupota!

Nie, to całkiem serio postulaty wielu mediów, polityków lewicy, celebrytów...

- A kto takie rzeczy wygaduje?

Ostatnio Marek Siwiec powiedział, że obrona polskości to obrona kołtuństwa i zaścianka.

- Bzdura!

Pan jest kołtunem, panie profesorze.

- Ja się bardzo z tego cieszę i mogę, tkwiąc w swym zaścianku, zaprosić pana na wódkę. Będę sobie jako kołtun spokojnie tu siedział i się przyglądał, jak ludzie prawdziwie zaściankowi zarzucają innym kołtuństwo. Jakież trzeba mieć kompleksy, by takie rzeczy mówić!

Kto jest zaściankowy?

- Nasza cała postępową awangarda, zarówno intelektualna, jak i artystyczna. Niech pan zobaczy, jak bardzo jest ona anachroniczna.

Młody kołtun z ambicjami...

- To powiem panu jeszcze, że moją ambicją jest, by istniała sztuka polska i żeby była silna. Byłem w niej wychowany, żyłem nią, jest dla mnie wartością.

Nie chce pan być uniwersalny?

- Chcę istnieć jako artysta polski, nie jako pochodzący z Polski artysta amerykański czy niemiecki.

Na czym miałyby polegać ta polskość w sztuce?

- Nie chcę tu tworzyć założeń teoretycznych, od tego są krytycy i teoretycy. Wiem, że polska sztuka może być inna, odrębna. Kiedy jeździliśmy na Zachód, to europejscy krytycy, patrząc na Lebensteina, Ziemskiego, na mnie, uznali, że to jest odmienne, oryginalne. Dlaczego? Bo w Polsce abstrakcja była znakiem protestu przeciw obowiązującej estetyce. Za nią nie szła moda, jakiś kierunek, lecz postawa moralna.

Bo żyliście w innym, zamkniętym świecie! Dziś w Europie nie ma granic, wszędzie jest Internet, ta sama telewizja, popkultura.

- Kiedyś wszyscy też ubierali się tak samo i mieli te same fryzury, a jednak jakimś cudem rozpoznawano sztukę holenderską czy hiszpańską. Wielu artystów czuło i nadal czuje swoją odrębność i jest z niej dumnych.

Zaraz pan powie, że jest malarzem mazowieckich łąnów.

- Mazowieckich? Nie, ja jestem malarzem Kielecczyzny. Niech pan spojrzy... To kawałek →

→ chusty z Kielecczyny. W takiej przycho-
dziła do nas kobieta z mlekiem. Oprawiłem
ją, bo ma pasy...

W ostrych, wyraźnych kolorach.

- Bardzo mi to bliskie, bo sam maluję w pasy.
Ale ważniejsze niż kolory jest odczuwanie,
poczucie, że się jest związanym z Polską, z tą
kulturą, z tym całym bagażem doświadczeń.
Niech pan spojrzysz choćby na katolicyzm, na
naszą religijność, która jest głęboko polska.
Potrafi pan sobie wyobrazić, o ile bylibyśmy
ubożsi bez tej tradycji, bez kościołów? I pro-
szę nie mylić tego z fanatyzmem, jakimś na-
cjonalizmem, szowinizmem.

**No wie pan, dziennikarka TVN24 hasło „Bóg,
honor, ojczyzna” uznała za faszystowskie...**

- To jakieś głupstwa. Mnie się podoba otwar-
ta Europa, żyjemy we wspólnym świecie,

tego krytyczny. Dziś patrzę na to z boku i wiem,
że zwykle chodzi o pieniądze.

Artystom?

- Zarówno artystom, jak i wszystkim, którzy
żyją wokół nich. Tak jest na całym świecie, ale
u nas jest jeszcze trudniej, bo źródło tych pie-
niędzy jest jedno: państwo. Jest niewielu ko-
lekcjonerów, płytki rynek, więc artyści żyją ze
stypendiów. To straszliwie demoralizujące. Ja
się cieszę, że moja sztuka nie jest hermetycz-
na, że dociera do ludzi.

Czyżby?

- Niedawno przyjechał do mnie do pracy czło-
wiek niezbyt wykształcony, z odległej wsi. Sta-
nął za mną, patrzy i mówi: „Jak pan to ład-
nie zrobił. Mnie się to podoba...”. Zdziwiłem
się, bo to były trzy kolory, pytam, co mu się
w tym podoba, zaczęliśmy rozmawiać. Mówił,

„Niech pan spojrzysz choćby na katolicyzm, na naszą religijność, która jest głęboko polska. Potrafi pan sobie wyobrazić, o ile bylibyśmy ubożsi bez tej tradycji, bez kościołów?”

STEFAN GIEROWSKI

ale w tym wspólnym świecie jest ten kawa-
łek, który się nazywa Polska. On ma swoją
tradycję, swoją historię, kulturę i trzeba to
chronić.

**Dlaczego? Żyjemy w czasach coraz większej
integracji. Mamy czegoś bronić na siłę? Może
to anachronizm?**

- Właśnie takie myślenie jest anachroniczne!
Żeby żyć w otwartym, wolnym świecie bez
kompleksów, trzeba mieć poczucie, skąd się
jest, trzeba mieć tożsamość.

**Pan by nas chciał Chopinem i Matejką
zameścić.**

- Nie mieliśmy jednego Chopina, ale i wspa-
niałych kompozytorów przed nim, malarstwo
to też nie tylko Matejko, ale wyśmienity, oryginalny
portret szlachecki, z którego możemy
być dumni przed całą Europą. To była sztuka
Rzeczypospolitej wielu narodów, sztuka
prawdziwie polska. I to straszliwy wstyd, że
tego nie znamy. Oglądamy się na świat, z któ-
rego i tak niewiele rozumiemy.

Dlaczego nie ma sztuki polskiej?

- Także dlatego, że nie ma kolekcjonerów, na-
bywców, dla których to byłoby ważne. Ogra-
nicza ich środowiskowa moda, poprawność...

Tego samego doświadczał pan wcześniej.

- Kiedyś sam uczestniczyłem w tej grze
wokół świata sztuki, ale zawsze byłem wobec

że podoba mu się, jak dobrałem te kolory, jak
je położyłem.

To chyba miłe?

- I bardzo ważne, bo widziałem, że to odczuł.
Na szczęście nie pytał, co to oznacza, bo to
zwykle idzie w parze: „Podoba mi się, ale co
to znaczy?”.

**To inteligentnie podejście. Podoba się, ale boją
się, że tego nie rozumieją.**

- A co tu jest do rozumienia? To jest do od-
czucia! Jak się odczuje, to potem można to
zanalizować.

**Pisarz kolekcjonuje ludzkie historie, a co zbiera
w swojej wyobraźni malarz: widoki, wrażenia,
kolory?**

- To są trudne do określenia impulsy. Zawsze
fascynował mnie kolor, wzajemne oddziaływa-
nie na siebie barw, ich reagowanie na światło.

Jak wygląda to przyglądanie się kolorowi?

- Niech pan spojrzysz tu, nie na pejzaż, ale na
tę podłogę marmurową. O, tutaj pada światło
i biel jest już trochę inna niż tam! Obok są szaro-
ści, które to podbudowują, dodają blasku...
I teraz cała praca: jak to przenieść na płótno?
Jak to odnieść do natury świata, do siebie, co
można przez to powiedzieć - z takiego głup-
stwa jak załamanie światła na kawałku podłogi
mamy wielką sytuację malarską, rodzi się
wyzwanie dla twórcy!

**Rozumiem, że pytanie, czy pan podróżuje, staje
się bezcelowe...**

- Nigdy nie jeździłem wiele, bo i po co mam je-
chać do Afryki czy Azji, jeśli rozwikłanie pro-
blemu światła na własnej podłodze może zająć
kilka lat. Zawsze uważałem, że wszystko, co
mnie naprawdę interesuje, jest blisko mnie.

**Pańskie obrazy są dokładnie przemyślane, ale
jednocześnie musi mieć pan w sobie niesamo-
wity żar, by malować tak zachłannie. I to mimo
że ma pan już wszystko.**

- Kiedy nie miałem tego, malowałem z tej samej
potrzeby serca. Motywacja się nie zmienia.
I ciągle ją odczuwam, więc maluję, póki mogę.
**Mówił pan, że nie zdążył namalować tego,
co chciał.**

- Zrozumiałem to po mojej wystawie retro-
spekcyjnej w Zachęcie, kiedy zobaczyłem,
jak mało rzeczy zdążyłem powiedzieć, jak
niewiele namalowałem. Jestem jak kolekcjo-
ner znaczków, który ma ich mnóstwo, ale cią-
gle marzy o tym jednym, którego mu brakuje.
Teraz też wciąż się zastanawiam: a co byłoby,
gdybym namalował inaczej?

**Jest pan wierny nawet nie tyle abstrakcji,
ile swemu stylowi od 1955 roku...**

- ...I mnie to ciągle ciekawi! Wybrałem abstrak-
cję jako człowiek malarsko dojrzały. Wcześniej
wydawało mi się to nie do pomyślenia - obraz
musiał coś przedstawiać. A kiedy wszedłem
w abstrakcję, okazało się, że otwierają się nowe
możliwości. Ciągłe widzę mnóstwo rzeczy do
namalowania. I nie szukam niczego innego,
nie próbuję być - jak inni abstrakcjonisci - no-
woczesny.

Dlatego krytycy o panu zapomnieli?

- Bolało mnie, że milczano o moich ostatnich
wystawach. Cóż, to widocznie nieinteresujące,
bo ani to nowoczesna forma, ani sztuka kon-
testująca, krytyczna... Dla krytyków jestem
„malarzem z lat 60.”, i wystarczy. To było bar-
dzo denerwujące, że nie obchodzi ich, co no-
wego mam do powiedzenia. A myślę, że jesz-
cze mam.

W końcu dopiero pan zaczyna.

- I wszystko przede mną.

Stefan Gierowski

86 lat, malarz abstrakcjonista, pedagog.
Studiował na krakowskiej ASP u Zbigniewa
Pronaszki i Karola Frycza. Wszystkie swoje
prace nazywa „Obrazami”, dodając kolej-
ne rzymskie numery. Gierowski określany
jest mianem klasyka polskiej nowoczesno-
ści. W stanie wojennym został wybrany
na stanowisko rektora stołecznej ASP, ale
władze zablokowały tę nominację. Z jego
akademickiej pracowni wywodzi się wielu
członków grupy malarskiej Grappa.



**PODARUJ BLISKIM
NIEZAPOMNIANE CHWILE...**

Wielkimi krokami zbliża się jakże przyjemny okres wzajemnego obdarowywania prezentami. Mikołaj, Wigilia to tylko niektóre okazje, by w nadchodzącym czasie wręczyć najbliższym coś wyjątkowego. A że kosmetyki od lat królują na liście najczęściej kupowanych upominków, zapewne i w tym roku większość z nas powita je pod poduszką czy choinką. Tych, którzy twierdzą, że to podarunek mało oryginalny, zapraszam na wycieczkę do wyjątkowego - wonnego i egzotycznego królestwa kosmetycznych prezentów - Mydlarni u Franciszka.

Dla mamy:

Zestaw: Savon Noir, Kessa, Olej Arganowy

Savon Noir to czarne marokańskie mydło, stosowane od wieków w Hammamach i łaźniach tureckich, a teraz przez miliony ludzi na całym świecie do codziennego mycia, maseczek czy eksfoliacji wykonywanych w zaciszu domowego SPA. Składniki zawarte w Savon Noir rozpuszczają martwy naskórek, wyrzucają ze skóry toksyny i zanieczyszczenia, sprawiając, że już od pierwszego użycia staje się ona czysta i jedwabiście gładka. W tradycyjnych marokańskich zabiegach peelingujących wykorzystuje się specjalną rękawicę - Kessa. Pozwala nam ona usunąć już rozpuszczony martwy naskórek, pobudza krążenie, dzięki czemu skóra staje się bardziej elastyczna, jędrna i dotleniona. Na tak przygotowaną skórę aplikujemy Olej Arganowy - prawdziwy eliksir młodości o wyjątkowych właściwościach wygładzających i przeciwzmarszczkowych.



Dla dziadka:

Magiczny kamień - alun

Na twarzy każdego dziadka zagości uśmiech otwierając paczuszkę zawierającą kryształ górski zwany alunem. Dawniej kamień gościł w każdym domu. Stosowany był na zacięcia i podrażnienia po goleniu. Dziś również jest wykorzystywany w tym celu, jednak jego główne zastosowanie to naturalny dezodorant pod pachy. A tu alun sprawdza się doskonale: jest bardzo skuteczny, nie plami ubrań, nie zatyka ujścia gruczołów potowych, a kostka 120 g stosowana codziennie wystarcza na 3 lata.



Dla dwojga:

Świeca do masażu



Ekskluzywna świeca do masażu i pielęgnacji ciała, wykonana ze 100% naturalnych składników. Ciepły olejek dostarcza skórze wiele przyjemności, natomiast wyjątkowe właściwości odżywcze, kojące i zmiękczające to zasługa szlachetnego składku. Olejek idealnie się wchłania, pozostawiając niebywałą gładkość i piękny zapach na powierzchni skóry.

Lista sklepów na:
www.mydlarnia.info
oraz www.lorient.pl





Pan na biegunach

Większość superekstremalnych wypraw już za mną. Ale nie rezygnuję z tego, co kocham – mówi podróżnik **MAREK KAMIŃSKI** w rozmowie z Marceliną Szumer i Pawłem Wieczorkiem

Studiował pan fizykę. Jak to jest iść przez lodową pustynię? Czy w tej bieli widać tylko biel, czy są też tęcze kolorów? I jak znosi się tak jednostajny krajobraz oraz pustkę?

– Biel może mieć wiele odcieni. I bywa, że człowiek, który sam wędruje po białej, lodowej pustyni, jest mniej samotny niż w wielkim, kolorowym mieście. Miasto daje tylko iluzję, że pełnia życia obecna jest tam, gdzie są liczne kolory i wrzawa. Tak, biegun jest pusty, ale to właśnie tam zmysły nie są przytłumione tysiącem obrazów, więc się wyostrajają. Nie ma mo-

świata na własne oczy jest lepsze niż poszukiwanie wiedzy z Platonem?

– W pewnej chwili po prostu poczułem, że warto rzucić studia, po których być może czekało mnie całkiem ustabilizowane życie i materialne korzyści związane z wykształceniem czy pracą zawodową. Nie miałem do takiego życia przekonania. A ponieważ zawsze chciałem być szczery i uczciwy wobec samego siebie, to jeśli w coś wierzyłem, starałem się to realizować.

Miał pan głębokie przekonanie, że musi opłynąć świat?

– Brzmi absurdalnie? Ale tak, czułem, że to jest to. Kiedy miałem 23 lata, szykowałem jacht, którym miałem popłynąć dookoła świata. I niewiele brakowało, a udało się. Wyprawa była już prawie gotowa, gdy pewny kapitan bezpieczeństwa, z którym nie chciałem się spotkać, powiedział, że nie dopuści, by jacht opuścił Polskę. Dotrzymał słowa, zablokował naszą podróż.

Pierwsza porażka.

– Moja droga nie była łatwa czy pełna sukcesów. Ale nauczyłem się radzić sobie z porażkami, akceptować fakt, że choć nie zawsze wszystko się udaje, warto zaryzykować, bo tylko wtedy życie odplaca tą samą monetą. Wiele doraźnych, ale niewynikających z głębokiego przekonania decyzji gdzieś się potem ulatnia. Sprawy, które wydawały się ważne, przestają mieć znaczenie. Szczere decyzje →

” Nie ma lepszych i gorszych dróg, kiedy się robi rzeczy prawdziwe. Ważne, czy to, jak kierujesz swoim życiem, pozwala ci być sobą

MAREK KAMIŃSKI

notonii, dostrzega się różnice kształtów, kolorów, odcieni śniegu. Kształty nadają wiatr, słońce, cień, a przede wszystkim nasza wyobraźnia. Idąc na biegun, widziałem w śniegu tysiące znanych mi obrazów i rzeźb: sfinksa, piramidy.

Inne studia, filozoficzne, porzucił pan, by realizować marzenie o podróżach. Oglądanie

→ są bardziej stałe. Warto wędrować przez lodową pustynię, jeśli motorem tej wędrowki jest marzenie, na przykład, by zobaczyć tam pingwina.

Pingwina można zobaczyć w zoo.

- Każdy poznaje świat po swojemu. Niektórzy rodzą się z miłością do niego, inni muszą go odkrywać. W moim życiu były różne fazy, nie wiem, czy wynikały z miłości do świata, czy raczej z ciekawości świata. Jako chłopiec czytałem podróżnicze książki. Ich fabuła była dla mnie prawdziwym światem. Chciałem, by wszystko było jak w tych książkach. Później zrozumiałem, że odkrywanie świata to nie zawsze daleka wyprawa.

Czasem to podróż w głąb siebie i odkrycie, że istnieje coś więcej niż my sami, świat dostępny inaczej niż poprzez zmysły. Że nasza świadomość jest częścią jakiejś szerszej, ogólnej świadomości. To odkrywanie świata nie jest łatwe. Poznając go, można też coś po drodze znienawidzić.

Pan znenawidził?

- Było wiele sytuacji, które mogły się dla mnie skończyć źle. Kiedy szliśmy na biegun północny z Wojtkiem Moskałem, myśleliśmy, że się nie uda. Nie mogło się udać. Kończyły nam się zapasy paliwa i jedzenia. Tak jak oczywiste jest, że dwa plus dwa równa się cztery, to było oczywiste, że nie mamy szans. A jednak wierzyliśmy, że się uda. Cudem doszliśmy. Moje życie jest pełne takich cudów.

Ale te cuda mogą kosztować życie.

- Tak, dlatego trzeba mieć pokorę. Można ryzykować, ale należy kontrolować ryzyko. Chcieliśmy dojść na biegun, ale nie za wszelką cenę. Nie było założenia, że musimy dojść. Wiedzieliśmy, że jeśli lód będzie cienki, po prostu na niego nie wejdziemy. Przecież nie wszystko od nas zależy, ale nie można dać się pokonać

Marek Kamiński,

47 lat. Podróżuje od ponad 35 lat, pierwszą samotną wyprawę - z Gdańska do Łodzi - odbył jako ósmolatek, kolejne w liceum - do Danii i Maroka. By podróżować, porzucił studia na Uniwersytecie Warszawskim, wiosną 1995 roku dotarł z Wojciechem Moskałem na biegun północny, kilka miesięcy później samotnie stanął na biegunie południowym, stając się pierwszym człowiekiem, który w jednym roku zdobył oba krańce Ziemi. Z żeglarzem Romanem Paszke przepłynął katamaranem Ocean Atlantycki. Dotarł do źródeł Amazonki, przeszedł pustynię Gibsona, samotnie przemierzał Antarktydę. Od 1996 roku prowadzi fundację wspierającą chore dzieci. W 1997 na biegun północny poszedł z niepełnosprawnym nastolatkiem Jasiem Melą, Tata Poli i Kaya.

strachowi. Trzeba nim zarządzać. Czasem strach jest wewnętrznym sygnałem i warto go posłuchać. To normalne bać się, że w ciemnym lesie będą zbóje. Ale czy dlatego mam nie wychodzić z domu? W ten sposób wyprawa z Jasiem Melą na biegun nigdy nie doszłaby do skutku. Tam bałem się każdego dnia. I to nie pękniętego lodu. Jaś często się przewracał. Bałem się, że złamię rękę, nogę, kręgosłup. Ten strach mijał tylko wieczorem, gdy przerywaliśmy marsz i szliśmy spać. A jednocześnie była taka wręcz zmysłowa chęć, by wytrwać, iść dalej. Strach to emocja, jak radość, to zasłona, którą trzeba odsłonić. Inaczej strach wysysa z człowieka całą wolę, zakleszcza.

Nie można mu się dać sparaliżować, zwłaszcza jeśli człowiek chce zrozumieć, co jest na tym świecie grane. Trudno byłoby się tego dowiedzieć, wyłącznie oglądając telewizję.

Pan więc już wie, co jest grane. Co jest ważne?

- Ważne jest odpowiedzenie sobie na pytanie, czego się w życiu chce. I zdecydowanie, czy będę żyć w zgodzie ze sobą, czy raczej będę żyć wygodnie, nie wychylając się. Dowiedziałem się sam o sobie, że umiem zrezygnować z wygodnego, łatwego życia. I że marzenia można zrealizować. Bo skoro nawet przeciętny człowiek, chłopiec ze zwyczajnej rodziny, w której nikt go nie namawiał, by ruszył na biegun, pustynię i ocean, może zdobyć w jednym roku dwa bieguny, to znaczy, że każdy może.

Nie każdy chce. Bo nie każdy lubi marznąć.

- To nie o to chodzi. Ani nie o to, by robić coś na siłę. Nie rozumiem towarzyszącej niektórym potrzeby, by tylko „zaliczyć” kolejne szczyty. Zwłaszcza jeśli nie wynika to z głębokiego przekonania, że o tym właśnie marzą, lecz z jakiejś mody, chęci bycia gwiazdą. Po co? Chodzi o to, by spełniać marzenia.

Od kiedy urodzili się dzieci, podróżuje pan mniej. Czy to wciąż życie w zgodzie ze sobą?

- Większość superekstremalnych wypraw mam już za sobą, córka urodziła się w 2004 roku, dwa tygodnie po tym, jak stanąłem z Jasiem Melą na biegunie.

Ale na dobre skończyłem z takim ekstremum w 2008 roku, po wyprawie na Gunnbjørn Fjeld, najwyższą górę Grenlandii. Wspinaliśmy się i wszystko szło dobrze. Na 150 metrów przed szczytem rozpętała się zamieć. Pojawiła się mgła. Fatalna widoczność, świeży śnieg zasypywał nasze ślady. Błądziliśmy przez kilka godzin, nim znaleźliśmy nasz obóz. Wtedy poczułem, że jeśli moje dzieci będą się wychowywać bez ojca, to wszystkie te moje osiągnięcia będą niewiele warte. Tak jak w Hymnie o miłości świętego Pawła. „Gdybym mówił

językami ludzi i aniołów, a miłości bym nie miał, stałbym się jak miedź brzęcząca albo cymbał brzęmiący” (1 Kor 13:1). Już miałem czas na zdobywanie świata, teraz jest czas na coś innego. Ale to nie znaczy, że rezygnuję z tego, co kocham. Zrobiliśmy kilka wspaniałych wypraw, samochodem przejechaliśmy pół Europy. Chcę mieć ten czas tylko dla dzieci. Póki nie dorosną.

A gdy dorosną i powiedzą: Tato, chodźmy na biegun?

- Na razie się nie martwię, córka mówi, że będzie artystką. A gdy tak powie? Zobaczymy. Nie jest moją ambicją, żeby dzieci mnie naśladowały, nie muszą chcieć tego, co ja, niech stawiają sobie własne cele. Jest tyle innych dróg. **Zdarzało się panu mieć dość? Marzył pan czasem, by się z Grenlandii czy pustyni teleportować do domu?**

- Nie pamiętam. Ja raczej nie żyję przeszłością. Na pewno były chwile, gdy miałem dość. Ale potem udawało mi się osiągnąć wyznaczony cel i już o tym zapomniałem. Czas sprawia, że zapomina się to, co złe, a pamięta dobre. Nie ma co żyć przeszłością. To złe rozwiązanie.

Robi pan tyle różnych rzeczy: Wisła, Bałtyk, Atlantyk, bieguny. Nie mógł się pan zdecydować na jedno? Dajmy na to: wspinaczka, jak Wanda Rutkiewicz czy Jerzy Kukuczka, albo żeglarstwo, jak Roman Paszke?

- Urodziłem się tego samego dnia co Kukuczka, 24 marca. Czytałem jego książki, czytałem też rozmowy z Wandą Rutkiewicz. Czułem w ich słowach to, co sam czuję. Nie dążenie do „zaliczania” kolejnych szczytów, ale chęć podążania za pewną ideą. Trochę jak Krzysztof Kolumb, który wierzył, że świat można opłynąć dookoła. Kto wie, może gdybym był himalaistą, zostałbym w świecie gór, tam jest wiele do zdobycia.

Ale po zdobyciu w jednym roku dwóch biegunów trudno się zatrzymać.

Czyli jednak ilość?

- Nie, zdecydowanie nie ilość wypraw, tylko jakość. Nie ma lepszych i gorszych dróg, jeśli robi się rzeczy prawdziwe.

Dla pana prawdziwe życie to biegun, ocean.

Ale co ma o prawdziwym życiu powiedzieć gospodyni domowa, której czas upływa na lepieniu pierogów dla rodziny?

- To zależy, czy lepiąc te pierogi, cieszy się, że rodzina je zje ze smakiem, czy żałuje, że tak pokierowała swoim życiem, a mogła zupełnie inaczej. Ważne, czy to, co zrobimy ze swoim życiem, pozwoli nam być sobą. Biegun, ocean, pustynia, kuchnia - to tylko scenografia.

Ona może pomóc, ale nie zagwarantuje szczęścia.

RMF FM

3

mamy z najlepszymi!

teraz

W Faktach RMF FM!

BBC .com/news

The Economist

Więcej na RMF24.pl

Kocham, zabijam, jem

Eskimosi mają bardzo pragmatyczne podejście do jedzenia: jeśli już zabiliśmy zwierzę, niech się z niego nic nie zmarnuje. I to mi się podoba. Wtedy jego śmierć ma sens. To, co uważam za wielki problem, to chów przemysłowy. Jest nie tylko potwornie nieprzyzwoity, bo zwierzęta w nim cierpią, ale i niebezpieczny dla środowiska – mówi Janinie Kruszyńskiej

ADAM WAJRAK,
dziennikarz „Gazety Wyborczej”, ekolog



for. Kuba Dąbrowski/Przekrój/Forum

Mówią o tobie, że masz hopla na punkcie zwierząt. Znajdujesz w świecie przyrody coś, czego nie możesz dostać od ludzi?

– Nie. Takie podejście to pułapka. Jeśli chce się kochać mądrze zwierzęta, trzeba lubić siebie, życie i ludzi. Są osoby, które powtarzają „oj, ludzie to są tacy źli” i uciekają przed życiem w tak zwaną dobroczynność wobec zwierząt. Budują dla nich megaschroniska i zwykle źle się to kończy dla obu stron. Wszyscy znamy takie historie z własnego podwórka i nie trzeba nawet szukać przykładów wśród tych opisywanych w mediach. Jestem normalnym, towarzyskim facetem. Kocham ludzi. A zwierzęta, wśród których się obracam, to nie są ofiary. To istoty obdarzone wolą życia i nie zawsze pięknym charakterem. Nawet nasza udomowiona kruczycia o imieniu Kura czasami jest prawdziwą cholera. Jak ma dobry dzień, jest kochana, przymilna, lasi się i gulgocze. Jak zły – tylko patrzy, żeby mnie jak najboleśniej zranić. I jakoś musimy ze sobą egzystować.

Przeglądałam twój blog (strasznie zapuszczony, nawiasem mówiąc) i wpisy na Facebooku. Nie brak tam zarzutów, że wolisz robaki, żaby, drzewa, błoto od ludzi. I że miłość do przyrody powinna także uwzględniać gatunek ludzki.

– Cóż mogę powiedzieć... Jeśli wykończymy wszystko i zostawimy same gołębie, żeby obsrywały parapety, świat będzie potwornie brzydki i smutny. Dzika przyroda nie tylko nas broni, dając świeże powietrze, czystą wodę. Sprawia także, że nasze życie jest piękniejsze, otoczenie ciekawsze i bardziej estetyczne. A ci, którzy wrzeszczą, że obrońcy przyrody wołają komary od ludzi – a potrafią naprawdę głośno krzyknąć – to są zwykle prymitywne buraki, które cały swój wolny czas spędzają w galeriach handlowych i nie przeczytały w życiu więcej niż jednej książki. Narzekają: zbudowałyśmy drogi, ale żaby stoją nam na przeszkodzie. Przecież można pogodzić interesy ludzi i żab, tak się robi na całym świecie. W Polsce zaledwie 10 procent funduszy przeznaczonych na autostrady idzie na ochronę przyrody. W innych krajach przekracza to 20 procent. Ale buraki wrzeszczą, krytykują każdą ekologiczną inicjatywę. Tyle że kiedy się bliżej przyjrzeć, okazuje się, że za niemal każdym takim antyekologicznym protestem ukrywa się zwycajne chamstwo i biznes. Bo drogę można poprowadzić inaczej i taniej, bo zaporą jest niepotrzebna i wręcz szkodliwa. I tak dalej.

A ja mam wrażenie, że ekologom idee przestaniają zdrowy rozsądek. Czasem po

prostu nie ma pieniędzy na pewne rozwiązania. Albo twoja wojna z Lasami Państwowymi – wiem, że macie kosę, ale prawda jest taka, że bez pozyskiwania drewna nasz przemysł drzewny padnie.

– Naszym Lasom Państwowym drzewa przesłoniły las. A las to jest taki ekosystem, który powstawał przez 400 milionów lat. W naszej umiarkowanej strefie tylko 10 tysięcy. Człowiek się nim nie zajmował, a był bujny i jakoś dziwnie piękniejszy. Nam został tylko skrawek tego pradawnego lasu – Puszcza Białowieska. Możemy czerpać z niej nie tylko wiedzę, ale i wpływy z turystyki. Tymczasem Lasy Państwowe zachowują się jak miliarder, który chce od dziewczynki z zapałkami wydrzeć wszystkie jej pieniądze. Nie wystarcza im, że miejscowa ludność może z Puszczy czerpać drewno na opał. Chciałyby móc wycinać te drzewa. Po co? Lasy mają pod swoją gospodarką jedną trzecią terenów kraju, pozyskują 30 milionów metrów sześciennych drewna rocznie. A spór

” *W lesie zobaczyłem mnóstwo zabijania i śmierci. Tak właśnie działa przyroda – wszyscy muszą jeść*

ADAM WAJRAK

o Puszcze idzie o to, czy wyrąbywać 30 czy 100 tysięcy metrów. Nie chodzi więc o pieniądze, a o władzę. Zaparli się.

A ja myślę, że przyroda jest silna i niezależnie od naszych starań – w tę czy inną stronę – sama się obroni. W zbiornikach wodnych przy zakładach przemysłowych powstają ekosystemy, które nigdzie indziej nie występują i likwidacja tych fabryk spowodowałaby ich zniszczenie. Albo historia bagien biebrazńskich – kiedy zostały objęte ścisłą ochroną i zakazano ludziom koszenia traw, okazało się to zabójcze dla mieszkających tam ptaków.

– Nie zawsze te same rozwiązania są skuteczne na wszystkie choroby. Tak samo jak aspiryna nie zadziała równie dobrze na przeziębienie jak na chorą wątrobę. Masz rację, że środowiska, które uległy już dużemu przekształceniu, trudno by było przywrócić do ich pierwotnego stanu. Tereny nad Biebrzą trzeba kosić i już. Ale takie jak Puszcza Białowieska, jak torfowiska Doliny Rospudy, które jeszcze są pierwotne jak przed milionami lat – czy naprawdę

musimy je niszczyć? Lepiej zostawić je samym sobie. Być może przyroda sobie poradzi bez nas. Ale my nie przeżyjemy bez przyrody.

Może teraz trochę świątecznie. Jako obrońca zwierząt i przyrody jako takiej pożresz wigilijnego karpia czy darujesz mu życie?

– Karp może czuć się przy mnie spokojnie – nie biorę go do ust. Nie lubię i w ogóle jestem uczulony na karpia. Ale na wigilijnym stole znajdują się inne ryby. I mięso także, bo Nuria jest Hiszpanką i nasze świąteczne zwyczajnie się połączyły, i są trochę inne niż obowiązujące w Polsce. Zresztą, generalnie rzecz biorąc, nie mam nic przeciwko jedzeniu zwierząt, a co za tym idzie – ich zabijaniu.

To dla ekologów zabrzmi niemal jak beczczenie sakramentu, bo większość z nich jest wegetarianami.

– Wiem, że dla niektórych jest to problem. I dla mnie też, ale trochę innego rodzaju. Jak byłem młodszy, byłem bardzo ideowy. Ale moje spojrzenie na przyrodę zmieniło się

tu, w Teremiskach. W lesie zobaczyłem mnóstwo zabijania i śmierci. Śmierci, która często prowadzi do innego życia. Tak właśnie działa przyroda – wszyscy muszą jeść. Tym, co budzi mój zdecydowany sprzeciw, jest zabijanie dla przyjemności. Dlatego nie toleruję większości myśliwych, bo też nie wszystkich. Prawdę mówiąc, ja też muszę zabijać. I zabijam – jednodniowe kurczaki dla ptaków, którymi się opiekuję, myszki. Czasem muszę też asystować przy

usypianiu chorych zwierząt, dla których nie ma już ratunku. Więc nie bawmy się w piękne słówka – zabijam. Mnie bardziej chodzi o to, żeby te zabijane zwierzęta nie cierpiały. Tak samo jak ja nie chciałbym cierpieć przy umieraniu.

Jakoś jestem dziwnie przekonana, że nie ma łagodnej śmierci. Może być ona bardziej lub mniej okrutna, ale zawsze jest straszna i zawsze boli. Żeby była jasność – sama jem mięso, bo taka jest moja natura drapieżnika.

– Ja staram się ograniczać cierpienie, choćby w ten sposób, że kupuję mięso lokalnie, od rolników, nie z przemysłowych hodowli. Nie zawsze jest to możliwe, ale przynajmniej staram się robić. Druga sprawa jest taka – i to jest związane generalnie z ochroną przyrody – że nie jem zwierząt, które żyły dłużej niż ja. A niektóre żyją bardzo długo. Dlatego nie spożywam halibuta, choć go uwielbiam. Bo to jest ryba długowieczna, która aby urosnąć, musi włożyć w to masę energii, kilkadziesiąt lat wysiłku i doświadczenia. Nawet 40 lat. →

→ Więc po prostu go nie jem, bo dla środowiska to straszna rana, kiedy wytrasuje się taką sędziwą rybę z dna. Nie ma kto jej zastąpić. Wolę jeść szprotkę, śledzia, nawet od biedy czasem przejdzie mi przez gardło pstrąg z hodowli. Kieruję się takim wyborem, żeby jak najmniej niszczyć środowisko.

Zostańmy jeszcze chwilę przy talerzu. Znam ludzi, którzy też nie mają nic przeciwko jedzeniu mięsa, pod warunkiem że jest „szlachetne”. Udziec owszem, piersi jak najbardziej, ale już mózdzek czy płucka to fuji.

– Dlaczego? Lubię podroby. I jak byłem na Grenlandii, zdarzało mi się je jeść na surowo. Tam Eskimosi mają bardzo pragmatyczne podejście do jedzenia: jeśli już zabiliśmy zwierzę, niech się z niego nic nie zmarnuje. I to mi się podoba. Wtedy śmierć zwierzęcia ma sens. To, co uważam za wielki problem, to właśnie chów przemysłowy. Jest nie tylko potwornie nieprzyzwoity, bo zwierzęta w nim cierpią, ale i niebezpieczny dla środowiska. Choćby dlatego, że uprawy na paszę dla tych zwierząt zajmują wielkie połacie ziemi. Że w takich hodowlach produkuje się ogromne ilości dwutlenku węgla. Ale, reasumując, to, że jem mięso, nie jest dla mnie jakimś problemem. Bo nawet gdybym nie jadł, to i tak musiałbym zabijać, żeby uratować zwierzęta, którymi się opiekuję. Więc co za różnica.

Rozumiem, że gdybyś był głodny, pójdzie do lasu i odłowienie zwierzaka też nie byłoby dla ciebie problemem.

– Myślę, że nie. Kiedy byłem na Spitsbergenie, zawsze miałem przy sobie karabin. On miał służyć mi głównie do obrony przed niedźwiedziami polarnymi, gdyby mnie zaatakowały. Albo do zdobycia pożywienia, gdyby zaszła taka konieczność. Zabijanie to jest część przyrody. Opowiem ci taką historię, okropną, ale pokazuje, jak to jest. Latem przyszli do naszego domu w Teremiskach pewni państwo z prośbą, żebyśmy im podpisał książkę. Podpisałem, poszli, ale za 20 minut byli z powrotem. I mówią: tam w rowie leży ranna łania i chyba zdycha. Pomyślałem, że pewnie ją potrafił samochód. Pojechałem: faktycznie, leży, nie jest w stanie się podnieść. Więc trzeba ją dobić. Bo dla dzikich zwierząt leczenie byłoby straszniejsze niż śmierć. Dla nich nawet widok człowieka jest okropniejszy, niż gdybyśmy my zobaczyli wilkołaka razem z wampirem. Zadzwoiłem, przyjechał kolega myśliwy. Zastrzelił ją. I okazało się, że ta łania była nadjedzona żywcem przez wilki. To nie był samochód. W normalnej sytuacji pewnie by ją zabiły, ale to było przy drodze i pewnie ktoś je wypłoszył, więc ona sobie biedulka umierała.

Ale jakieś takie straszne tematy poruszamy na te święta.

Faktycznie, ale jak sam powiedziałeś, taka jest przyroda. Jeśli o wilkach mowa – słyssałam historie o krowach, które podlascy chłopcy przywiązują łańcuchami na pastwiskach, a tamtejsze wilki traktują je jak żywe spiżarnie i wyjadają po kawalku.

– Nie wydaje mi się, wilki zabijają swoje ofiary szybko. I pewnie z tymi krowami to historia podobna do tej z łanią: chciały zabić, ale ktoś je spłoszył. Ale są zwierzęta, które rzeczywi-

„ Jestem normalnym, towarzyskim facetem. Kocham ludzi. A zwierzęta, wśród których się obracam, to nie są ofiary. To istoty obdarzone wolą życia i nie zawsze pięknym charakterem

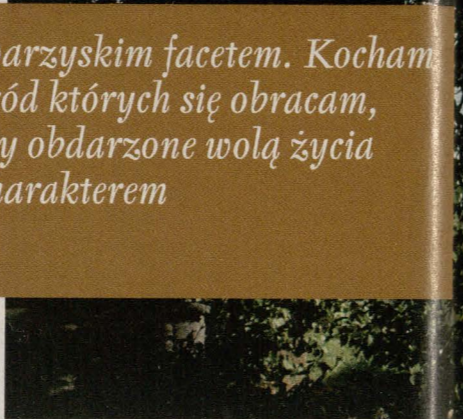
ADAM WAJRAK

ście robią sobie spiżarnie, nie tylko na święta. Na przykład krety nadgryzają zwoje nerwowe dżdżownicom i takie unieruchomione mięsko przechowują do chwili, kiedy będą głodne. Albo tchórze – one nadgryzają kręgi żabom. Robią sobie magazyny, a w nich trzymają te żywe konserwy. Jedzenie się nie psuje i nie ucieka. I jeszcze rzesorki robią coś podobnego. **Dziwna sprawa z tymi rzesorkami. Takie maluchy, a jadowite. Co one mają jadowitego – ślinę?**

– Tak, właśnie ślinę. To tym bardziej niesamowite, że są naszymi najmniejszymi ssakami – mają pięć centymetrów długości. **I żywią się wodnymi ślimakami, mięczakami, owadami i drobnymi kręgowcami, sprawdziłam. Ale żeby definitywnie skończyć tematy kulinarne: co będzie u was w te święta na talerzu?**

– Polsko-hiszpańskie specjały, nie wiem dokładnie, bo z tym jest zawsze różnie. Jakies rybki, jakieś grzybki. Z grzybami w tym roku było bardzo słabo, choć lubię i umiem je zbierać. Na szczęście mamy zapasy z zeszłego roku. I na szczęście są to rydze. W trzech postaciach. Solone, które można dodawać do zup albo na przykład sosów, które wchłoną ich smak i rozpuszczają sól. Mamy też rydze leciutko podsmażone i zatopione w oliwie – tylko się je podgrzewa i smakuje, jakby były przed chwilą zebrane. I jeszcze w bardzo lekkiej zalewie octowej. **Dam się posiekać za rydze! A jakieś zwierzęta będą z wami przy stole?**

– Ja jakoś jestem słaby, jeśli chodzi o tradycję, i nie przywiązuję do niej wielkiego znaczenia.



Zdarzały mi się takie święta, że Nuria wyjeżdżała, zostawałem sam – i nie miałem z tym większego problemu. Robiłem sobie na kolację jakąś rybkę i tyle. Bez poczucia krzywdy. Ale jedna rzecz zawsze była u mnie w domu święta, i to od dzieciństwa: wszystkie zwierzęta musiały dostać opłatek. Bo usłyszałem, że nie dość, że po tym opłatku mówią, to jeszcze lepiej się chowają, są zdrowsze i tak dalej. Więc i teraz każdy zwierzak w naszym domu go dostaje. Nawet myszołów, drapieznik, któremu trzeba go owijać mięsem, żeby zechciał zjeść. I dwie kruczycy. I 15-letnia suka Antonia. **Dziewczyny lubią opłatek?**

– Lubią. Zarówno kruki, jak i pies. Pierwsza kruczycy, Kura, jest bardzo oswojona. Jej imię się wzięło stąd, że tak się chciała zasymilować z otoczeniem, że nauczyła się gdać jak kury sąsiada. Inna sprawa, że umie też szczebrać jak pies. Druga kruczycy to Dzika. I faktycznie dzikus z niej niesamowity. Trafiła do nas ze złamanym skrzydłem i bez oka. A myszołowa ze złamanym skrzydłem przyniosł nam znajomy z Białowieży. Jest śmiesznym ptakiem, bo choć dostaje smakołyki, na przykład jednodniowe pisklęta kurczaka czy myszy, to najbardziej lubi kurze udka.

To konkretnie. Rozszarpuje je?

– A jakże, ma silny dziób i mocne szpony.

A ty co wolisz – ptaki czy ssaki? I tym razem nie pytam o preferencje kulinarne.



For: Kuba Dąbrowski/Przekrój/Forum

– Trudno odpowiedzieć, lubię fotografować i te, i te. Choć ssaki są chyba większym wyzwaniem. Bo ptaki łatwiej obserwować, fotografować. Mniej się boją człowieka. Ale chyba też nie były tak bardzo prześladowane przez ludzi jak wiele ssaków. I nie mają aż tak dobrego węchu. Łatwiej wypatrzeć i podejść sóweczkę czy orła bielika niż watahę wilków. Dlatego bardzo lubię, kiedy idę sobie po lesie i patrzę na ślady, a tu widzę, że przede mną szły wilki. To bardzo fajne uczucie.

Dużo ich jest teraz tam na północnym wschodzie? Jak je podchodzisz?

– Nikt tego tak naprawdę nie wie, ile ich jest. Ale jeśli chodzi o mnie, to mniej, niż powinno być. A najlepiej podchodzi się je na nartach, zimą. Bo też chodzi o szybkość. Ubieram się lekko, wehnia bielizna, lekka kurtka, żądnych polarów, bobym zapoczął się na śmierć. Zwłaszcza, że mam ciężki plecak, aparat z teleobiektywem... Jak widzę albo czuję, że wilki są w pobliżu, to kucam. Nie maskuję się, nie chowam, nie ma sensu, bo i tak by mnie wy-czuły. I wyję. One potwornie się boją człowieka, ale też są niesamowicie ciekawskie, muszą sprawdzić, co to tak hałasuje. Zanim zorientują się, że mają do czynienia z człowiekiem, mam dwie minuty do dziesięciu, żeby zrobić im zdjęcie.

Już sobie wyobrażam spotkanie z czytelnikami i pytanie: A nie boi się pan, że pana pożrą?

– Wiesz, na początku się bałem, ja też padłem ofiarą mitów o złych wilkach. Że niebezpieczne, że zimą polują na ludzi. Ale mieszkam tu już 15 lat i już jestem świadom, że straszne wilki można między bajki włożyć. Raz, że one naprawdę strasznie boją się człowieka. Tysiące lat je prześladowaliśmy, więc dobrze wiemy, jakim zagrożeniem jesteśmy dla ich gatunku. W dodatku zimą wilki nie głodują. Jełnie, sarny zapadają się w śniegu, więc wataha nie ma problemu ze zdobyciem pożywienia. Na Podlasiu nawet małe dzieci nie boją się wilków i jak które zobaczy jednego czy drugiego w lesie, to opowiada o tym w sensie „fajnego zwierzaka widziałem”. Zresztą każdy człowiek, który ma psa w domu, ma też wilka – tyle że w nieco zmienionym układzie.

To skąd ten czarny PR dotyczący wilków? Dużo groźniejsze dla człowieka są niedźwiedzie, lecz nasza kultura przedstawia je jako milutki, pluszowe misie.

– Albo choćby pocciwie żubry. Więcej jest wypadków z nimi w Polsce niż z wilkami. Byłem świadkiem, jak jeden z okolicznych gospodarzy, chcąc zaimponować turystom, zwał żubry na swoje obejście, rozrzucając jabłka i wiązki siana. Żubry przyszły, a jakże. Ale jemu było mało i wysypał na dłoń soli, żeby zwabić przewodnika stada – bo żubry, jak wszystkie przeżuwacze, uwielbiają sól, uzupełniają w ten sposób niedobór

mikroelementów. Ale jak się facet za bardzo zbliżył do zwierzęcia z tą łapą, to byk wziął go na rogi i już. Został mocno poturbowany na własne życzenie, z niewiedzy i zwyczajnej głupoty.

Wilki by w podobnej sytuacji wołał uciec.

Ale i tak nie lubimy wilków. Dlaczego?

– Bo to są świetni myśliwi i przez stulecia były dla nas największymi konkurentami w zdobywaniu pożywienia. A takiego rywala trzeba zniszczyć. Nie tylko fizycznie eksterminować, ale też dać dobre wytłumaczenie, dlaczego to robimy. Więc prokuruje się bajkę i wszystko jest jasne: takiego bydlaka, który pożera czerwone kapturki, trzeba wykończyć.

Znakomicie się wczuwasz w sprawy zwierząt.

Muszę więc zadać ci pytanie: czy jako dziecko nie byłeś czasem bardzo samotny? Czy twoje życie na zadupiu to czasem nie jest ucieczka w prosty świat przyrody od złego świata ludzi?

– A widzisz, nie jestem jedynakiem. Mam siostrę, Małgosię, i to ona właśnie była w dzieciństwie motorem naszych wspólnych zwierzęcych interesów. Bardzo chciała mieć psa, a ja byłem alergikiem, więc nie było o tym mowy. To z jej inicjatywy przynosił mi do domu rozmaite niealergizujące zwierzęta – owady, ptaki, płazy. Rodzice nam w tym pomagali. I choć uratowane przez nas sierściate zwierzęta musieliśmy oddawać znajomym i sąsiadom, to resztę niańczyliśmy i do dziś uczucie do zwierząt nie minęło. Ja jestem, gdzie jestem, a Małgosia jest mamą trójki dzieci i artystką rzeźbiarką. Większość rzeźb, które robi, to właśnie zwierzęta. Jak widzisz, miłość do zwierząt można pogodzić z normalnym ludzkim życiem.

Tyle że to fajniejsze, bardziej interesujące życie.



Miłośnicy powinniśmy się uczyć od zwierząt? Odwiedziliśmy z kamerą schronisko dla bezdomnych zwierząt. Obejrzyj na www.przekroj.pl oraz w „Przekroju” na iPadzie

Adam Wajrak

39 lat, dziennikarz, przyrodnik pasjonat. W 2006 roku zastąpił jako organizator obrony Doliny Rospudy przed budową obwodnicy Augustowa. W latach 90. przeprowadził się do Teremisek, w samym środku Puszczy Białowieskiej, gdzie mieszka ze swoją hiszpańską żoną Nurią do dziś i skąd pisze swoje teksty. Ściągnął tam założony przez Jacka Kuronia Uniwersytet Powszechny im. Jana Józefa Lipskiego. W 2005 roku został Bohaterem Europy tygodnika „Time”, a rok temu otrzymał honorowe obywatelstwo Rzeczypospolitej Ptasiej.

MUZYKA



Na tropach yeti

Kate Bush i grzeje, i ziębi

MARIUSZ HERMA

To był dobry rok dla weteranów. Wspaniałe płyty wyśpiewali nam 70-letni Paul Simon i niewiele młodszy Tom Waits. Debiutująca wiele lat po nich Björk pod futurystycznymi gadżetami ukryła jedno z lepszych melodii w swoim dorobku. Ale tuż przed zamknięciem rocznych podsumowań prosto na podium wskakuje Kate Bush.

W towarzyszących jej nowej płycie zimowych porównaniach nie chodzi jedynie o mroźną okładkę, poszukiwania yeti w singlowym „Wild Man” czy zapowiadaną w tytule recytację 50 różnych określeń śniegu, z których część – jak „spangladsa” – wymyśliła sama artystka. Zatrudnienie własnego syna Alberta w roli śnieżynki, opowieść o namiętnym bałwanie, którego libido rozgrzało tak bardzo, że skończył w kałuży, albo historia psa o imieniu Płatek Śniegu – to również zaledwie pokrywa muzycznego lodowca, jakim jest „50 Words for Snow”.

Na wydanym przed sześciu laty dwupłyty „Aerial” Bush pomieściła kilka stylistyk, kilkanaście instrumentów – od akordeonu przez didgeridoo po śpiew ptaków – oraz 23 utwory. Na zawartość „50 Words for Snow” składa się raptem siedem piosenek w wykonaniu czterech do pięciu osób. Fortepian i wokół

na pierwszym planie, w tle nągminnie próżnujące bębny, miękkie bas, sporadycznie gitara, klawiszowe i smyczki. Tylko tyle Bush potrzebowała, by nagrać najpiękniejszy album w swojej karierze.

Minimalizm objął także kompozycję. Otwierające „Snowflake” to w zasadzie jeden motyw pianina zapętłony na 10 minut. Pozostałe utwory też dałoby się streścić w paru taktach. Gdy więc w ten ascetyczny krajobraz wkracza czuły szepc Bush, to słuchającemu każdorazowo grozi powtórzenie losu bałwana. Bodaj całą dostępną sobie paletę wokalną artystka prezentuje w zjawiskowym, trwającym blisko kwadrans „Misty”. Krzykiem w „Snowed in at Wheeler Street” wyznaje Eltonowi Johnowi, że czekała na niego całą wieczność (z wzajemnością). I znów sam jej głos wystarcza do tego, by lodowcowy krajobraz rysowany ascetycznymi aranżacjami ocieplił i wypełnił – powiedzmy to głośno – miłością.



Kate Bush
„50 Words for Snow”,
Fish People/
EMI Music Poland

Kto ma kluczyki?

Wóz może i używany, ale muzyka The Black Keys niezmiennie świeża



Przed premierą nowej płyty muzycy The Black Keys zachęcali do kupna vana Chevroleta El Camino, rocznik 1994, anonimowym ogłoszeniem w lokalnym dzienniku „Akron Beacon Journal”: „Na sprzedaż. Bierz Kluczyki i w drogę. Prosić Dana i Pata. Poniżej numer telefonu”. Dzwoniąc pod wskazany numer, potencjalni nabywcy słyszeli opis wozu i prośbę o zostawienie wiadomości. Z kolei w serwisie YouTube

duet zaprezentował spot imitujący reklamę używanych wozów... Jak widać, Amerykanie mają do siebie sporo dystansu, ale już muzyka jest jak najbardziej serio.

„El Camino” powstało w ich rodzinnym Nashville, ale nie jest to bynajmniej hołd dla biustu Dolly Parton. The Black Keys grają rasowego rock’n’rolla z wyraźnym ukłonem w stronę rockabilly, surf rocka, a nawet soulu. Na płycie nie ma dźwięku, który mógłby powstać po 1975 roku, ale nasycona, współczesna szkoła realizatorska Danger Mouse’a sprawia, że „El Camino” brzmi aktualnie niczym dzisiejszy serwis informacyjny. I co z tego, że nagrywane to było na ośmiośladowie, a za kabinę pęłog-

ową posłużyła łazienka? Tak się właśnie robi muzykę z charakterem, która o mile świetnie dystansuje autotune’ową masakrę prezentowaną w sformatowanych radiostacjach.

The Black Keys to jeden z najcieżej pracujących zespołów w Ameryce (siedem płyt w dekadę!) i ich trud zaczął zwracać się z nawiązką – „El Camino” zadebiutowało na drugim miejscu listy „Billboardu”. Jack White na pewno wysłał sms-a z gratulacjami.

ŁUKASZ DUNAŃ



The Black Keys
„El Camino”,
Warner

Z tych dzieciaków będą ludzie

Miło, że połączył ich Miłosz, ale chciałbym usłyszeć Rosemary’s Kids śpiewających o sobie

Samo wymienienie składu zespołu (jednorazowego projektu?) zajmie pół recenzji, ale bez tego się nie obejdzie. Na czele Tomo Żyżyk, niegdyś głos Sirrah, jednej z bardziej progresywnych ekip w historii polskiego metalu, ostatnio znany w branży głównie jako organizator imprezy Don’t Panic We’re From Poland, która ma na celu promować polską muzykę na świecie. Wspomagają go między innymi lider Pustek, wokalistka Tres.b, byli muzycy Agressiva 69, obecni Polpo Motel i Woody Alien, i tak dalej. Skład to mocny na tyle, że

złe być nie mogło – i nie jest. A wciąż gające kompozycje (głównie) Żyżyka zostały wzmocnione producencim doświadczonym Adama Toczeki, jednego z lepszych Polaków w te klocki. Takiego ciepła, takiej przestrzeni na polskiej płycie dawno nie słyszałem. Niestety, największym obciążeniem „Songs on the End of the World” okazał się pretekst, dla którego towarzysztwo owo się zebrało. Poezja Miłosza nie pozwala tym piosenkom zebrać się do lotu, sprawia, że są przegadane. W dodatku Tomo uparł się na wersje anglojęzycz-

ne – na eksport – i zamiast skupić się wyłącznie na interpretacji, aż za bardzo stara się sprostać meandrom obcej mowy. Doceniam więc „Songs...”, ale zarazem mam nadzieję, że to dla tej ekipy początek wspólnej muzycznej przygody, a nie koniec świata.

JAREK SZUBRYCHT



Rosemary’s Kids
„Songs on the End of the World”,
2.47 Production

RECENZJE
FILM



Kevin Spacey w złotej korporacyjnej klatce czuje się doskonale

Żądza pieniądza

„Chciwość” zaspokoi wasz głód wiedzy o kryzysie finansowym

OLA SALWA

Spokojnie, film nie jest wykładem z ekonomii, ale trzymającym w napięciu dreszczowcem gospodarczym, którego bohaterowie są zarazem jego antybohaterami. Tytułowa chciwość zaś jest tu cechą ambiwalentną: z jednej strony, dzięki niej powstał potężny rynek finansowy, bo to ludzie głodni sukcesu i pieniędzy zbudowali wielkie korporacje. Z drugiej jednak, to przecież ich nienasycony apetyt doprowadził do kryzysu ekonomicznego.

Reżyser J.C. Chandor oprowadza nas (na dobę przed początkiem krachu) po piętrach korpoświata – od szeregowych maklerów, którzy w każdej chwili mogą być zwolnieni i zastąpieni nowymi, przez menedżerów, ich szefów (wyśmienity Kevin Spacey) oraz szefa wszystkich szefów.

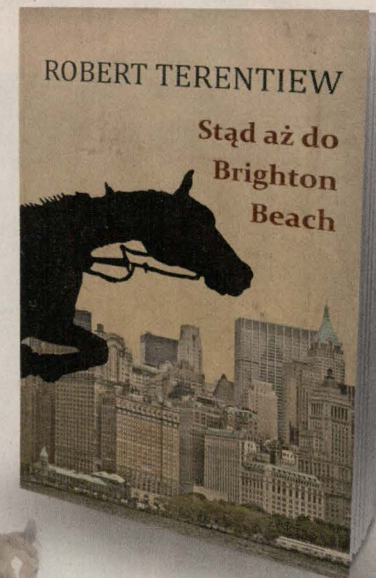
Gdy jeden z pracowników odkrywa, że firma obraca papierami pozbawionymi wartości, co może zakończyć się katastrofą, jego przełożeni pojmu-

ją powagę sytuacji, ale istoty problemu już nie. „Mów do mnie jak do przedszkolaka” – prosi prezes korporacji.

Chandor pokazuje, że tylko pracownicy najniższego szczebla wiedzą, na czym polega działalność firmy, a im wyżej leży gabinet, tym jego właściciel ma mniejszy kontakt z rzeczywistością. Praca jest złotą klatką, pułapką – także dlatego, że nawet jeśli ludzi nie motywuje ich własna pazerność, to tkwią w trybach maszyny z powodu zaciągniętego kredytu lub rodziny na utrzymaniu. A zwolnienie przypomina tu wypuszczenie z więzienia, co w czasach kryzysu jest niezwykle poczytującym morałem.

„Chciwość”, reż. J.C. Chandor, USA 2011, 110’,
Monolith, premiera 26 grudnia

REKLAMA



Stąd aż do Brighton Beach

Robert Terentiew

Najtrudniejsze są takie decyzje, z których nie można się wycofać

Emigracja w czasach żelaznej kurtyny

Tęsknota za ojczyzną

Utracona tożsamość

Miłość do Wielkopolski

To wszystko znajdziesz w Brighton Beach

www.zysk.com.pl

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO



Włoscy czytelnicy książki o Pileckim nie mogli uwierzyć, że ktoś z własnej woli mógł przedrzeć się do Oświęcimia

Po pierwsze, nie nudzić

Polska historia najnowsza staje się w Europie coraz bardziej popularna. Piszą o niej już nie tylko Brytyjczycy, Amerykanie czy Francuzi, ale też i Włosi. Ukazała się właśnie znakomita opowieść Marca Patricellego o rotmistrzu WITOLDZIE PILECKIM – „Ochotnik”



★★★★★

Marco Patricelli „Ochotnik. O rotmistrzu Witoldzie Pileckim”, przeł. Krzysztof Żaboklicki, wL, Kraków 2011

PIOTR KĘPIŃSKI

Marco Patricelli nie ma polskich korzeni. Nie ma też polskiej żony jak Norman Davies ani arystokratycznego pochodzenia jak Adam Zamoyski. Pierwszym Polakiem, którego widział na żywo, był Jan Paweł II. Co więcej, kiedy miał 20 lat, nawet nie myślał o tym, że kiedykolwiek napisze jakąś książkę. Studiował w konserwatorium, zrobił dyplom w klasie pianina, uczył się kompozycji, namiętnie słuchał Witolda Lutosławskiego, Aleksandra Tansmana i oczywiście Fryderyka Chopina. – I ten Chopin, dosłownie, rozłożył mnie na łopatki. To było to. Zobaczyłem w tej muzyce duszę kraju, o którym nie miałem zielonego pojęcia, a który, czysto intuicyjnie, wydawał się warty poznania – opowiada.

W grudniu w księgarniach ukazała się jego znakomita książka o Witoldzie Pileckim – „Ochotnik”. A nie jest to pierwsza pozycja Patricellego o naszej historii, bo w 2004 roku opublikował „Le lance di cartone” („Papierowe lance”), które doczekały się we Włoszech już drugiego wydania.

Polacy piszą za ciężko

W Europie od kilkunastu lat wzrasta zainteresowanie historią Polski. Norman Davies, który zapoczątkował tę „modę”, ale także znakomity francuski historyk Daniel Beauvois doczekali się swoich uczniów. Ci historycy nie boją się pisać o naszych dziejach z dystansem, lubią kontrowersje, a dyskusowanie mają we krwi. Timothy Garton Ash, Allen Paul, Timothy Snyder czy Adam Zamoyski – to zdecydowanie najlepsi z najlepszych. Teraz dołącza do nich Marco Patricelli, który jeszcze nie tak dawno temu sam nie bardzo wiedział,

gdzie leży Warszawa, a gdzie Kraków. – Oczywiście, trochę przesadzam – śmieje się. – Ale kiedyś byłem świadkiem, na ulicy w Rzymie, takiej rozmowy. Było to już po wyborze Karola Wojtyły na papieża. Jacyś ludzie pytali nieznanego: A skąd on jest ten Voitiua?, bo tak Włosi wymawiali na początku jego nazwisko. Z Afryki? Z Polski! A gdzie to jest?

PRZĘŻA leżała na antypodach współczesnej cywilizacji. W rzymskich księgarniach znalazł się książka historycznej poświadczonej Polsce graniczyło z cudem. Lepiej było w Wielkiej Brytanii, gdzie pisał Davies. Ale wielu włoskich naukowców nie wiedziało nawet, że Polacy złamali kod Enigmy. Rozbiory? A co to takiego? Pakt Ribbentrop-Mołotow? Bez znaczenia.

Dzisiaj nikt takich pytań nie zadaje. – To Norman Davies otworzył oczy autorom z innych krajów – podkreśla Tomasz Makowski, dyrektor Biblioteki Narodowej. – Wielu historyków dopiero z jego „Europy” dowiedziało się, że to właśnie u nas działały najbardziej wpływowe europejskie rody. Dzięki niemu usłyszeli o Radziwiłłach, Zamoyskich, Branickich. Popularne wśród zagranicznych historyków będą w przyszłości dzieje i Rzeczpospolitej, która przez stulecia pokazywała, że można tworzyć państwo wielokulturowe i wielonarodowe, co było ewenementem nie tylko w zamierzonych czasach, ale i dzisiaj.

Włosi z kolei na nowo odkrywają teraz, że nasz kraj był kiedyś potęgą kontynentalną. Zaczęli też tłumaczyć między innymi Daviesa, gorzej jest z polskimi historykami, ich książki są niedostępne. – Może tylko Aleksandra Gieysztor, ale ja nie przepadam za nim, za dużo ideologii było w jego pracach – mówi Patricelli.

Według Adama Zamoyskiego, autora historycznych opowieści o Paderewskim, wojennych losach polskich lotników podczas II wojny światowej i wydanej w zeszłym roku książki „Chopin. Prince of the Romantics” (wybranej przez BBC Radio na książkę tygodnia), problemem nie jest ideologia – socjalistyczna w przypadku Gieysztor. Polscy historycy nie są znani na Zachodzie, bo ciągle tkwią w XIX-wiecznej szkole historycznej, bardzo ciężkiej, dążącej za wszelką cenę do obiektywizmu. Ich pisarstwo nie jest atrakcyjne. W przeciwieństwie do Brytyjczyków, którzy „nie boją się ocen i nawet uogólnień”, Polacy jak ognia unikają własnego zdania.

Każdy może pytać o naszą historię

Kto wie? Może właśnie z tego powodu Polacy czytają coraz więcej autorów zagranicznych piszących o naszej historii. Pięć lat temu wielkim hitem była książka o Katyniu Allena Paula, amerykańskiego dziennikarza, niemającego, jak Patricelli, żadnych polskich korzeni. – Najwyraźniej dochodzimy do wniosku, że krajowi autorzy za bardzo epatują martyrologią – przyznaje Agnieszka Kluska z wydawnictwa Znak. – To chyba jeden z najważniejszych powodów sębania po książki zagranicznych historyków.

Według danych Biblioteki Narodowej aż 12 procent Polaków, którzy kupują książki, sięga po autorów zagranicznych. Należy do absolutnej europejskiej czołówki pod względem liczby tłumaczy. – To cenne, że chcemy poznać nasze dzieje oczami innych narodów – mówi Tomasz Makowski. – Bo każde społeczeństwo zadaje inne pytania i szuka innych odpowiedzi odnośnie do tych samych wydarzeń. Zestawienie

różnych interpretacji tego samego zdarzenia daje nam pełniejszy obraz.

Patricelli w paru zdaniach potrafi zarysować grozę sytuacji, nie unika metafor, nigdy nie nudzi i zrećnie dozuje emocje. We Włoszech podczas promocji „Ochotnika” czytelnicy pytali najzupełniej poważnie, czy jego książka to proza, czy dokument. Nie wierzyli, że był ktoś, kto z własnej woli poszedł do obozu w Oświęcimiu, tylko po to, żeby przygotować dla podziemnej organizacji raport o tym, co się dzieje za drutami. Że założył tam, jako pierwszy, tajną organizację, że w końcu uciekł z tego piekła, a po 1945 roku został przez komunistów oskarżony o szpiegostwo i skazany na karę śmierci.

Patricelli nie stroni też od kontrowersji, doceniając walkę Pileckiego, od czasu do czasu wkłada szpilę w działalność Kedywu (brak konsekwencji w działaniu, wygórowane ambicje niektórych oficerów) czy emigracyjnego rządu w Wielkiej Brytanii.

Zresztą kontrowersje lubił od samego początku. W książce „Le lance di cartone” pytał, czy to Polska doprowadziła Europę do II wojny światowej. Brzmi trochę prowokacyjnie? Tak, ale książka, choć krytykowała nasze „sny o potęgę” i autorytaryzm Piłsudskiego, nie była ani trochę antypolska. – Kiedy doszło do jej promocji w Budapeszcie, na konferencję nie przyszedł nikt z polskiej ambasady, bo ktoś z Włoch, kto książki nie czytał, powiedział, że was krytykuje – śmieje się Patricelli.

Krytykował tylko i wyłącznie to, o czym sami doskonale wiemy: nasze przedwojenne marzenia o federacji z Litwą i Ukrainą, pewność siebie w negocjacjach z Hitlerem. – Historia, ponieważ jest żywa, potrzebuje coraz to nowych interpretacji, ale interpretować to nie znaczy manipulować – podkreśla Patricelli i dodaje: – Mnie może jest trochę łatwiej pisać o waszej przeszłości, bo – jak Brytyjczycy i Amerykanie – patrzę na nią z dystansu.

I pewnie dlatego we wstępie do „Ochotnika” Patricelli pisał o Bitwie Warszawskiej 1920 roku z lekką ironią: „Manewr okrążający z udziałem 20 tysięcy doborowych żołnierzy, trzymany w rezerwie w tajemnicy przed bolszewikami, jest preludem do «cudu nad Wisłą», do którego zdaniem arcykatolickich Polaków doszło dzięki wstawiennictwu Matki Boskiej Częstochowskiej, w dzień Jej święta”.

Kto rozpętał wojnę światową?

Kiedy Patricelli kilka lat temu zaproponował stacji telewizyjnej Rai z emisją kultowego w Polsce filmu „Giuseppe w Warszawie” z 1964 roku, w reżyserii Stanisława Lenartowicza, z pamiętnymi rolami Antonio Cifariella i Zbigniewa Cybulskiego, o którym nikt we Włoszech nie wiedział, zainteresowanie ludzi przerosło oczekiwania redaktorów. Po filmie odbyła się dyskusja w studiu. Okazało się, że okupacja, widziana polskimi oczyma, do tego z włoskim bohaterem, pobudziła historyków i krytyków do dyskusji. Ludzie dzwoniли do telewizji, zadawali pytania.

Może przyszedł już czas na pokazanie filmu „Jak rozpętałem drugą wojnę światową”? W końcu w jednej ze śmieszniejszych scen w tym filmie pojawiają się Włosi, którzy do walki się nie garną, ale burdelu bronią jak niepodległości. Byłoby wesoło. A gwałtowna dyskusja o stereotypach – murowana.

WSPÓLPRACA JOANNA DARGIEWICZ



★★★★★
Tadeusz Pióro „O dwa kroki stąd (1992–2011)”, Biuro Literackie, Wrocław 2011

Złodziej serc i snów

TADEUSZA PIÓRY wiersze zebrane, czyli poetycki rachunek sumienia. Warto czytać „O dwa kroki stąd. 1992–2011”

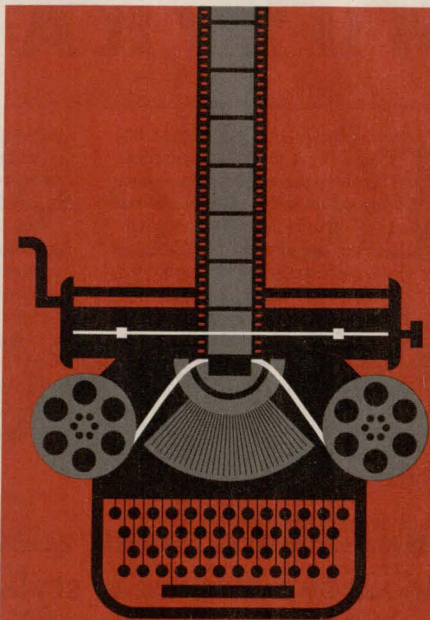
Poezja Pióry należy do niezwykle wymagających, to twórczość erudycyjna i refleksyjna. Nigdy nudna, nęci bowiem czytelnika wdziękiem sennych metafor, a w końcu wynagradza niezapomnianymi paradoksami i poczuciem humoru.

A gdyby tak czytać wiersze Pióry prostoprostopnie, potraktować jak rodzaj dziennika, zapis doświadczeń i myśli? Wówczas takie zabiegi poetyckie jak ekscentryczne metafory czy ironiczne podkreślenie słów przestaną wydawać się ciągnięciem między jawą a snem. Pióro zajmuje też opisywanie nieprzewrotności naszych pragnień, na przykład wtedy, gdy podążając za erotycznym instynktem, zostajemy przyłapani przez miłość. Albo wówczas, kiedy udając się na poszukiwanie ekscytujących przygód, już na starcie przegrywamy z wrodzoną skłonnością do melancholii. Poeta przenikliwie analizuje też potrzebę bycia sobą, która zawsze okazuje się grą rozmaitych fikcji i cytatów, umożliwiających nam pokazanie, kim jesteśmy naprawdę. Kiedy więc opowiada o sobie, bezustannie ślizga się między tymi sferami, pozostawiając na lodzie rysy układające się w finezjne ornamenty ze słów.

Tytuł „O dwa kroki stąd” nawiązuje do słynnego wiersza „O krok od nich” Franka O'Hary. Spacerujący po Nowym Jorku poeta opisuje w nim realia, przetykając je jednak skojarzeniami i wspomnieniami. Zapis wydaje się bezpośredni i szczery, lecz puenta przewrotna. Pióro wykonuje za to dwa kroki przed siebie tak, że realność wyłania się dzięki przemierzaniu kolejnych obrazów fantazji. Prowadzi swoją grę lekko i dowcipnie, łobuzersko prowokuje: „zabawmy się jak złodzieje serc” i „zabawmy się jak złodzieje snów”, lecz gra wciąż toczy się o istotną stawkę.

ALDONA KOPKIEWICZ

REKLAMA



Szkoła Wajdy oraz Off Plus Camera ogłaszają nabór na

SCRIPT PRO

Najważniejszy konkurs scenariuszowy w Polsce!

Nagroda Główna HBO
20 000 PLN
Nagroda Druga PISF
12 000 PLN
Nagroda Trzecia PISF
8 000 PLN

Zgłoszenia do 15.01.2012

www.scriptpro.pl



Będę się wiercić

ANNA MARIA JOPEK zdecydowała się na typ kariery w stylu multi-kulti. Zaatakowała rynki muzyczne aż trzema albumami nagranyymi z gwiazdami amerykańskimi, japońskimi, portugalskimi i polskimi – „Polanna”, „Haiku” i „Sobremesa”. Właśnie zaczyna *tournee* po Japonii

JACEK CIEŚLAK

Rodzina wypuszcza mnie w święta z domu pierwszy raz. Zamiast śledzia będzie tuńczyk toro – mówi Anna Maria Jopek, która w przeddzień Wigilii zaśpiewa w tokijskim klubie Blue Note piosenki z płyty „Haiku”. – Mam notes wypełniony kompozycjami, ale od czasu „Nieba” wszystkie moje płyty były autorskie. Dlatego przyszło mi na myśl, że dużo ciekawsze będzie odwołanie się do tego, co znalazłam u innych. To też jest sposób na odkrywanie siebie – mówi artystka.

Punktem wyjścia do nagrania „Haiku” stało się spotkanie z japońskim pianistą Makoto Ozono. Jopek poznała Japonię inną od tej, jaką pokazała Sophia Coppola w filmie „Między słowami”: krzykliwej, kiczowatej, przemysłowej ojczyzny karaoke. Jej japońska historia od początku ma delikatną narrację. A zaczęła się od pięknego wachlarza i porcelanowej lalki, pamiątek przywiezionych przez rodziców z *tournee* Mazowsza. – Może idealizuję Japonię, ale poznałam kraj ludzi pełnych szacunku dla siebie, kraj cisy, najmniej hałaśliwe miejsce na świecie, gdzie każdy dba o to, by nie ranić

drugiej osoby zbędnym decybelem – przekonuje wokalistka.

W japońskim ekspresie wszyscy mają wylączone telefony. Na ulicy nikt nikogo nie potrąca.

W tokijskim Blue Note w przeciwieństwie do nowojorskiego podczas koncertów nie serwuje się jedzenia i drinków, a kiedy muzycy schodzą ze sceny, obsługa im się kłania, podając ręczniki zwilżone ciepłą wodą do przetarcia czoła i dłoni. Na każdym kroku widać sztukę koncentracji – buddyzm, zen. Japończycy mają też większe niż Europejczycy oczekiwania od sztuki. Nie przez przypadek Krystian Zimerman kupił w Japonii mieszkanie. Idealne miejsce dla artystów?

Kiedy Jopek występowała w Operze Tokijskiej, po koncercie podszedł do niej japoński pianista, uczeń Piotra Palecznego. – Przyszędł i powiedział pięknie po polsku: „Dziś w tej sali była Polska”. To wspaniale, że Japończycy odbierają nas przez Chopina, który jest dla nich synonimem doskonałości. Dlatego zawsze bawi mnie, jak ktoś chce przepisać mu francuskość. Przecież Chopin to w 100 procentach polska muzyka – mazurki, oberki, kujawiaki. Bardzo przemawiają do nostalgicznej japońskiej duszy.



Tak jak klasyczna precyzja i piękno formalne chopinowskiej tradycji.

Japoński oberek

U prapoczątku albumu „Haiku” był właśnie Chopin, od którego zaczęły się improwizacje Makoto. Ania uznała, że warto złożyć mu muzyczną rewizytę, ale Makoto, skupiony od lat na europejskiej klasyce i jazzie, nie czuł się ekspertem od sztuki swojego kraju. Aby osiągnąć takie mistrzostwo, należy być w cechu, który przekazuje tradycję z pokolenia na pokolenie. – Musieliśmy znaleźć kogoś, kto zgodziłby się przejść na naszą stronę. Na szczęście żona Makoto jest aktorką.

Polecił nas swojemu znajomemu, Tomohiro Fukuharze, który gra w teatrze kabuki na tradycyjnych fletach bambusowych. Poleciliśmy do niego na wyspę Kiusiu, w góry – wspomina Jopek. W czasie spotkań multi-kulti nie ma komunikacyjnych problemów. – Rozłożyłam na pulpicie nuty „Cyranczki” i okazało się, że Tomohiro wiruje w oberku jak my wszyscy. Do muzyki dodaliśmy tylko ukłony i głębokie spojrzenia w oczy.

Do nagrania płyty doszło w nieoczekiwany sposób. Ania była z japońskimi muzykami na koncertach w Polsce. Na krakowskim wieczorze pojawił się mąż wokalistki,

ki, Marcin Kydryński, który uznał, że tę nową polsko-japońską współpracę trzeba zarejestrować.

Wydawało się to pobożnym życzeniem, bo zespół miał tylko jeden dzień wolny, zaś dwa studia, w których można było nagrać płytę, zostały wynajęte. Jedno z nich odstąpił jednak gdański pianista Sławomir Jaskulke. Album nagrano w 24 godziny.

„Polanna”

Ostatnie lata sprawiły, że model polskości i nasza tradycja stały się przedmiotem ostrego sporu. Bywa, że jedni chcą mieć monopol na historię, inni zaś infantylnie ją wyśmiewają. Brakuje środka. Tym większe zaskoczenie wywołuje repertuar „Polanny”. Anna Maria Jopek śpiewa „Kiedy ranne wstają zorze”, pieśń, od której nasi dziadkowie zaczęli każdy dzień w szkole. W opisie płyty Marcin Kydryński przedstawia Franciszka Karpińskiego – autora kompozycji – jako „Pana Przyborę epoki stanisławowskiej”. Obcujemy też z nadwornym kompozytorem Zygmunta Augusta – Wacławem z Szamotuł. – A czy ktoś wie, że był geniuszem? Awangardystą? To fascynujące, jak Wacław prowadził równoległe cztery głosy w trzech kompletnie innych podziałach metrycznych. Boję się, że dziś mało kto to docenia, bo Polakom brakuje wiedzy – mówi.

Leonard Bernstein miał w Carnegie Hall znakomite wykłady o muzyce transmitowane przez telewizję. Teraz zastąpił go Wynton Marsalis.

„Polanna” przypomina również Stanisława Moniuszkę, Mieczysława Karłowicza, a także pieśni „Dziś do ciebie przyjdź nie mogę”, „Czerwone maki na Monte Cassino” oraz harcerskie „Płonie ognisko i szumią knieje”.

Wokalistka ma nadzieję, że płytą wypełni lukę. Dzięki niej dwudzie-

siolatki poznają kompozycje, o których nie słyszeli. – Żartuję, że młodzi, którzy nie znają historii pieśni „Dziś do ciebie przyjdź nie mogę”, związanej z historią wołyńskiej 27 dywizji Armii Krajowej, odbiorą ją dziś jak współczesną opowieść o Polakach rozsiansych po Europie, spotykających się tylko w weekend. Zastanawiamy się, jak dotrzeć do naszych dzieci z muzyczną tradycją. Wierzę w jej ciągłość, trzeba wiedzieć, skąd się jest i w jakim się żyje świecie.

Portugalski azyl

Na deser otrzymaliśmy, *nomen omen*, „Sobremese”, płytę polsko-portugalską. Z Anną Marią Jopek zaśpiewali między innymi Sara Tavares, Beto Betuk, Paulo de Carvalho, Titto Paris i Yami. Album ma swoją bogatą historię. Jopek tłumaczy, że uważa się za entuzjastkę wszystkich szalonych pomysłów, ale ten z zamieszkaniem w Lizbonie wydał się jej abstrakcyjny. Jak się okazało, był bliższy rzeczywistości niż przeprowadzka do Afryki, o czym marzył Marcin Kydryński. – Całe nasze wspólne życie opowiadał mi nieustająco, że w końcu prowadzić safari.

Pewnego dnia poleciał do Kenii i zadzwonił do Ani z wyspy Lamu, przekonując, że znalazł cudowne miejsce do życia. – Pofatygowałam się, a ostatnia faza lotu przypadła na mały trzęsący się samolot z dziurą w suficie, z wszystkimi możliwymi zwierzętami domowymi na pokładzie. Lamu było rzeczywiście zachwycające, ale wyczułam tam muzulmański radykalizm, całkiem zrozumiały, bo będący odpowiedzią na działalność białego człowieka. Nie czułabym się tam dobrze.

Po powrocie w Polsce, spotkali się z Beto Betukiem, wokalistą z Lizbony, który przyleciał w listopadzie w samej koszuli. Zaczął opowiadać o swoim mieście. – Mar-

cin zapalał się do wyjazdu coraz bardziej. Dziwiłam się tylko, że moje wcześniejsze opowieści nie zrobiły na nim tak dużego wrażenia! – żartuje wokalistka. – A byłam przecież w Lizbonie wcześniej od niego. Otwierałam koncert Jamiego Culluma.

W zabieganej Europie Lizbona jest stolicą wyjątkową. Życie jest tam spowolnione. Wieczorem w Alfamie wszyscy wystawiają stoły przed domy. Biesiaduje sąsiad z sąsiadem. – Gdyby następnego dnia mieli ciężką robotę, pewnie nie siedzieliby do późna. Ale mają malownicze życie.

W tym zresztą dopatrują się upadku swojej kolonialnej przeszłości, nikogo nie udało im się do końca skolonizować, bo natychmiast asymilowali się z lokalną ludnością. Nawet w tym dramacie są ujmujące piękni.

Dom nad fado

W kwestii muzyki też nie może być cudowniejszego miejsca, bo w Lizbonie spotkały się Europa, Afryka, Ameryka Łacińska i zamieszkały pod jednym dachem. Ania i Marcin doświadczają tego akurat przez podłogę. Kupili bowiem mieszkanie nad jedną z kulturowych restauracji fado. – Jak nie zamknąć drzwi na balkon, to mam śpiewane w domu.

Teraz gdy jest już bezpośrednie połączenie Warszawy z Lizboną, wystarczy wsiąść w samolot rano i po 3,5 godzinach lotu można wspiąć się stromymi uliczkami Alfamy.

Synowie nie słuchają płyt stworzonych przez rodziców. Wolą zdecydowanie ostrzejszą muzykę – Rammstein i Sabaton. – Pan w Empiku był zdziwiony, kiedy kupowałam bilety na koncerty tych grup. Co dalej?

– Jeszcze nie mogę powiedzieć. Ale na pewno będę się wiercić, będę się kręcić!

REKLAMA

Fundacja Warszawskie Hospicjum dla Dzieci opiekuje się nieuleczalnie chorymi dziećmi w ich własnych domach. Hospicjum istnieje dzięki wsparciu ludzi, którym bliski jest los ciężko chorych dzieci. Przekaż 1% podatku dzieciom z Warszawskiego Hospicjum dla Dzieci.

KRS: 000097123

Fundacja
Warszawskie
Hospicjum dla Dzieci



Twój 1% - mój powrót do domu

www.hospicjum.waw.pl



ŁADNE RZECZY



Drop Light (z lewej) firmy Doolight: **co ma wisieć, nie utonie**

Piękne kule Fisherman firmy TAF (z prawej) chętnie zwieszają się z każdego sufitu



Rzucić światło

Czyli, wbrew pozorom, nie namawiamy tu do tańczenia w ciemności, tylko do wkroczenia w jasność

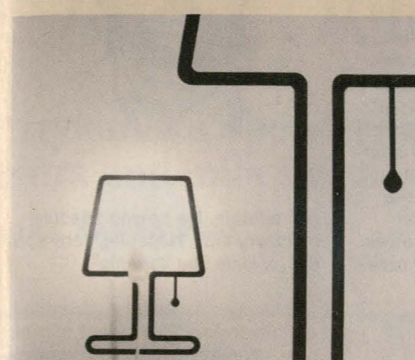
Pretexstem do działania jest oczywiście podsumowanie roku. Właściwie powinniśmy zacząć od wyciągnięcia listy noworocznych postanowień spisanej w styczniu 2011, jeszcze w oparach szampana oraz niezrozumiałego dziś entuzjazmu. I sprawdzić, co udało nam się osiągnąć, a czego nie, bo te punkty trafią do puli zadań na przyszły rok. Niczego nie wykreślamy na zawsze, bo chcemy mieć złudzenie, że uda nam się kiedyś skoczyć ze spadochronem, nauczyć francuskiego, przeczytać wszystkie tomy Marcela Prousta (w końcu tytuł „W poszukiwaniu straconego czasu” to nasze życiowe motto), jeść warzywa pięć razy dziennie i wreszcie pojechać na dłuższej Florencji.

Jeśli konfrontacja z listą jest nieprzyjemna, poprawiamy sobie humor, tworząc zupełnie nowe plany na kolejny rok. Tym razem jednak nie podchodzimy do tematu życzeniowo, tylko realistycznie. Dlatego musimy zapalić mocne lampy, aby „świetlana przyszłość” nie była tylko papierowym hasłem. Zaczynamy od żyrandola Drop Light, który w dowolnej chwili może zmienić się w kilka lampek stojących (gdybyśmy chcieli planować i chodzić po mieszkaniu jednocześnie) lub elektryczną pochodnię. Albo nasz własny kaganek oświaty. Jeżeli wszechstronność nas denerwuje i chcemy się skupić na jednym konkretnym temacie, sięgamy po kule Fisherman, bo już sam widok klosza bezpiecznie opakowanego w rybacką siatkę jest kojący. I podsuwa nam pytanie, co



Co było pierwsze: żarówka czy klosz? Pyta lampa Tin firmy Triode Design

NO ŁADNIE!

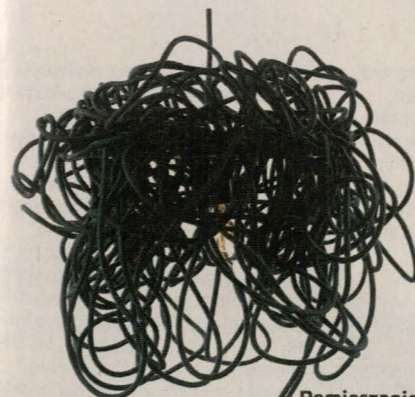


Lampa rysowana

Jeśli uwielbiamy złudzenia, to młoda dizajnerka Alice Rosignoli przygotowała coś specjalnie dla nas. Z daleka przedmiot wygląda jak lampa stołkowa, tylko zawieszona w powietrzu. W rzeczywistości jest to sama żarówka przytwierdzona do ściany, do której z kolei jest przyklejona czarna folia. Klosz istnieje więc tylko w naszej wyobraźni. To inspirująca myśl na 2012 rok: poddajemy się iluzji, ale koniec końców staramy się odróżnić marzenia od rzeczywistości.

sami chcielibyśmy złapać w następnym roku. Z kolei lampa Tin odwracająca naturalny porządek (klosz ma kształt ogromnej żarówki) podpowiada nam, żebyśmy w 2012 roku zaczęli myśleć niekonwencjonalnie. Albo skierowali światło na do tej pory zaciemnione kąty. I zobaczyli, co tam się kryje. Nieustająco najważniejsze jest poczucie kontroli, a to da nam każda lampa z nieprzepaloną żarówką. Orz wyłącznikiem.

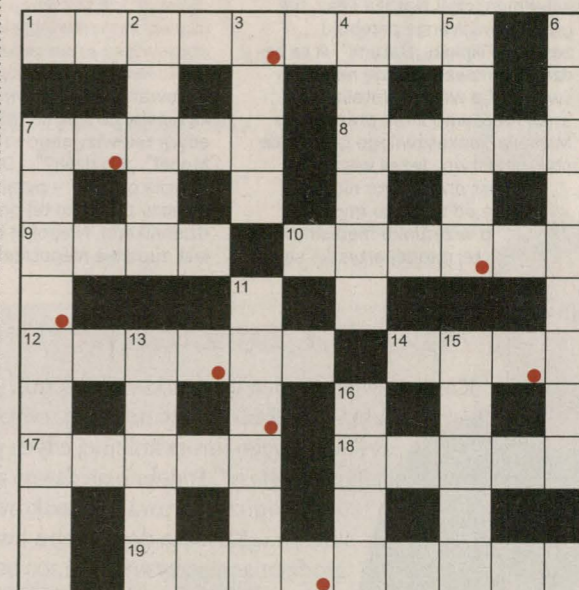
OLA SALWA



Pomieszenie z poplątaniem: lampa Scribble autorstwa firmy Thout

KRZYŻÓWKA NR 51

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.



POZIOMO:

1. MĘSKA GUMA
7. CZEKANIE NA POLANIE
8. MIEJSCE NA LIŚCIE
9. GOŁA BABAA
10. ZROBIONE NA KOBIEȚE
12. MALOWANY PTAK
14. PALE DESKI
17. NIE MOŻE ZAPALIĆ FAJKI
18. Z CZERWONYM OTOKIEM
19. SZAFKA GRAJĄCA

PIONOWO:

2. DO WCIĄGANIA
3. MA KOŃSKIE ZDROWIE
4. SPORA CZĘŚĆ RUSKICH
5. NA WAGĘ ZŁOTA
6. MOŻE MI NAWRZUCAĆ
7. DZIURA BUDŻETOWA
11. ŻÓŁTY KRUK
13. KIEŁBASA PODAWANA W CHLEBIE
15. WIEJE, GDZIE PIEPRZ ROŚNIE
16. RZUCONY PRZEZ NARZECZONĄ

ROZWIĄZANIA Z NR. 49

SKLEP INTERNETOWY

amazonka.pl

książki, muzyka, filmy, gry

Nagrodą za rozwiązanie krzyżówki jest **10 bonów** – o wartości **50 zł** każdy – na zakupy w sklepie internetowym www.amazonka.pl

Ponad milion tytułów. Najniższe ceny w Internecie. Dostawa w 24 godziny.

www.amazonka.pl

Wygraj jedną z 10 książek. Rozwiąż krzyżówkę i prześlij do nas hasło. Wyślij SMS o treści PRZEKROJ.HASŁO KRZYZOWKI na numer 7243. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: Presspublica Sp. z o.o. ul. Prosta 51 00-838 Warszawa, z dopiskiem: „krzyżówka 51”. Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 25 grudnia 2011. Koszt sms-a: 2 zł netto/2,46 zł brutto.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię, nazwisko i adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Presspublica Sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów lub usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również żądania zaprzestania przetwarzania danych. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.

LAUREACI Z NR. 48

Hanna Kanduńska, Międzyzchów;
Anna Kostecka, Wrocław;
Maria Kuczyńska, Gryfice;
Monika Kuras, Legnickie Pole;
Paweł Moras, Wrocław;

Lucja Nowak, Warszawa;
Irena Olek, Warszawa;
Barbara Siech, Łódź;
Agnieszka Urbanowicz, Tychy;
Irena Zak, Sosnowiec

BRACIA M

BARTOSZ I TOMASZ MINKIEWICZ
WWW.FACEBOOK.COM/WILQSUPERBOHATER

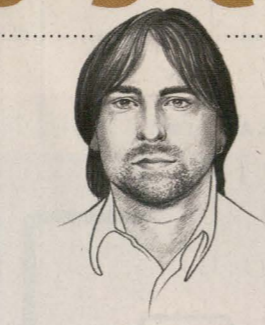


KRONIKI POPKULTURY STASZKA TRZCIŃSKIEGO

Ostatnio ukazał się bardzo interesujący artykuł „Oddajcie mi moich aktorów” Łukasza Maciejewskiego w miesięczniku „Film”. W sposób gorzki i dowcipny, celny i bolesny opisuje szereg przypadków tych, którzy fantastycznie debiutowali w polskim kinie u progu wolnej Polski i później nie rozwinęli skrzydeł, kończąc w serialach lub cieniu zapomnienia. Wśród opisywanych aktorów znajdujemy między innymi Michała Żebrowskiego, Bartosza Opanię, Marka Bukowskiego, Dominikę Ostalowską, Artura Żmijewskiego, Katarzynę Skrzynecką, Ewę Skibińską, Dorotę Segdę, Annę Radwan, Renatę Danczewicz, Katarzynę Gniewkowską, Adrianę Biedrzyńską, Jolantę Fraszyńską, Katarzynę Jamróz, Rafała Królikowskiego czy Agnieszkę Krukównę. To ja dodam od siebie jedno nazwisko – Joannę Trzepiecińską. Smutna lista. Chociaż widać, że potencjał, owszem, był. Ku przestrodze młodszych kolegów.

w jednym, czyli Natalia Lesz, nagrała nową wersję przeboju zespołu Filipinki „Batumi”. A ta będzie promowała Gruzję na całym świecie. Co więcej, Natalia odebrała niedawno z rąk prezydenta Michella Saakaszwiliego gruzińskie obywatelstwo. Jeżeli wszystko to jest prawdą, to niezależnie od tego, co myślimy o wizerunku medialnym tej młodej artystki, są

Wszystkie tak zwane media kolorowe zamartwiają się utratą stanowiska przez redaktor Karolinę Korwin-Piotrowską. Przestała kierować portalem tvn.pl, zaś plotka niesie, że zniknie także z kolejnej edycji telewizyjnego szlagieru „Top Model”. „Co dalej?”, „Dlaczego straciła pracę?” – pytają z troską koledzy po fachu tej popularnej dziennikarki. Niepokój bulwarówek jest zupełnie niepotrzebny. W czasie



son odstaje. Na pewno spadnie na cztery łapy. Najlepiej, żeby spała „w kinie i na kanapie”.

Na koniec tradycyjna rekomendacja kulturalna. Tym razem „z grubej rury”. W ostatnim roku przypomniana została Polakom jedna z najmniej znanych, a jakże utalentowanych polskich piosenek i aktorek – Wiera Gran (czyli Weronika Grynberg). Dzięki książce Agaty Tuszyńskiej „Oskarżona: Wiera Gran”, rozpoczęła się w Polsce publiczna dyskusja o losach tej nieszczyśliwej artystki. Przed wojną osiągnęła wielką popularność. Nagrywała przeboje za przebojem. Występowała na jednej scenie z Mirą Zimińską, Lodą Halamą czy Ludwikiem Sempolińskim. Po wojnie pogłoski o kolaboracji z Niemcami na lata zniszczyły jej reputację. Zmarła w Paryżu w 2007 roku. Dlatego też polecam pod choinkę reedycję płyty „Legendarna Wiera Gran” wydanej przez Polskie Nagrania, a na niej wszystkie największe przeboje, w tym te nagrane w 1965 roku z Władysławem Szpilmanem. Piękna muzyka, poruszające teksty, fantastyczny głos. Pozycja obowiązkowa.



rys. Jan Kucharczyk/East News, rys. Wojtek Brojeń & Aleksandra Kozuń

Bardzo miłe wiadomości napłynęły z Gruzji. Utalentowana tancerka, kontrowersyjna piosenkarka i serialowa aktorka

to dobre wieści. ok, miała być kariera w Ameryce, a jest wielki sukces na Kaukazie Południowym. Ale na mnie zawsze takie newsy robią wrażenie i bardzo mnie cieszą. Bo Polak potrafi.

ostatniej dekady Karolina z wrodzoną sobie lekkością obejmowała co najmniej kilkanaście różnych ważnych stanowisk, funkcji i redakcji. Nie ma sobie równych w tym względzie. Nawet Monika Richard-

Artysta ze zdaniem

Koniec świata nadciąga wielkimi krokami. Jak donosi „Fakt”, co już nie wróży najlepiej, tvn pragnie pozyskać nowego jurora kolejnej edycji programu „Bitwa na głosy”. Podobno niedawno została złożona propozycja, uwaga: Kazikowi Staszewskiemu... Kusząca do grzechu kwota wynagrodzenia miałaby wynosić 300 000 złotych. To samo źródło donosi, że „kontrowersyjny artysta ze swoim zdaniem” wcale nie odrzucił na starcie rzeczony propozycji, ale i nie potwierdził ostatecznie swojego udziału. Aż trudno skomentować taki news. To naprawdę byłby prawdziwy armagedon.

JEDNO DANIE ADAMA GESSLERA

W prostocie siła!



Święta Bożego Narodzenia. W zeszłym roku tuż przed nimi opowiadałem w „Przekroju” o daniach wigilijnych mojego domu. O ich nieparzystej liczbie w przeciwieństwie do parzystej miejsc przy stole. Z tej listy dań ukochanych wybrałem wówczas grzybową z pęczakiem. Dziś może zatem o rybach. Przy okazji, skoro o nich jest mowa, to przypominam, że zanim rybę „drapieźną” (na przykład szczupaka, okonia, sandacza, węgorza) piec będziemy czy smażyć, to najpierw lekko obgotujemy ją w „smaku” z włoszczyzny. Tę, która jest cała, wkładamy w zimny smak i gotujemy na wolnym ogniu. Tę, która jest w kawałkach, gotujemy na wielkim ogniu, wtedy

pozostanie jędrna. Pamiętajmy też, że ryby przed przygotowaniem, a po wypatroszeniu, solimy prażoną solą, czyli taką, którą sypiemy na rozgrzaną patelnię i prażymy, aż zżółknie. Takiej soli używamy do ryb przed ich gotowaniem czy smażeniem. Tak robił mój tata na kolejne wigilijne danie **DUSZONEGO SZCZUPAKA**. Solił go na godzinę przed włożeniem do brytfanki, następnie zalewał smakiem z włoszczyzny, korzeniami ziół, gotował na szybkim ogniu, przykrywając, żeby para nie wyszła. Robił do niego sos chrzanowy ze śmietaną i nim oblewał rybę. A w smaku z tak uduszonej ryby gotował kładzione kluski, które podawał do tego dania.

Kuchnia wigilijna jest nadszczajnie smaczna, jeśli jest prosta. Spójrzmy na cudowne grzyby w cieście, które były kolejnym nieparzystym daniem mojego taty. Płukał kapelusze suszonych grzybów, później gotował je na miękko w osolonej wodzie, po wyjęciu z garnuszka rozkładał, by wystygły. Suszył je bibułą. Osobno rozbijał cztery żółtka, mieszał je z dwiema łyżkami mąki, dokładał pianę z białek, solił, w tym moczył grzyby, kładł na roztopione na patelni masło, smażył z obu stron i układał na półmisku obok świeżo tartego chrzanu. Tak i ja robię dzisiaj. Pokazałem te grzyby moim synom. I oni, i ja czekamy na tę wigilię. A na niej proste jedzenie. Wesołych Świąt państw!

Od środka więcej widać

Afrykańska opowieść ERNESTA COLE'A, która zmieniła świat

KUBA DĄBROWSKI



Ok 1953, rpa. Wszystkie placówki edukacyjne w kraju – od podstawówek po uniwersytety – zostają podzielone na „białe” i „kolorowe”. Szkoły w czarnych dzielnicach tracą subsydia i są zamykane, utrzymują się jedynie nieliczne, prowadzone przez misjonarzy. Ernest Cole ma 13 lat i jak większość rówieśników ląduje na marginesie społeczeństwa. Chwyta się wszystkiego – sprząta, parzy herbatę dla pracowników biur. Po kilku miesiącach zaczepia się jako pomocnik w zakładzie fotograficznym na przedmieściach Pretorii. W ramach premii do pensji dostaje dwuobiektywową yashikę. Po odejściu ze studia zostaje gościem w redakcji magazynu „Zonk”. Odkrywa, że fotografie mogą być czymś więcej niż tym, co poznał w zakładzie, że mogą opowiadać historie. A Cole ma ich sporo do opowiedzenia. Zaczyna dokumentować swoje życie – życie czarnego w czasach apartheidu: biedne dzielnice, autobusy drugiej klasy, przeznaczone dla „kolorowych” ławki w miejskim parku.

W 1958 roku spotyka się z Jürgenem Schadebergiem, szefem fotoreporterów magazynu „Drum”. Schadebergowi podobają się zdjęcia chłopaka, chce zatrudnić go jako asystenta. „Kolorowy” w redakcji może pracować jedynie jako sprzątac albo goniec. Żeby przechrzyć kontrolujące czystość rasy urzędy, wymyśla podstęp – na umowie o pracę afrykańskie nazwisko Cole zmienia w europejskie Cole. Jedna litera robi różnicę, papiery przechodzą bez zastrzeżeń. Schadeberg namawia asystenta na studia, na miejscu to niemożliwe, ale na to też znajduje sposób: korespondencyjny kurs w nowojorskim Institute of Photography. Pedagogowie z Ameryki po raz pierwszy widzą Afrykę fotografowaną z czarnej perspektywy.

W 1966 roku Cole dostaje wizę i wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych. Zdjęcia prezentuje w agencji Magnum, która pomaga mu wydać książkę. W 1968 roku ukazuje się „House of Bondage”, wstrząsający dokument o widzialnej z wewnątrz rzeczywistości apartheidu. W Ameryce i Europie wydawnictwo staje się wydarzeniem i winduje Ernesta Cole'a do pierwszej fotoreporterskiej ligi, w rpa czyni z niego *persona non grata*. Cole umiera na raka w 1990 roku, kilka miesięcy po wyjściu Nelsona Mandeli z więzienia. Końca segregacji nie udaje mu się doczekać.



YES

30 lat



MAGIA SPEŁNIONYCH PRAGNIENÍ

WYGRAJ BIŻUTERIĘ MARZEŃ! YES.pl



sz. J.